



JANUSZ ROSZKO · STEFAN BRATKOWSKI



**OSTATKI
STAROPOLSKIE**



CZYTELNIK

Rozdziały I, II, III, VI (część pierwsza), VII, XI, XII oraz zakończenie napisał **Janusz Roszko**

Rozdziały IV, V, VI (część druga), VIII, IX i X napisał **Stefan Bratkowski**

Obwolutę i okładkę projektował:
Marian Stachurski

Ostatniemu gawędziarzowi Polski Powiatowej

- doktorowi Jackowi Jedlińskiemu

Rozdział I

Książka ta zaczyna się słońcem, które rozzłościło tarcze wszystkich słonecznych zegarów.

Jest ich tutaj najwięcej na świecie, ale Miasteczko wcale nie jest ładne. Przeciwnie. Między rynkiem a klasztorem jedna długa i bez wyrazu ulica. Prócz słonecznych zegarów dysponuje jeszcze Miasteczko dwoma faktami sławnymi, a to: Mistrz Wincenty, zwany Kadłubkiem, napisał tutaj swoją „Kronikę”, zaś Ewa Pobratyńska urodziła nieślubne dziecko. Pierwszym faktem Miasteczko się szczyci, drugi starannie ukrywa. Po cóż Żeromski akurat tutaj musiał umieścić tę scenę z „Dziejów grzechu”? Słoneczny zegarmistrz Przypkowski gotów jest nawet pokazać odnośną kamienicę. Zapewne jedna z tych nieefektywnych landar, z wielką sklepioną bramą wjazdową, zbudowana z miejscowego nietrwałego kamienia; jeśli w Rynku - to pewnie przez jakiegoś zarządcę majątków klasztornych, bo oni właśnie na północnej pierzei postawili swoje rezydencje.

Mistrz Kadłubek napisał swoją „Kronikę” w klasztorze ojców cystersów - pokazują nawet jego celę, jednak Przypkowski ów mit w sposób dosadny obali: Cystersi nie mieli osobnych cel w owych czasach, spali we wspólnym dormitorium, jedli w refektarzu, pracowali, w polu. A historyjkę z celą wymyślił pewien proboszcz, o którym Przypkowski może opowiedzieć pikantną anegdotkę...

Nieładne Miasteczko zgromadziło słoneczne zegary, aby mierzyć czas. I przepływ czasu czuć tutaj jak prąd rzeki, czas płynie poprzez chłodnawe sienie kamieniczek, poprzez szczeliny w ich wątych murach i wypłukuje jak gdyby spoiwo z kamienia. Kamień się rozsypuje. Czas płynie z coraz to mniej pstrokatym tłumem wieśniaków na placu targowym, wylewa się rdzawą kałużą ze staruszki fabryki, zwanej Drucianką, przesuwają się niemal namacalnie w pokoju u Przypkowskich, gdzie w gablotach rozlokowały się dziesiątki zegarów słonecznych z całego świata. Na co czeka to Miasteczko, które chciało na setki zegarowych tarcz pochwycić czas dla siebie?

Dotąd w Miasteczku czas płynął spokojnie i dostojnie, odmierzany cieniem wskazówki, nieuchwytnie pełzającym po tarczy słonecznego zegara, biciem dzwonów na „Anioł Pański” i okrzykami „Na zdrowie!” w pięciu knajpach. Sensacje były li tylko na miarę Miasteczka i wieść rozchodziła się o nich dość niemrawo. Najgłośniejsza była sprawa pięciu dziewcząt z klasy licealnej, które ponoć były w dość zaawansowanej ciąży. Dziewczęta usunięto ze szkoły, jako że Jędrzejów to nie Skandynawia; niemniej jednak dzięki „temu incydent kubański w roku 1962 przeszedł prawie przez opinię Miasteczka nie zauważony. W rok później faktem maksymalnie ekscytującym okazało się uwiedzenie żony pana X przez pana Y, przy czym zastanawiano się, czy to aby nie pan Y został uwiedziony. Wszelkie możliwości były tak długo rozważane, że zapomniano sprawdzić dokładnie, czy fakt uwiedzenia w ogóle nastąpił. W związku z tym publikacja proboszcza z Nawarzac, który opisał stosunki w kurii kieleckiej w książce pt. „Widziały oczy moje”, została prawie nie dostrzeżona.

Zresztą księgarz miejscowy zgapił się i zamówił tylko kilka egzemplarzy.

Tymczasem gotowała się sensacja, która miała eksplodować niespodziewanie i niechybnie. Ale czujne Miasteczko zaczęło się już czegoś spodziewać. Do klasztoru przyjeżdżało wielu wysłanników. Podobno nawet jeden aż z Rzymu. Wieloletnie starania ojców cystersów o kanonizację mistrza Wincentego Kadłubka miały zostać wreszcie sfinalizowane. Ktoś jednak żądał dowodów na to, że za sprawą uczonego kronikarza dzieją się lub działały cuda. Dowodów na to, że się działy, nie było. I oto nagle na Miasteczko spłynęła wieść: Będzie cud! Ogarnęła wszystkich fala niespokojnego oczekiwania. Gdzie? Jaki? Wszystko się wyjaśniło - wygadała się żona kolejarza, który już był przez niebo wyznaczony do cudownego uzdrowienia. W tej sytuacji cud nie mógł się odbyć, tak więc nic nie wstrząsnęło Miasteczkiem, a kronikarz Kadłubek nie doczekał się w pełni ukanonizowanej aureoli i nadal pozostaje tylko „błogosławionym”. Prysły nadzieje tych, którym marzyło się, iż Jędrzejów wraz z relikwiami nowo kreowanego świętego intelektualisty stanie się co najmniej nową Kalwarią i Częstochową!

Ta książka ma jednak zacząć się słońcem, które osiadło na tarczy zegara w klasztornym wirydarzu. Zegar jest wielki, odnowiony przez samego Przypkowskiego, z herbem de Rosis oraz infulą biskupią; oba te symbole odnoszą się do mistrza Wincentego, dewiza ta także: „Levior est rerum, quam temporis iactura” - lżejsza jest strata rzeczy niż strata czasu. Z jednej strony poprzez otwarte okno dobiega śpiew mnichów, nieuskrzydłone nuty ponurego średniowiecza, z drugiej strony -

dyskusje młodzieńców w czerwonych beretach o zaletach biustu Kaliny Jędrusik, ukazanych wczoraj przez Polską Telewizję.

Z nagłą na dachu klasztornym pojawia się postać dżentelmena o kształtach nieco obłych; dżentelmen krokiem tanecznym wędruje po samej krawędzi przy rynnie, trzymając dziwną skrzynkę w rękach. Patrzy w nią jak w kalejdoskop, wreszcie woła, spostrzegłszy nas pod klasztorem:

- Witam pięknie! Proszę bardzo!

Historyk miasta Jędrzejowa i najsympatyczniejszy bodaj archiwariusz świata, doktor Jacek Jedliński, sześćdziesiąt sześć lat liczący, wybrał się na spacer po dachu w biały dzień, w pełnym słońcu.

- Proszę bardzo do mnie - zaprasza uprzejmie - stąd jest wspaniały widok.

Oglądamy widok.

- Świetne ujęcie. Spójrzcie! - powiada doktor Jedliński i przystawia nam do oczu swoją skrzynkę, która okazuje się aparatem fotograficznym marki „Flexaret”.

- Świetne! - przyznajemy obłudnie.

Rozlega się „pstryk”, widok na wieże klasztoru i rzekomą celę Kadłubka już utrwalony na kliszy, poczciwy doktor gładzi swoją siwo-łysinę i ostrzega:

- Uważajcie, marksisty i heretyki, żebyście nie spadli z dachu!

- Nie szkodzi, my tu służbowo.

Opuszczamy dach zachowując w przerażonej pamięci widmo panoramy Miasteczka na horyzoncie. Klasztor bowiem jest oddalony od Rynku o dobre trzy kilometry. I podobno klasztor - jak stwierdza Jedliński - jest najważniejszy. Nad rzekę Brzeźnicę cystersi przybyli z Citeaux jeszcze w 1147 roku, na wyraźne zaproszenie biskupa krakowskiego Janika i jego brata Klemensa, pochodzących ze sławnego rodu Jaxów herbu Gryf. Klasztor, zbudowany według planów sporządzonych w Burgundii, był arcynowoczesną budowlą tego czasu. Kiedy Wincenty Kadłubek złożył infułę biskupa krakowskiego, wiedział, co robi. Poszedł pieszo do klasztoru w Jędrzejowie, aby w luksusowych na owe czasy warunkach dokończyć pisanie wielkiej pracy o dziejach Polaków.

Tych osiemset lat, które dzieli nas od przyjścia cystersów do wsi Brzeźnica nad rzeczką Brzeźnicą, to niewiele; ważny jest tylko jeden moment, potrzebny do wyjaśnienia, jak Brzeźnica zamieniła się na Jędrzejów. Otóż założyciel klasztoru, święty Bernard, jechał właśnie na inspekcję do nowego monasteru w Brzeźnicy, ale po drodze zasłabł. Nie wiadomo, czy podenerwowany był wieściami o breweriach mnichów, czy inne emocje sprawiły, że nie dojechał. Zmarł. Zamiast niego przyjechał jego brat, Andrzej. Widać z tego, że kroила się inna nazwa, do historii zaś przeszła inna. Byłoby: Bernardów lubo Biernatów, a jest: Jędrzejów, z łacińska „Civitas Andreoviensis” - jak chce doktor Jedliński.

Przez stulecia nie było w Jędrzejowie cudu, natomiast jesienią 1963 roku weszli do klasztorowego budynku uczniowie Technikum Mechanicznego i pozostali w jednym skrzydle. Urządzono im tutaj internat. Nie znaczy to, że ojcowie cystersi okazali tak pozytywny stosunek do tzw. „dzisiejszej rzeczywistości” i sami zaprosili nieletnich lokatorów, wnikając w kłopoty władzy. Stało się to niejako w wyniku najnowszej Monachomachii - jędrzejowskiej.

Jedliński ogarnia rozumnym spojrzeniem całą sprawę, wie, jakie znaczenie przed wielką zmianą, w obliczu końca Starego Świata ma ów internat, więc powiada: „Jako Polak i katolik - popieram!”.

Aczkolwiek nie zawsze zacni ojcowie cystersi, sąsiedzi, skłonni byli uważać Jedlińskiego za katolika; ostatnio uznali go za starego diabła i każdy cysters, chcący zamienić słowo z mądrym doktorem, musi najpierw otrzymać pozwolenie od przeora. Kiedyś było inaczej. Cystersi kilka lat temu zdawali się jakby nowocześniejsi, w celach grały radia, pełno było książek, niekoniecznie religijnej treści, spali na wygodnych tapczanach i wychodzili z klasztoru, kiedy chcieli. Ale nowy przeor wprowadził ład i dyscyplinę, radia i książki świeckie kazał usunąć, zapędził mnichów do modlitwy i chórów, podług swoich wyobrażeń o klasztorze, wyobrażeń ponurych i średniowiecznych. Co światlejsi - a było kilku wysoce wykształconych i towarzyskich zakonników - założyli protest. Nowy przeor bowiem był do niedawna proboszczem w jakiejś górskiej parafii,

gdzie go parafianie dość mieli. Wszedł w spory z całą gromadą zakonników; władze zakonu cystersów kazały się niefortunnemu przeorowi wynosić. Na jego miejsce przyszedł nowy, ojciec Robert. Stary przeor nie dał za wygraną. Miał znajomości w otoczeniu prymasa, zaczął interweniować, że niby krzywda mu się dzieje. Prymas zwrócił się do generała cystersów, który mieszka w Rzymie przy placu Diany, gdzie zawędrował drobny jędrzejowski spór między przeorem a zakonnikami. Opat dostał polecenie zatrzymania na miejscu przeora. Więc aczkolwiek ten już opuścił celę, rzeczy jego obłożono sekwestrem, a ojciec Robert wszedł w obowiązki przeora - wszystko musiało wrócić i wróciło do po-przedniego stanu. Z tym tylko, że jedno skrzydło zajął internat.

Zdziałał to w obliczu końca Starego Świata sam starosta Kosowski, czyli przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Jędrzejowie; mieszkańcy nazywają go starostą, uważając, że to coś więcej. Powiadomił przeora, że władze muszą przejąć na internat połowę niedostatecznie wykorzystanego, bądź co bądź państwowego (to jest tylko przez cystersów dzierżawionego), gmachu. Uczniowie nowej szkoły mechanicznej muszą mieć dach nad głową. Przeor nie odpowiedział. Uprawiał dalej swoje praktyki - dwóch zakonników na przykład posłał do Sandomierza, dając im na drogę tylko siedemdziesiąt złotych („Niech po kweście idą, dozbierają na bilet!” - powiedział).

- Do soboty proszę opróżnić jedno skrzydło! - powiedział Kosowski.

- Mimo umowy z nami o dzierżawę nie płaciecie ani symbolicznej złotówki od czterech lat. Mamy prawo wypowiedzieć wam umowę. Ale, wbrew waszym wyobrażeniom o nas, szanujemy tradycję. Internat musimy jednak u was pomieścić. Podstawy prawne mamy.

Oczywiście można by się powoływać na kasatę zakonu w 1817 roku, na fakt, że funkcjonowało tutaj seminarium nauczycielskie jeszcze za czasów „guberni kieleckiej”, gdzie słowa po polsku nie wolno było wymówić, jeden tylko doktor Feliks Przypkowski, lekarz, pozwalał sobie wówczas w tych murach przemawiać w języku ojczystym, był to jednakże tak dostoynny człek, że nawet zaborcy nie śmieli mu zwrócić uwagi.

Zacny doktor Jedliński wraz ze zbiorami jędrzejowskiego archiwum - w cichości ducha żywiący zamiary zaanektowania całego gmachu na archiwalia - został nagle sublokotorem dwóch panów: Zakonu i internatu. Na otarcie łez Kosowski dorzucił mu dwie izby w budynku, w tym jedną komórkę na akta, stanowiącą niejako cezurę między pomieszczeniami klasztornymi a internatowymi.

Wystawa „Cystersi w Polsce”, urządzona w krużganku na parterze, została zlikwidowana, a wraz z nią znikł sławny barometr stosunków między państwem a kościołem, między władzą ludową miasta Jędrzejowa a klasztorem. Między eksponatami pomieszczono reportaży, traktujący o klasztorze, Kadłubku i Jedlińskim, pod tytułem „Z wizytą u Kadłubka”. Nazwano tamże Jedlińskiego - jako kronikarza regionu - „współczesnym Kadłubkiem”, niemniej jednak ojcowie uznali, że publikacja może znaleźć się na wystawie. Jedliński, jedyny przed internatem świecki lokator i kierownik państwowego archiwum, był tu za Winkelrieda. Kiedy stosunki między państwem a kościołem psuły się, rzeczony reportaży chował się tajemniczo za tekturę i nie było go prawie widać. Kiedy stosunki polepszały się, artykuł ukazywał się, czasami nawet w całości, ze zdjęciem Jedlińskiego. Po owym barometrze archiwariusz orientował się, można li czy też nie można z mnichami wejść w rozmowy.

Pora jednak - zszedłszy z dachu i wysokości spraw, które między mnichami się działy - rozgościć się w celi nowoczesnego Kadłubka, czyli doktora Jacka Jedlińskiego, który w przeciwieństwie do swego wielkiego poprzednika miał wielkiego pecha. Kadłubek bowiem przyszedł do nowoczesnego przybytku, Jedliński do starszawej już rudery, bez żadnego komfortu. W izbie przylegającej do archiwum pomieścił swój kredens przepaścisty, sięgający sufitu, a w jego czeluściach, na galeryjkach, w schowkach i szufladach trzyma pudełka i rękopisy, jakoweś eliksiry diabelskie we flaszkiach, dzięki czemu nie tylko słowem uczonym przez tego zacnego męża byliśmy podjęci.

Wieczór się zrobił, plucha i zimno, wiatr po polach jędrzejowskich hula. Niech sobie hula - tu spokojnie i dobrze, zacisznie i ciepło. Lampa świeci na biurku, od mapy rozwieszanej na ścianie idzie czerwonawy poblask na pokój, na elektrycznej maszynie bulgoce woda, która zaraz przemieni się w wyborną „Nescę”, a w kielichach węgryzn zacny się perli. Ciepło idzie od pieca, wino czeka, noc w okna zagląda.

Jak też tutaj szanowny doktor obojga praw, tudzież filozofii, trafił?! Akcent u niego lwowski, dowcip sarmacki, oko krotochwilnie przymrużone.

- Przyjechałem, żeby tu skończyć sześćdziesiątkę i od tego czasu nie wierzę w przysłowia ludowe.

Powiadają: „Jak po kopie - to po chłopie!” A tu co? Jechać na drugi koniec Polski?! Furda, fraszka. Po dachu chodzić? Jak na skrzypcach zagrać! Istny drobiazg.

Co prawda, Jedliński przyjechał tu w 1955 roku, w czerwcu, z Makowa Podhalańskiego via Białogard Koszaliński. To „via” jest konieczne, gdyż w Makowie był dyrektorem liceum, a w Białogardzie kierownikiem archiwum powiatowego. Przed Białogardem był w Szczecinie, gdzie władza ludowa powierzyła mu wysokie stanowisko kierownika... samodzielnego referatu szkolenia zawodowego w Wydziale Zdrowia przy Prezydium WRN. A przed Szczecinem był w rzeczonym Makowie... W Makowie - tak samo jak przez lat bodaj dwadzieścia pięć - dyktuje w gimnazjum, przed wojną - po ukończeniu Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie - w Turce, Solcu nad Wisłą, w Olkuszu. W okupację zakłada na uchodźstwie w Rumunii polskie gimnazjum pod egzotyczną nazwą „Liceul Polonez din Ploesti”, a także „Universitatea Libera al Refugiatilor Polonezi” w Campulung-Muscel. W Turce jakoweś teatry podolskie zakładał, krajoznawstwem się trudnił i regionalistyką, pełen historycznych i kulturalnych pasji.

Jak znalazł się w Jędrzejowie? Przypadek. Chciał na starość być blisko rodziny, która osiedliła się w Krakowie. Dowiedział się o etacie archiwisty w Jędrzejowie. Przyjechał rozejrzeć się - i został. Rozgląda się do tej pory. Czasami ze zdziwieniem: „Jak to ja właściwie przyglądnąłem do tego Jędrzejowa i jeszcze patriotą tego grodu zostałem? !”. Ano, tak jakoś wyszło.

Szperacz nad szperacze: Najdrobniejsze fakty z dziejów Jędrzejowa i okolicy po wygrzebywał, pozapisywał, dziennikarzom do głów wtłoczył, aby im się wydawało, że Jędrzejów to unikat, że tylko tu historia miała tak wspaniałe wloty. Prawdę powiedziawszy, jakąś Brzeźnicę pod Częstochową, gdzie urodził się Długosz, chwalić by mogły takie same dzieje albo i lepsze; między cystersami i Kadłubkiem a Przypkowskimi nie było w Jędrzejowie nic ciekawego. Tu doktor Jedliński oko krotochwilnie mruży, czort jeden wie, kiedy prawdę gada, a kiedy żarty stroi.

To przewspaniały jarmark nazw polsko brzmiących, matecznik staropolski: Mstyczów, Lścin, Bolesćice, Krzęcice, Rembieszyce, Imielno... Niegostawice, Nagłowice, Ślęcin, Olszówka, Mokrzko, Wodzisław, Mierzawa, Mierzwin, Mieronice, Małogoszcz, Korytnica... Tu łacińską sentencję, tam znowu stare polskie słowa usłyszysz: „Mosterdzieju”. Lapsus linguae byś popełnił, a także „lapsus lazuli”, gdybyś o Mstyczowie nie wspomniął - powie Jedliński. Bo w Mstyczowie siedziała sławna rodzina Lisów, która założyła Brzeźnicę, ergo dała życie miastu Jędrzejowowi niezależnie od klasztoru. I miasto potem manifestowało tę swoją od klasztoru niezależność - herbem suwerennym Lisów z Mstyczowa, strzałą podwójnie przekreśloną. Na kościelnej posadzce u cystersów odczytać jeszcze można rysunek nagrobka Pakosława z Mstyczowa, kasztelana krakowskiego, który w 1919 roku oddał ducha Bogu, a ciało cystersom. Ojcowie pod misternie rzeźbionym kamieniem je pochowali, wyobrażenie tego mstyczowskiego rycerza, trzymającego tarczę przed sobą, wykuwając. Na tarczy ów herb Lisów: Krzyż podwójny, ze strzałą w dół skierowaną. A miasto strzałą skierowało w górę, żeby było optymistycznie. I słusznie.

- Tak więc nie najpierw byli cystersi, ale Lisy, a w sto lat po cystersach zrobiło się z Brzeźnicy miasto Jędrzejów, na prawie magdeburskim, lokowane przez Bolka Wstydlwego. W 1576 mieli tu zbrojny zjazd stronnicy Batorego przed elekcją, a w 1607 zwołały się tutaj wojska konfederacji Zebrzydowskiego. Ot i cała wspaniała przeszłość. A w tej celi, gdzie teraz siedzimy, spotkał się Kościuszek, zdążający pod Szczekociny, z księciem Józefem Poniatowskim.

Jedliński w ciągu kilku lat odtworzył drobiazgowo - dzień po dniu, godzina po godzinie - historię owego przemarszu Kościuszki pod Szczekociny oraz szlak po bitwie. Profesor Aleksander Gieysztor zrobił to na podstawie źródeł historycznych, Jedliński w oparciu o ustną tradycję. Okazało się, że obie wersje, opracowane niezależnie od siebie, zgadzają się idealnie.

Jak on to robi? Biega po celi, wymachuje rękami, w każdy wątek wtrąci setkę dygresji, z dygresji rozbudowuje nowy temat - szaleńczy wir refleksji, skojarzeń, przemieszanie historii ze współczesnością - po jednym takim monologu, trwającym pół godziny, znajduje się zwykle na początku tematu i czyni zbawczą refleksję: „O co nam właściwie chodziło? Aha, o historię Jędrzejowa”. I znowu zaczyna, z tym, że nie wiadomo w jakiej proporcji rozwiną się dygresje i czy zupełnie nie zjedzą po

drodze tematu. Och, nic w nim nie ma z dostojności i powagi, jaka przystoi doktorowi dwóch fakultetów i znamienitemu archiwście...

- Historia ważna rzecz! - powiada.

Ba, oni tutaj historię wprzęgli do usług współczesności. Jeśli przeszłość była wspaniała, przyszłość musi być gotowana na taką samą miarę - to przecież logiczne. Tak więc memoriał o potrzebach miasta Jędrzejowa i okolicy, u władz wyższych łaski się dopraszający, został przez Jacka Jedlińskiego gęstym historycznym podlany sosem. W tym kontekście zawołanie: „Historia to ważna rzecz!” zdaje się brzmieć mniej banalnie, niżby o tym w pierwszej chwili można sądzić.

Melchior Wańkowicz wpisał kiedyś Jedlińskiemu do pamiętnika takie słowa: „Po 20 latach rozłąki - jadę po Polsce. Gdzieś nad nią - huk stawania się. Dołem - jak zawsze - cierpliwe, drobne kucie ludzi dobrej woli. Czy nie ich pospólnym wysiłkiem stoi polska kultura?” Data: Jędrzejów, 13 października 1959. Pewien dziennikarz z Kielc spytał Jedlińskiego:

- Jakie kucie? W panu przecież nie ma nic z dostojności kowala!

- Dziękuję, proszę pana, też kuje! - odrzekł Jedliński. - A ja jestem taki właśnie wesolutki dziękuję, nie gnębią mnie żadne frustracje, obsesje, kompleksy. Nic mnie nie zżera. Nawet lata!

Cóż, spojrzeć na te szelmowsko zza okularów patrzące oczy, dociec prawdy, czy metryki mu ktoś nie zmienił, taki żwawy i w ferworze panieńskim rumieńcem błyska...

Urządzał też ów stary jędrzejowski świeatek podług swego sposobu: Biegał i organizował. Pisał i drukował o Jędrzejowie. Żaden szef reklamy przedsiębiorstwa kapitalistycznego nie sprawił się tak dobrze jak Jedliński. Wszędzie, do każdej niemal gazety w Polsce trafił chociaż mały artykułek, choć wzmiankę pomieścił o tym, że jest Jędrzejów, w którym ongi Kadłubek, a teraz zegary Przypkowskich.

- Panowie - wołał kiedyś Jedliński - w Jędrzejowie nie ma ulicy Kadłubka!

Myśl zgrabnie podchwycił ówczesny burmistrz i w mig kazał kronikarzowi ulicę szykować. Uchwała zapadła, przekazano tabliczki do wykonania. Mistrz malarski, w swej sztuce biegły, taki oto napis z własnej inicjatywy przygotował: „Ulica Świętego Wincentego”. Tak więc oto przez burmistrza i malarza uczony mnich został od razu kanonizowany, a wieloletnie zabiegi ojców cystersów w tej mierze uwieńczone sukcesami. Biedni zakonnicy - jak się okazuje - nie wiedzieli do kogo się zwrócić!!!

Niespokojny duch ten Jedliński. Zmówił się z młodymi, zaczął z nimi gawędzić o literaturze. Powstała z tego później w Jędrzejowie grupa literacka. Doktor Jacek wymyślił dla niej nazwę „Ponidzie”. Tak zresztą ochrzcił całą nadnidziańską, jędrzejowską krainę, którą geografowie określali nieefektywnym terminem „niecka nidziańska”; może być Pokucie i Powiśle - dlaczego nie może być Ponidzie? I tak wyrósł, z dnia na dzień prawie, klub jędrzejowskich poetów: Staszek Gleń, Marek Baran, Ada Kopcińska, Ryszard Miernik, Andrzej Fatyga i inni.

* * *

Zacny Jedliński zapragnął ukazać nam w pełnej krasie świetlicę internatu. Wyszliśmy więc z archiwum i otworzyliśmy drzwi, na których widniał nie tak dawno napis: „Klauzura”. Za drzwiami, na wysłanej dywanami podłodze stały stoliki, w kącie telewizor. Przez okno widać dokładnie ów zegar z łaćnińską, Kadłubkową dewizą: „Levior est rerum”...

Jedliński łapie jednego z chłopców internatowych i woła:

- Przyrowadź kierownika!

Chłopiec wraca po chwili i melduje:

- Nie może teraz przyjść, bo jest u niego milicja!

- To niech przyjdzie potem! - decyduje doktor i każe nam łamać sobie głowy pospołu nad problemem, po co też u kierownika internatu milicja? Chłopcy, urwisze, coś nabroili w mieście? Kradzież jakaś w internacie?

Istotnie - kradzież. Przychodzi kierownik, pan Wójcik, i mówi:

- A to, proszę pana doktora, w sprawie tych rur!

Jedliński już wie wszystko.

A było tak: Przy urządzaniu klasztornej skrzydła na internat kopano nową studnię, aby chłopcy mieli umywalnię z własną wodą. Ale kopiąc studnię natknięto się na dreny, które odprowadzały do rowu melioracyjnego wodę z rynien. Dreny wyjęto i kopano dalej studnię. Po zakończeniu robót miano założyć znowu dreny; na razie zostały na skraju rowu. Po kilku dniach zniknęły. Gdzie są dreny? - zastanawiał się kierownik internatu i już chciał dać na mszę ojcom cystersom, aby modlili się do świętego Antoniego na intencję odnalezienia drenów, a równocześnie przekazać sprawę milicji, zabezpieczając się niejako dwustronnie. Aliści Jedliński mu to wszystko wyperswadował. Nie chcemy wkopywać doktora Jacka, ale doktor na pewno o tych rurach już coś wiedział - i na zasadzie li tylko chrześcijańskiej miłości bliźniego puścić farby nie chciał. Może zresztą rzeczywiście nie były mu znane imponderabilia?! Dyrektor techniczny zadzwonił do przeora: Świętobliwy ojciec nie wie czasem, jaka to siła nieczysta sprzątnęła dreny z rowu naprzeciwko internatu? Świętobliwy ojciec pospieszył z odpowiedzią, że to ojcowie w trosce o to, by nie zginęło dobro, ukryli je u siebie w piwnicy, ale jeżeli internat chce te dreny z powrotem założyć, to niech je weźmie.

- Kto schował, niech je wyciąga - odrzekł sentencjonalnie dyrektor i odwiesił słuchawkę.

Ktoś z komitetu dowiedział się o rurach, dowiedziała się milicja i przysłała; spisywali protokół u pana Wójcika na dole, w pokoju, gdzie kiedyś była rezydencja parafialnej kancelarii. Potem poszli wszyscy procesją do ojca przeora, żeby wyjaśnić i podpisać. Przeor wysłał proboszcza parafii jako tarczę - proboszcz służy tutaj jako tarcza wobec władzy: świecki ksiądz na zlecenie cystersów prowadzi im plebanię. Kiedy przychodzi inspekcja do punktu katechetycznego, zakonnik, prowadzący lekcję, inspekcji nie wpuszcza: „Na polecenie ojca przeora”. Ale pretensje biją w proboszcza - parafia prowadzi punkt katechetyczny. Proboszcz jednak nie może nakazać mnichowi, aby wpuszczał inspekcję. Mnich podlega przeorowi.

Więc przeor nie wyszedł, wysłał Bogu ducha winnego proboszcza, proboszcz wytłumaczył, że przeor wyjść nie może, a w sprawach klasztoru on, proboszcz, nie może występować, więc dworne ukłony sobie złożyli - ci w habitach, ci w sutannach i ci w niebieskich mundurach - i zdaje się jednak zebrali w końcu pieniądze na mszę do świętego Antoniego...

I kto wie, czy w ten sposób nie nadchodzą ostatnie dni zakonu. Mury tylko dawać będą świadectwo temu, że przed wiekami praca ich była potrzebna i pożyteczna, bo teraz... Kiedy pan Nieszyn po wojnie wprowadzał ich w posiadanie murów - a było to gdzieś w 1946 roku - podpisali umowę o dwudziestoletnią dzierżawę obiektu. Więc kto wie, czy to nie ich ostatnie dni, bo umowa na lat dwadzieścia wygasa; kto wie, czy Kosowski zechce ją przedłużyć...

Doktor Jedliński, bądź co bądź spec od historii, a nie od współczesności, choć na tę współczesność wpływ właśnie poprzez historię ma wielki, prowadzi nas do klasztoru.

- To była rewelacja, powiadam wam, rewelacja! Istny bestseller wieków średnich i późniejszych.. Jeszcze za Sobieskiego się tym zaczytywali - szepcze tajemniczo Jedliński.

- Co? - zapytujemy ciekawie.

- No, oczywiście, dzieło Kadłubka. Pierwsza uczona księga o Polsce i Polakach, napisana przez Polaka. Pierwszy polski uczony, jakby nie było. Ale w encyklopedii ani słowa o nim nie napisali przy haśle „Jędrzejów”. Żeby trudniej było znaleźć miejsce, gdzie tę swoją księgę spłodził.

Kilka kroków wzdłuż klasztornej ściany i już jesteśmy w kaplicy, gdzie alabastrowe aniołki strzegą srebrnej trumny ze szczątkami błogosławionego mistrza Kadłubka - tak, bo uczony kronikarz za staraniem króla Jana III został beatyfikowany; wyżej wizerunek pisarza: Twarz podłużna, oczy wzniesione do góry, z wyrazem ogromnej nabożności, natomiast bez jakichkolwiek oznak inteligencji. Choć autor „Chronica Polonorum” na to nie wygląda - w pewnym miejscu opilstwo gorąco chwali, gdyż „rozwiązuje języki książęcej kompanii i pozwala księciu się zorientować, kto i w jakim stopniu jest jego stronnikiem”...

Poniżej pięknej barokowej kopuły z „latarnią” na szczycie inny malarz ozdobił freskiem ściany. Na jednym Kadłubek jako biskup krakowski oddaje pastorał i szaty pontyfikalne, na innym wędruje „połem, lasem” ku jędrzejowskiemu klasztorowi,

na innym jeszcze - mistrz się unosi: Jasność od niego bije, mistrz na klęczkach wisi o jakieś pięćdziesiąt centymetrów nad ziemią.

Z „Kroniki” mistrza Wincentego można było wyczytać po raz pierwszy o Kraku i Wandzie, tudzież o smoku, którego to potwora wypuścił pisarz żywcem ze swojej wyobraźni, czyniąc historykom wiele kłopotów, bo zastanawiają się: Co też ten smok symbolizuje. Tak czy owak, w wiekach średnich dzieło to obiegło całą uczoną Europę i przyjmowane wszędzie było z niebywałym aplauzem. Pisane po łacinie, ujęte w formę uczonego dyskursu między dwoma świątobliwymi uczonymi, zrobiło furorę. A i dzisiaj - podczas Milenium - uczeni zaczynają wracać do Kadłubka. Drobiazgowo badania wykazują, że to, co początkowo brano za fantazję niczym nie umotywowaną, ma jednak sens.

Z rozmontowanej ostatnio wystawy „Cystersi w Polsce” widzieliśmy również małą tabliczkę, na której wryty napis powiada: „Ossa et cineres beati Vincenti Catlubonis, ordinis cistertie A. D. 1633 19 Augusti hic deposita”. Tabliczka jest mała jak czekolada, wykonana z ołowiu czy jakiegoś stopu. Najciekawsza jest historia tej tabliczki. Kiedy kości i szczątki uczonego kronikarza złożono w małej srebrnej trumnie, tabliczkę schowano w zakamarkach klasztoru. A kiedy klasztor zlikwidowano, ślad po niej zaginął. Nie na długo. W roku 1859 znalazła się u Ritterbanda, pierwszego Żyda, który osiedlił się w Jędrzejowie; przeznaczona była jako ołów do przetopienia. Przechodził ulicą Krzywe Koło Piotr Andrzej Przypkowski, który był właśnie z wojny krymskiej powrócił. Pan Ritterband odprzedał tabliczkę za rubla. Ritterband, kiedy się wzbogacił, ożenił się z córką samego rabina Birllenstocka. Tabliczka znalazła się w zbiorach rodziny Przypkowskich.

Dziwne są dalsze dzieje nie tyle tabliczki, ile ludzi, którzy mieli z nią coś wspólnego. Oto syn Andrzeja Piotra został żydowskim sędzią pokoju w 1931 roku. Wielka delegacja z brodami i w jarmułkach wtargnęła do domu nr 8 przy Rynku, gdzie mieszkał doktor Feliks, i uroczyście wręczyła mu Torę wydrukowaną w Jerozolimie, z jego nazwiskiem, jako rabina, wydrukowanym na pierwszej stronie. Oczywiście nazwisko przekręcono w Ziemi Świętej na „Przypkowski”, ale to podobno dlatego, że w hebrajskim nie ma litery „o”. Żydzi umyślili sobie, że w dobie antysemitycznej sanacji lepiej spory między sobą rozstrzygać przed kimś, do kogo mają zaufanie. Biedzili się długo, aż upatrzyli sobie doktora Feliksa. I doktor Feliks przysiągł na Torę, potem przez lata pełnił niejako funkcję rabina w mieście Jędrzejowie... Natomiast potomkowie pana Ritterbanda i rabinówny Birllenstock zdołali przetrwać okupację i zamiast żelaznego handelku na Krzywym Kole mają w Paryżu wspaniałą magazyn i hurtownię. Tak więc teraz w Paryżu kolejny Przypkowski, Tadeusz, bywa gościem, oni zaś są gospodarzami.

W ten oto sposób doszliśmy wreszcie do tego, co - zdaje się poza Kadłubkiem - jedyne godne w Jędrzejowie uwagi: Przypkowscy, dom z zieloną kopułą w Rynku, nr 8. Mieliśmy okazję przekonać się, że John Steinbeck, opowiadając reporterom angielskim o swojej wizycie w Związku Radzieckim i Polsce, z naszego kraju zapamiętał tylko nazwisko: „Tadeusz Przypkowski”, a nazwę miasta: „Jędrzejów”. Twierdził, że nic równie wspaniałego jak Jędrzejów nie widział.

Idziemy ulicą klasztorną, czyli 14 Stycznia, w stronę Rynku: Urbanistykę Jędrzejowa wymyślił jakiś oszalały krawiec, który z kilku par kalesonów zamierzył uszyć eleganckie ubranie. Brudne, odrapane rudery sprzed pierwszej wojny światowej, a może nawet z okresu ostatnich najazdów tatarskich... Lecz nie sądzić miasta po wyglądzie zewnętrznym.

Steinbeck mógł mieć rację.

Rozdział II

Rynek nr 8, zielona brama z pięcioramienną gwiazdą u góry, pomieszczoną tam przez doktora Feliksa Przytkowskiego. W 1945 roku radziecki komendant miasta spytał: „Kto eto sdielał?” Doktor Feliks odrzekł: „Ja”. Komendant był w siódmym niebie. „Tak ty nasz czelawiek!” - stwierdził. Nie wiedział, że w tym domu kwaterował Piłsudski idąc ze swoją pierwszą kadrową na Kielce, na tym progu Kaden-Bandrowski jadł zupę z menażki, a w gabinecie lekarskim ordynans Pana Naczelnika czyścił pistolet Pana Adiutanta, czyli Tomek Szymkiewicz z Małogoszczy, wielki patriota swego miasteczka, członek ochotniczej straży pożarnej tamże, który umiał się znakomicie obchodzić z sikawką, ale nieszczególnie z bronią. Pistolet wypalił pośrodku nocy, Naczelnik, śpiący na lekarskiej kozetce za ścianą, wybiegł w ineksprymablach, węsząc zamach. Kula utkwiła w bibliotece, ślad po niej można do dziś podziwiać. Piłsudski zrewanżował się Szymkiewiczowi, kiedy jechali do Wilna w krowim pulmanie, z żelaznym piecykiem w środku; dojeżdżali do celu, nie mógł się dobudzić ordynansa; zawołał: „Tomek, Małogoszcz się pali!”. Tomek zerwał się na równe nogi, rozglądnął się za ogniem, dojrzał go w piecyku, chlusnął wodą na fajerkę, sadze wybuchły i wszyscy przyjechali do Wilna czarni.

Dom ten kupili Przytkowscy od mieszczan jędrzejowskich, Kielisińskich, w początkach ubiegłego wieku. Z tamtych czasów pozostały na ścianie gabinetu: Miniaturka ze szkicem głowy Chłopickiego i kolorowy Napoleon w oprawce z kości słoniowej. Tutaj jakby czas się zatrzymał, ten dom gromadził przez lata wszystko: Miśnieńskie kubki z poprzeczką na otworze, aby nie umoczyć wąsów, korespondencję, starożytny aparat telefoniczny, który działał jeszcze do niedawna: Drewniana skrzynka przybita do ściany, z przyrządem do kręcenia wielkości korby samochodowej i wystającym mikrofonem; aby rozmawiać, trzeba było stanąć na baczność przed mikrofonem i do ucha przyłożyć słuchawkę - okrągłą, wielką jak spodek. A zgromadził ten dom - prócz przedmiotów, które składają się na jego własną historię - wspaniałą kolekcję zegarów słonecznych, o której „Encyclopaedia Britannica” pisze, iż jest najpoważniejszym z naukowo prowadzonych zbiorów we wschodniej Europie. Jak to się stało?

Doktor Tadeusz Przytkowski sadowi się właśnie w krzesło przy biurku, robiąc jakieś dziwne zakłęcia. Po chwili chiński bożek wypuszcza uszami spirale wonnego dymu, tajemniczo się uśmiechając.

Piotr Andrzej Przytkowski w roku 1886 ufundował przy kościele parafialnym kaplicę. Gdy mury były już gotowe, przejeżdżał przez Jędrzejów artysta malarz. Piotr Andrzej powiedział: „A gdybyś pan na ścianie kaplicy namalował zegar słoneczny?”. Artysta zabrał się do dzieła, ukończył je, wziął grosz i pojechał, nieświadom skutków swojej roboty. Zegar źle wskazywał godziny! Syn Piotra Andrzeja, Feliks, spoglądał na niefortunny zegar i nie mógł spocząć, póki nie wynalazł błędu. Malarz bowiem nie znał się na gnomonice! Ta niedokładność zegara zafrapowała młodego adepta medycyny do tego stopnia, że zaczął studiować astronomię i medycynę. Na pierwszej praktyce lekarskiej w Działoszycach kupił wygrzebane na stryszkach stare zegary słoneczne i przyrządy astronomiczne. W 1904 roku naukowo obliczył i wykonał na nowo zegar słoneczny na kaplicy. Tak się zaczęło.

Osiadł wreszcie w rodzinnym Jędrzejowie, pacjentów leczył, a gdy tylko miał czas, nad wielką księgą astronomiczną siadał, przeliczał szlaki planet, kąty padania słonecznych promieni w różnych porach roku i różnych miejscach na kuli ziemskiej. W tych wieczornych biesiadach miał uczestniczyć wkrótce młody Tadeusz, na razie jednak...

Jest rok 1906 i doktor Feliks buduje na swoim domu taras do obserwacji astronomicznych. Nawiązał kontakt z jakimś panem Rosenthalem z Monachium, który prowadził światowej sławy antykwariat. Co pewien czas pan Rosenthal kazał adresować przesyłki do Rosji, guberni kieleckiej, miasta Jędrzejów, na nazwisko „Gnädiger Herr Doktor Przytkowski” i, o dziwo, ani razu się nie pomylił w literowej zawartości tak trudnego dla Niemca nazwiska, co świadczy niewątpliwie o solidności firmy. Przesyłki zawierały dzieła dawnych astrologów i astronomów, dotyczące się gnomoniki, czyli sztuki budowania zegarów słonecznych, a także egzemplarze zegarów słonecznych. Praktyka lekarska w Jędrzejowie przynosiła niezgorsze zyski, inni lekarze kupowali folwarki i kamienice w wielkich miastach, ale zyski doktora Przytkowskiego pochłaniało jego hobby.

Proszę sobie wyobrazić ów Jędrzejów tamtej epoki, początków naszego wieku, Jędrzejów lamp naftowych, tiurniur i krynolin, ubogich i krzykliwie reklamujących się sklepików żydowskich, zapadły kąt wielkiej Rosji, nadgraniczny, ale

ruchliwy przez tę swoją nadgraniczność. Chyba tylko z tych przyczyn pojawił się w owym czasie chiński kupiec z długim warkoczem, łączący w sobie europejską elegancję z egzotyką kimona pod tuzurkiem. Oficjalnie handlował jedwabiami, chociaż później mówiono, że był to szpieg japoński. Doktor Feliks kupił u niego sztukę jedwabiu na ubranka dla dziatwy, materiał okazał się tak mocny, że nosi go obecnie już trzecie pokolenie Przypkowskich. Kupiec pokazał też doktorowi chiński zegar słoneczny, który ponoć wskazuje dodatkowo, kiedy rządzą złe, kiedy zaś dobre dla interesów duchy. Ponieważ jest to zegar czarodziejski, z którego wskazań on sam, czyli kupiec, niejednokrotnie korzystał, może go odstąpić, ale za cenę... Tutaj zaśpiewał wysoko, co wskazywałoby, że jednak był autentycznym kupcem, nie szpiegiem, jak tego domagała się Jędrzejowska plotka. Dogadali się, kupiec przydał jeszcze chińskiego bożka, który po zapaleniu żywicy w swoim boskim brzuchu wypuszcza uszami wonny dym; zegar stoi pośrodku eksponatów kolekcji, bożek na biurku. Kosztowało to mimo wszystko sporo. Aliści nie od parady kazał doktor Feliks uwiecznić na ścianie swego domu dewizę rodową Przypkowskich: „Non habere, sed esse” - „Nie mieć, ale być”. „Być”, czyli zaznaczyć jakoś swój ślad na ziemi. Jaki ślad? Przewagą przed krótkością żywota - dewiza na owym zegarze, który przejeżdżający malarz niefortunnie obliczył: „Dni nasze jako cień na ziemi”.

Bożek jeszcze uszami dymi, a doktor Tadeusz pokazuje tym razem zegar najcenniejszy w kolekcji, zakupiony u rzeczonoego Rosenthala w roku 1912. Jest to zegar gwiazdowy, wykonany w 1524 roku przez Piotra Apianusa, sławnego astronoma z Bawarii, na hebanie, w srebrnej oprawie; na powierzchni ozdóbki - drzeworyt z Apianusowego podręcznika astronomii. Opodal - cyrkiel kwadratowy sławnego Joachima Stegmana, profesora ariańskiej akademii w Rakowie, otoczony tu ciężką należą, gdyż Przypkowsy należeli ongi do Braci Polskich.

Ród to bardzo stary, te „Przybki”, alias „Przypki”. Ponoć ich Konrad Mazowiecki sprowadził z Mazowsza w te strony, kiedy walczył o tron senioracki w Krakowie. W te strony, to znaczy do Małopolski, gdzie mieli „Przypkowice”, dziś zwane „Przypkowcami”. Te dobra podarowali - zgodnie z przyjętą ideologią Braci Polskich - chłopom. Był to pierwszy fakt uwłaszczenia włościan w Polsce, a miał miejsce w 1569 roku. Samuel Przypkowski był ostatnim przywódcą arian, autorem sławnego dzieła o stosunku państwa do Kościoła, które wywołuje głośny oddźwięk w rozdartej wojnami religijnymi Europie tego czasu. Teza Przypkowskiego o konieczności rozgraniczenia dwu jurysdykcji - kościelnej i państwowej - znalazła odbicie w pracach znakomitego filozofa angielskiego, Johna Locke'a. Konstanty Przypkowski ożenił się z wnuczką sławnego przywódcy arian, Fausta Socyna, przez którego Przypkowsy zyskali koligację... z dwoma papieżami: Piusem II z rodziny Piccolomini i Pawłem V z rodu Borghese. Syn Konstantego, Jan, palony był przez katolików na żywym ogniu. Jego syn, Jan Józef, już katolik, wyrzekłszy się herezji wykładał astronomię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nazwisko Przypkowskich, ostatecznie wygnanych za przekonania religijne z Przypkowic, pojawiło się w różnych uniwersytetach Europy: W Lejdzie, Lipsku, Altdorfie, Londynie... Stają się rodziną naukowców, przynależą do nowo tworzącej się grupy - inteligencji. I pomyśleć, że któryś tam Przypkowski nie chciał się żenić z Potocką za czasów Bony, gdyż uważał Potockich za parweniuszy! Jakiś kuzyn Przypkowskich ożenił się z kuzynką królowej angielskiej Elżbiety II, więc doktor Tadeusz żartobliwie sobie pozwala powiedzieć od czasu do czasu o królowej „kuzynka”. Jędrzejów, jeśli posłyszysz coś takiego, mówi najpoważniej: „Kuzynka pana doktora”!

Ale wróćmy do Jana Józefa, „astronomię” profesora, którego „koniekturę astrologiczną uniwersalną” na rok 1734 wydano w Krakowie; jemu przysługuje prawo pierwszeństwa w rzędzie światłych antecendentów Jędrzejowskich zbiorów. Z jego zbiorów zresztą pochodzą pierwsze księgi astronomiczne i pierwsze przyrządy astronomiczne... Leżały zapomniane do czasu, póki doktor Feliks nie zapłonął miłością ku słońcu i gwiazdom...

Doktor Tadeusz - jak to w owych czasach modnym i godnym było - mieszkał z matką w Krakowie, gdzie ukończył najpierw gimnazjum IV im. Henryka Sienkiewicza, potem historię sztuki i kultury na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tęgie tam wówczas były głowy wśród profesorów: Stanisław Kot, Semkowicz, Pagaczewski... Po uzyskaniu doktoratu jeździł po Europie i załatwiał „słoneczne” interesy ojca: Paryż, Bruksela, Londyn, Berlin... Na licytacjach stawał twardo i udało mu się niektóre okazy tanio kupić, po antykwariatach krążył, gdzie go znają i dziś witają jak starego znajomego, gdyż kontakty rokrocznie odnawia. Gdy się pojawi jakiś zegar słoneczny w antykwariacie na Montmartre i zgłasza się klient, antykwariusz odpowiada:

- Niestety, drogi panie, ten zegar jest zarezerwowany dla pana Przypkowskiego z Jędrzejowa. Przyjedzie wiosną, a jeżeli nie kupi, wówczas pan będzie miał pierwszeństwo!

- Gdzie jest ten Jędrzejów?! - pyta zdumiony klient.

- Gdzieś bardzo daleko na wschodzie, pan Przypkowski powiada, że w Polsce...

Ów monsieur Przypkowski, dziwny człowiek, niby zbiera zegary słoneczne, a urządza wystawę ekslibrisów w Paryżu, i to w dodatku swoich własnych. Mer miasta Paryża wręcza mu pamiątkowy medal. Monsieur Przypkowski wręcza order „Białego Kruka”, najwyższe polskie odznaczenie bibliofilskie, panu Péchard, o czym rozpisuje się nazajutrz paryska prasa. Skąd Przypkowski i order „Białego Kruka”? A no, monsieur Przypkowski sam jest kawalerem tego orderu i członkiem kapituły jako jeden z najwybitniejszych polskich bibliofilów. Monsieur Przypkowski będzie robił zegar słoneczny na Place de la Concorde w Paryżu - rozmawiał w tej sprawie z merem Paryża. Monsieur Przypkowski pojawia się nagle na światowym kongresie bibliofilów w Hiszpanii. Był tam (1963 rok) jedynym przedstawicielem z krajów socjalistycznych; wszyscy oglądali go jak dziwo, a najbardziej markiza Mesa di Asta, która ostentacyjnie kierowała na niego swoje lorgnon, aż doktora Tadeusza zaczęła ta kobieca natarczywość peszyć. „Polscy żołnierze jej się przypomnieli czy inne przyjemności?!” - pomyślał w duchu. Ale markiza wkrótce przemówiła:

- Bardzo pana przepraszam, ale chciałam zobaczyć z bliska prawdziwego bolszewika!

Jak wygląda? Konstancy Paustowski mówił, że przypomina mu Pierre'a Biezuchowa z „Wojny i pokoju”. Ale Biezuchow - tak sądzimy - nie miał ani tyle energii, ani tyle dowcipu, tudzież nie miał aparycji intelektualisty. Przypkowski wysoki jest, wielki, potężny, wąs specjalnym grzebieniem gładzi co chwila, a czuprynę ma wielką, czarną i nie przerzedzoną mimo wieku. Biega po Jędrzejowie w kozuchu, który kiedyś był biały, chętnie ze wszystkimi gawędzi, tu i tam mocnym słowem rzuci. Na przykład: „W gównach toniemy”, aby w następnym zdaniu powiedzieć: „Pojutrze wyjeżdżam do Paryża, będę jadł kolację u Pożerskiego”. Pożerski, wiadomo, król kuchni światowej. Te koneksje wydadzą się jasne, gdy powiemy, iż w Przypkowskim- tu właśnie należy uzupełnić wizerunek mistrza od słonecznych zegarów - na pierwszy rzut oka można rozpoznać nie byle jakiego smakosza!

A zresztą wyobraźmy sobie Biezuchowa w takiej sytuacji: Kładzie się w poprzek jezdni na Krakowskim Przedmieściu, aby sfotografować Kopernika - milicja wstrzymuje ruch i wyjaśnia, że „amerykański dziennikarz robi zdjęcie Warszawy”. Dla informacji: Przypkowski włada perfektem trzema językami. Albo też kto może wyobrazić sobie rzeczonoego Pierre'a Biezuchowa w sekretariacie pana ministra (resortu nie zdradzimy), gdy na wykrętne odpowiedzi sekretarki replikuje: „Jak pan minister będzie drugi raz wyjeżdżał na pilną konferencję, to niech nie zapomni zabrać swojej głowy spomiędzy drzwi swojego gabinetu”. Na to dictum drzwi się otworzyły i uradowany minister przyjął Przypkowskiego i Pieńkowskiego, którzy solidarnie prosili, żeby pan minister się nie przerażał, ale „my jesteśmy dwaj najnormalniejsi ludzie w Polsce”. Minister, jak rzadko który obdarzony poczuciem humoru, odrzekł: „To ja się dopiero teraz panów boję!”.

Nie taki więc to Pierre Biezuchow, jak się Paustowskiemu na pierwszy rzut oka wydało. W pełni ugruntuje nasz pogląd poniższa historyjka.

Dom z zieloną kopułą był oczywiście placówką krzewiącą również wiedzę astronomiczną. Towarzystwo Miłośników Astronomii, założone przez doktora Feliksa, organizowało przeróżne sympozja, w których brał udział Nieszyn, doktor Kwarta, sędzia Piątek, wielu starych jędrzejowian. W roku 1923 zbudowano właśnie rzeczoną kopułę, aby przykryć ustawione na tarasie obserwacyjnym teleskop i reflektor. I trwa w Jędrzejowie u poniektórych nadal owa ciekawość nieba. Gdy kilka lat temu miało nastąpić zaćmienie księżyca, dwaj milicjanci zadzwonili do doktora Przypkowskiego.

- Panie doktorze, jesteśmy ciekawi, jak wygląda zaćmienie księżyca - powiedzieli.

- Ależ proszę bardzo - ucieszył się doktor Tadeusz. - Proszę na razie do domu, bo do zaćmienia jeszcze godzinka!

Milicjanci - podporucznik Gumbisz i kapral Fiutek - usiedli i zaczęli uczenie rozprawiać o apogeach i ekstremach, kiedy pojawiły się kielichy solidne, ze szkła grubego, i doktor powiedział:

- No to wypijmy pod to zaćmienie!

I wypili, a pojemność tych kielichów była większa niż sto gramów. Doktor znowu rozlał, podporucznik był bardzo grzeczny i zawołał: „Zdrowie gospodarza!” - i wypili. Przypkowski znowu rozlał i zawołał: „Pod to zaćmienie!”, ale kapral Fiutek

nie wytrzymał tempa i łyknął na dwa razy. „Tak to my nie będziemy oglądać tego zaćmienia!” - zdenerwował się doktor, któremu ratalne picie Fiutka się nie spodobało. I nalał raz jeszcze, żeby Fiutek się poprawił. I wypili po raz czwarty.

Zaćmienie było kompletne, zupełne, absolutne. I długotrwałe.

* * *

Zegarami Jędrzejów stoi, ale niewiele brakowało, a pozostałyby tylko te na murach. Najwspanialszy zbiór powędrowałby w świat, gdyż Przypkowski rady sobie z tymi instrumentami dać nie mógł. Co wydał pracę naukową za granicą, co jakiś zegar za dolary na Zachodzie zmajstrował, to nowe okazy za własny, dolarowy grosz kupował po antykwariatach. Żona pytała: - Tadeusz, ile zarobiłeś za ten zegar w Besançon? A Tadeusz:

- Dwa małe z warsztatu w Heidelbergu; szesnasty wiek i jeden większy chiński. Poza tym klepsydra i...

Takie to interesy zagraniczne miał Przypkowski, ale na utrzymywanie prywatnych zbiorów grosza nie stawało. Stare domostwo Kielisińskich chwiało się już w posadach od starości, kominy się waliły, wybuch sadzy w kominie pewnej zimy zamienił komnatę gnomonicznych zbiorów w Nigerię, a słonecznego zegarmistrza w kominiarza. Poza tym i tak nie zawsze starczało opału, aby utrzymać cenne przedmioty w odpowiedniej temperaturze, cenne szkiełka klepsydr pękały podczas mrozów w nie opalonym tygodniami pokoju, w którym wściekle miotał się okutany w swój nieodłączny kożuch - z wyglądu kożuszysko - mistrz Przypkowski. Aby zadośćuczynić tradycji rodzinnej - którą zapoczątkował Jan Józef Przypkowski, profesor astronomii krakowskiej wszechnicy - tudzież woli ojca, zwrócił się do władz przesławnej Akademii. Chciał ofiarować swoje zbiory dla muzeum uniwersyteckiego. List w tej sprawie wielki wygotował, nie pozbawiony fantazji i właściwego mu dowcipu, w którym proponował przekazanie zbiorów do Krakowa pod warunkiem, że uczelnia zapewni zbiorom prawdziwie naukowe kierownictwo i wyższe wykształcenie jego dzieciom. Aliści sławetna Alma Mater, przedeliberowawszy kilka tygodni nad sprawą, odrzekła, iż warunków nie przyjmuje. Kontakty się urwały i wieść poszła po Polsce, że jędrzejowskie zegary tylko patrzeć, a przeniosą się do muzeum Kopernikowskiego we Fromborku. Ruch wielki się zrobił, kieleckie „Słowo Ludu” uderzyło w wielki dzwon alarmowy. Czymże bowiem byłby Jędrzejów bez swoich słonecznych zegarów? Nie byłby Jędrzejowem! A czymże byłaby Kielecczyzna bez Jędrzejowa? I tak Przypkowski w końcu zdecydował się przekazać zbiory państwu - a konkretnie Muzeum Świętokrzyskiemu w Kielcach, które zobowiązało się przejąć je jako osobną placówkę pod nazwą Muzeum im. Przypkowskich. Plotkę pana B., jakoby Przypkowski marzył o tytule dyrektora państwowej instytucji, między bajki włożmy. Piękny to był dar, nie mający precedensu w ostatnim okresie. Zbiory bowiem mają wartość około dwustu tysięcy dolarów!!! W sumie trzysta sztuk zabytków gnomoniki; zbiór, prowadzony naukowo, zawiera całe serie, według chronologii ich produkowania przez warsztaty gnomoniczne.

Wyemigrowałby zegar słoneczny króla Stanisława Leszczyńskiego, który budzi zawsze zachwyt u najmłodszych, wyemigrowałby z Jędrzejowa najcenniejsze księgi przypkowskiej biblioteki, pewno wywiałyby i testament Bogusława Radziwiłła wspólnie ze sztandarem spod Małogoszczy. Na szczęście stało się inaczej. Otucha wstąpiła w serca władz: Zbiory Przypkowskich pozostaną! A więc zegar króla Leszczyńskiego dalej będzie zachwycał najmłodszych. Na alabastrowym cokole - obok tarczy z cyframi godzin - ustawioną ma armatkę na lawecie, a nad nią wielką soczewkę. Kiedy słońce znajdowało się w zenicie, promienie skupiały się w soczewce, zapalały lont od maleńkiego pocisku i armatka oddawała wystrzał. Król Leszczyński, zajęty wówczas jakimiś obliczeniami astronomicznymi w swoim pałacu w Nancy, na pewno wtedy podskakiwał w fotelu! Ciekawi losów zdrajcy z czasów „Potopu” będą nadal mogli w Jędrzejowie przekonać się, jak wspaniałą polszczyzną pisał książkę Bogusław, każąc pochować się w polskiej czamarze (Zagłoba tu by powiedział: „A niech go psi zjedzą!”); sztandar spod Małogoszczy - z orłem i pogonią, ozdobiony napisem „Zjednoczenie Wieczne” - czekać będzie na drugą połowę w Miasteczku nad Brzeźnicą; druga część sztandaru znajduje się pod Paryżem u państwa Casiel, czyli u Kazimierza Zielenkiewicza, ożenionego z Katarzyną Sinclair of Turso, kuzynką królowej angielskiej. W ten sposób nie tylko pan Zielenkiewicz został lordem, ale Przypkowski kuzynem królowej angielskiej, jako że Zielenkiewicz jest jego kuzynem. Casiel maluje niezłe obrazy, które mają szalony popyt zwłaszcza u Amerykanów, oraz jest ojcem... Klementyny Stuart, takie bowiem nazwisko z tytułem otrzymała córka pani of Turso od kuzynki, Elżbiety II, w prostej linii dziedzicząc imię i nazwisko po prababce, Klementynie z Sobieskich Stuart... To wszystko ostatecznie Przypkowski mógłby Casielowi wybaczyć, gdyby nie fakt, że zabrał z Jędrzejowa drugą połowę małogoskiego sztandaru, na którą Przypkowski ma taką ochotę...

Rozpoczął Przypkowski straszliwy korowód z przebudową swego muzeum, ale o zegarze wodzisławskim nie zapomniał. Ten zegar, zawieszony na wieży kościelnej, był bezsporną własnością Przypkowskich, jako że jeszcze doktor Feliks dał go na przechowanie proboszczowi. Działo się to gdzieś w 1838 roku, gdy oprowadzany przez Żydów po wodzisławskiej bożnicy zobaczył płat wielki ołowianej blachy. „Co to?” - spytał. „Co to może być?” - dziwili się Żydzi, kiedy doktor Feliks oglądał ową blachę z wygrawerowaną tarczą słonecznego zegara. „My to nawet możemy panu doktorowi dać, jak się tak strasznie podoba!” - powiedzieli rabin i jego pomocnicy. Dali. Doktor zabrał, ale zdołał ów ciężki przedmiot dowlec tylko do plebanii i tu zostawił na przechowanie. A zegar słoneczny był rzadki, sprowadzony z Danii, z warsztatu nieznanego, z wykazem świąt kalwińskich u dołu. Zainstalowano go w 1637 roku na zborze, który z biegiem lat przemienił się w bożnicę, następnie zaś w magazyn GS-u - piękna, renesansowa budowla, wielka, unikat w skali europejskiej. Zboże w nim trzymają.

Ksiądz zegar nie tyle przechowywał, ile wywiesił na wieży. Nie przeraziły go widać heretyckie napisy na tarczy. Przypkowscy od dawna chcieli już rewindykować wodzisławski zegar, ale żadne argumenty nie trafiały. Nawet ten, że przecież zegar wskazuje źle czas, został bowiem dla Danii obliczony, nie dla Wodzisławia. Obietnice, że w zamian wykonają na kościelnej wieży nowy zegar, nie odnosiły skutku. List samego biskupa z Kielc nie zrobił na plebanie szczególniejszego wrażenia. Udało mu się podbechtać kilku parafian, aby czynili wrzask przeciwko oddaniu zegara. I czynili. Więc pleban mówił, że nie może przeciwko woli parafian wystąpić. Wreszcie Przypkowski wsiadł w auto z konserwatorem Michałowskim, tudzież z cywilnymi milicjantami, i zegar został po sześćdziesięciu czterech latach plebańskiej niewoli z Wodzisławia przewieziony do zbiorów Przypkowskich. Niemniej doktor Tadeusz obietnicy dotrzymał. W lecie 1963 roku przy kościelnej wieży zbudowano rusztowanie, na które weszło dwóch mężczyzn. I na murze pojawił się gnomon, naukowo wyliczony dla tego właśnie miejsca - wskazówka nad tarczą z lwią głową, którą otacza płomienista grzywa. Jednym z dwóch mężczyzn był doktor Tadeusz, drugim jego syn, Maciek, który samodzielnie już wycinał pewne fragmenty w graficie, dzielnie ojcu sekundując, na razie bez naukowego tytułu ani nawet maturalnego patentu... Maciek śpiewa różne jazy przy gitarze, entuzjazmuje się Eddie Fischerami, Chubby Checkerami i Beatlesami, nie przejawiając na razie wielkiego zainteresowania gnomoniką. Ale plastyka go ciągnie, zaczął komponować jakieś obrazy surrealistyczne, trochę pod paryskiego Casiela.

Jesienią 1963 roku, gdy Przypkowski wrócił z wojaży do swojej jędrzejowskiej rezydencji, zabrał się ze zdwojoną energią do urządzania „ogrodu czarnoksiężnika”.

Tym razem wrócił z Madrytu przez Paryż. W Madrycie był na Kongresie Bibliofilów. I właśnie ten bolszewik, jak go nazwała markiza Mesa di Asta, zaglądał w Madrycie nie tylko do luksusowej knajpy Horchera, ale biegał po antykwariatach, żeby powiększyć swoje - a raczej państwowe - zbiory gnomoniczne. Znalazł zegar słoneczny, grawerowany na drugiej stronie medalu, będącego symbolem władzy jakiegoś generała zakonu jezuitów z Madrytu. Generał, przyjmując oficjalnych gości, gdy tylko miał pod ręką promyk słońca, mógł odwrócić dyskretnie wiszący na swojej piersi medal - i już wiedział, która godzina.

Znalazł jeszcze wcześniej w Wiedniu ładny okaz zegara augsburskiego z kości słoniowej, wykonany przez Troschla, ojca nadwornego malarza Zygmunta III; kupił maleńki zegarek mechaniczny - noszony na szyi przez damy dworu Ludwika XIV, w kształcie niewielkiej kulki z tarczą pod kryształem górskim. Patrzyło się na ów zegarek z góry, przy okazji sprawdzając walory biustu właścicielki, gdyż zegar zalotnie noszony był w głębi dekoltu. Przywiózł też zegar typu Regiomontanus, wykonany w Ratyzbonie, obliczony w połowie XVI wieku, i śmieszny zegarek słoneczny, ze składaną wskazówką na kształt kozika, używany przez pasterzy w Pirenejach. Bardzo tym wszystkim był zachwycony i opowiadając wrażenia z Kongresu Bibliofilów raz po raz wyciągał jakiś nowy okaz, aby pokazać postać mnicha na słonecznej tarczy albo dziwny przydatek w postaci łańcuszka, perełek i serduszka przy jakimś zegarze.

Ten nieefektywny przyrząd pokazał na samym końcu, jakoś od niechcenia, po prostu aby zademonstrować wszystko. „To taki sobie przyrząd - powiedział. - Używali go zegarmistrze jeszcze do końca XIX wieku, kiedy nie było precyzyjnych chronometrów. Służy do określania momentu prawdziwego południa”. Objaśniał

Jeszcze, że wykonywano te przyrządy w Wiedniu, Pradze i nawet Kijowie, że doskonalsze miały lusterka, podczas gdy te mają tylko dwa otwory. Kiedy słońce znajduje się w zenicie, dwie słoneczne krople wpadające przez dwa otwory przyrządu tworzą jedną. Ot, wszystko...

Wówczas już - kiedy Przypkowski wrócił z Madrytu przez Paryż i Wiedeń i przywiózł nowe cuda do swojej kolekcji - moment prawdziwego południa dla Miasteczka był już wyznaczony.

Ale fakt, że Przypkowski tak gorliwie zabierał się teraz do przebudowy swego muzeum, miał tutaj znaczenie uboczne. Pracownie Konserwacji Zabytków z Krakowa przystąpiły z właściwą sobie energią do przebudowy muzeum Przypkowskich na wiosnę 1963 roku. Personel był niesłuchanie dziarski i imperatywny. Pewnego dnia wieczorem Przypkowski spotkał personel leżący w ogródku, woniejący gorzałką i czkający co nieco. „Co pan tu robi?” - zwrócił się delikatnie doktor do personelu. „Widzi pan, jaki ja jestem solidny. Dziesiąta wieczór, a ja jeszcze na budowie!” - odrzekł personel i odwrócił się na drugi bok. Pomimo tych drobnych incydentów przez lato ogród został obwiedziony murem, a kilka obrzydliwych komórek rozebranych. Orowadzając nas po owym rumowisku mógł jesienią już Przypkowski pokazać ów mur i powiedzieć, co pośród ogrodzonej przestrzeni się znajdzie.

Najpierw o murze, który otoczył już „ogród czarnoksiężnika”, gdzie pośrodku stanie pawilon wystawowy, wzorowany na najlepszych budynkach muzealnych Europy i Ameryki. Sam mur ma w sobie coś z murów kalwarii reformackich, z uwagi na przepaściste wnęki, w których swobodnie siadać można, choć nie tylko temu celowi mają służyć. We wnękach Przypkowski własnoręcznie zamierza wymalować w sgrafficie kolorowe symbole żywiołów ziemskich, znaki zodiaku, symbole planet i słońca, które wszystkim tutaj rządzą. Mur może pochwalić się nie tylko reformackimi pokrewieństwami, łączyć go mają również parantele z ogrodzeniem parku Morgana w Nowym Jorku, tudzież z ogrodzeniami osiemnastowiecznych rezydencji, które Przypkowski oglądał w Filadelfii. W „ogrodzie czarnoksiężnika” rosnać będą różne czarodziejskie zioła alchemiczne, których ogródek zaplanować ma doktor Reszke z Krakowa, wybitny historyk farmacji. Istniejące w ogrodzie piwnice funkcjonować będą nadal, a pokosztować tam będzie można wzmacniających płynów, we własnych Przypkowskiego alembikach wydestylowanych. Ta instytucja wiąże się z tradycjami sąsiedniej posesji, także do muzeum włączonej, gdzie się znajdowała starodawna apteka, najpierw przez klasztor cystersów, potem przez niejakiego pana Damazego Patka prowadzona. Tutaj właśnie sławny zegarmistrz, Antoni Patek, brat Damazego, odbywał pigularską praktykę, zanim w Szwajcarii zaczął produkować zegarki dorabiając się fortuny. Przypkowscy zachowali tablicę pamiątkową z tej apteki, jednej z najstarszych w Polsce - napis łaciński głosił: „Przewielebny w Chrystusie Ojciec i Pan Augustyn hrabia Wessel, Opat tutejszego Arcyopactwa tę aptekę przez niesprawiedliwość czasów i fatalne poniżenie całej Ojczyzny zdewastowaną (mowa o wojnach szwedzkich) i wszelkich lekarstw pozbawioną 24 sierpnia 1712 roku na nowo założoną kosztem własnym i staraniem oddając ją do użytku publicznego, wyrestaurowaną i najlepszymi lekarstwami opatrzoną przez Wielmożnego, Przesławnego Pana Franciszka Ferdynanda Doniego, Doktora Filozofii i Medycyny, wdzięczną duszą gminie i społeczeństwu przekazując”.

Także Przypkowski, doktor filozofii, chciałby ją w przewyborne lekarstwa zaopatrzyć, gdyż na ucho każdemu powiada: „Te dawne apteki to były właściwie małe gorzelnie, gdzie pędzono gorzałkę i zaprawiano ziołami, a nazywano to lekarstwem!”.

Dach na aptecznym domu, którego żywot datuje się od XVII wieku, będzie nosił kształt dawny, łamany, nieco w stylu rokokowym, jaki był panował do XIX wieku. Wróćmy jednak do pawilonu, który - wykorzystując wzory Muzeum Historycznego w Wiedniu, Pawilon Baudouina w Brukseli i Cordinglass pod Buffalo - znajdzie architektoniczną jedność pod jędrzejowskim niebem, zaprojektowany przez inżynierów Makowca i Egera. Nad całością czuwa nie kto inny, tylko sam profesor Jerzy Hryniewiecki!

Ba, kręci się Przypkowski jak oparzony, bo nowy pomysł mu głowę rozsadza. Ledwie wrócił z Madrytu, już myśli o następnym kongresie bibliofilskim w Londynie. Te piekielne bibliofile ze wszystkich stron świata ogromnie Przypkowskiego lubią, ciągną go do siebie, chętnie z nim rozmawiają, bo Przypkowski dowcip jak diabła ma na zawołanie, i to w dodatku w trzech językach od razu, nie mówiąc o polskim, Rejowym. Więc chcąc im zrobić frajdę, umyślił sobie wydać druk bibliofilski na kongres w Londynie. Będzie to oda Samuela Przypkowskiego, studenta: Uniwersytetu w Londynie, ku czci obrony Ostendy przed wojskami Albrechta Habsburga. Dla dodania pikanterii oda drukowana będzie na papierze isabelle, który ma swoją historię: księżna Izabela, córka Filipa II, ślubowała, że nie zdejmie koszuli, póki Albrecht nie zdobędzie Ostendy; ponieważ fakt ten dość długo nie następował, koszula stała się koloru różowobeżowego i ten kolor nazywa się właśnie isabelle. Przypkowski chce jeszcze dodać znaki wodne Barcelony i na tym przez przekorę drukować utwór antyhabsburski swego przodka. Ładne?!

Któż jednak przetłumaczy utwór zacnego pana Samuela, praszczura imci doktora Tadeusza, na język angielski?

W tym miejscu musimy przedstawić państwu pewien obrazek krakowski: W dzień deszczowy władze podwawelskiego grodu, przedstawiciele miejscowego Parnasu i reporterzy wyczekują na przybycie laureata nagrody Nobla, znakomitego prozaika, Johna Steinbecka. Deszcz pada, władze się denerwują, sekretarze telefonują: Czy nie stało się co panu Steinbeckowi po drodze, jako że jechał on samochodem z Warszawy na południe? Po czterech godzinach Mr Steinbeck przybył do Krakowa tłumacząc się, że bawił w Jędrzejowie u pana Przytkowskiego, że właśnie Jędrzejów jest „wonderful and beautiful”. Nigdy jeszcze ta zbieranina obskurnych domków, pod nazwą pochodzącą od Jędrzeja, nie doczekała się takiego komplementu. Trzeba jednak dodać, że w tym miasteczku Mr Steinbeck oglądał tylko dom z zieloną kopułą i nagromadzone w nim dziwności.

Tak więc odę do obrońców Ostendy, pióra imci pana Samuela, przełoży na angielski Mr John Steinbeck.

Czy istotnie to niepozorne miasteczko nie ma królewskich iście koligacji?!

Rozdział III

Prawda czy kłamstwo - powiadajcie, co chcecie - a najdonioślejszą rolę w zawijasach doktorowego żywota odegrała przypkowska dzięgielówka, sprawa, jak i Przypkowskiego mistrzostwo w kucharzeniu, bardzo istotna w tej historii, bo zamykająca w pełną kompozycję rysunek postaci, dla Jędrzejowa (nazwijmy to tak) modelowej. A więc dzięgielówka. Jest to napój staropolski, wyborny i krzepki, w karafce srebrem okutej, z wyglądu niepozornej, litr jednakże łatwo mieszczącej, którą doktor przywiózł z Moskwy. Zawsze to. gdzieś Przypkowski zioła dzięgielu wyszpera - ziele to rzadkie, prawdziwe jego okazy rosną pono tylko na wyspie Uznam i w Tatrach pod Czarnym Stawem - spirytusu doleje, po czym, ku przerażeniu pewnie komitetów antyalkoholowych, sączy zielonkawy napój do osobliwych, srebrnych czarek. Na nich wyryte łacińskie dewizy uprzyjemniać mają ceremoniał - tak więc przed wychyleniem toastu każdy gość może odczytać, co na jego pijackim instrumencie wygrawerowano. Stoi tam wiele i dwuznacznie: „Post poculum curva recta”, co prawidłowo na język polski tłumaczyć trzeba: „Po kielichu krzywe - proste”; także: „Sine Baccho friget Venus”, czyli „Bez trunku stygnie miłość”. Ów zielonkawy nektar, srogi (65%) a znakomity, miał wywoływać czasami nawet polemiki prasowe. Tak oto - podług jędrzejowskiej legendy - Waldemarowi Babiniczowi, pisarzowi i ojcu Uniwersytetu Ludowego w Różnicy, gdzie od lat siedzi, zdarzyło się w artykule o Miasteczku uczynić przytyk mimochodny:

„Nawet znamienity doktor Przypkowski idzie czasem ulicą, lekko się zataczając po ćwiartce.”

Przypkowski nie omieszkał napisać riposty:

„Chciałem sprostować informację znakomitego Waldemara Babinicza, który obraził moją rodzinę. Jeszcze żaden z Przypkowskich po ćwiartce się nie zataczał!”

Prawda czy łgarstwo - dziś nikt nie dociecze, tak jak nie zliczy litrów dzięgielówki w domu z zieloną kopułą wypitej. Dzięki niej Broniewski, kuzyn Przypkowskich, niejeden wiersz napisał, dzięki niej rodziły się najwspanialsze koncepcje Przypkowskiego i wszystko to stworzyło wokół tego domu i osoby Przypkowskiego aurę osobliwą i na wpół legendarną. Dzisiaj to czasy na pozór bardzo odległe. Przypkowski sarmacką fantazję już tylko bujnie rozkrzewionym wąsem markuje; choć i w tamtych czasach, kiedy to hucznie się bawiono, „bibendum esse”, nikt nic nie mógł Przypkowskiemu zarzucić. Miał pod pieczęciami wystawione świadectwo moralności, „że urodzony Tadeusz Przypkowski prowadzi się moralnie, a napojów alkoholowych nie używa”. Można by tutaj Kosowskiego, który to ponoć widział, posądzić o tęgą finfę, aleć dowcip godzien był Przypkowskiego: Świadectwo, którym się uporczywie legitymował, pochodziło z roku pańskiego 1915, podpisane przez byłego wójta gminy Jędrzejów, Krawczyńskiego...

Ów glejt nie pomógł mu jednak, gdy przed rokiem 1956 relegowano go ze Stowarzyszenia Historyków Sztuki.

Przysłano mu otóż zaproszenie na zjazd Stowarzyszenia, który miał odbyć się w Nieborowie; że przed wojną Przypkowski znał dobrze Radziwiłła z Nieborowa i lubił go, a lubiąc sympatii nie cofnął, odpisał: „Za zaproszenie dziękuję, pod nieobecność gospodarza w domu nie bywam!”. Jako element obcy klasowo wykluczono Przypkowskiego ze Stowarzyszenia. Aliści przyszedł rok 1956 i uczone głowy we władzach Stowarzyszenia doszły do wniosku, że się już Przypkowskiemu stylu bycia nie zmieni, że więc zbyt surowo zareagowano na dowcip. Uznano teraz rzecz za kawał, wszystko na ówczesny brak poczucia humoru zwalając. Postanowiono doktora Tadeusza rehabilitować i przywrócić mu prawa członkowskie. Zaproszono go na bal na Wawelu, gdzie sama śmietanka historyków sztuki miała balować; na tę okazję doktor smoking przywdział, miał swego kozuszyska - zarzutkę czarną i biały jedwabny szalik, na głowę - czarny eden. Pojechał nie przewidziawszy, że od krakowskiego dworca na Wawel wiedzie sławna droga królewska, przy niej knajp coś siedem, więc gdy już Floriańską i Grodzką pod Wawel przedefilował, świat zdawał mu się najpiękniejszy, zaś wina władz Stowarzyszenia Historyków Sztuki nie do odpuszczenia. Wtargnąwszy na Wawel zatrzymał się w drzwiach sali, gdzie bal się był zaczął; wszyscy ujrzeli go - zrehabilitowanego - podbiegli witać się. Przypkowski - akurat przerwa w tańcach była - zawołał stentorowym głosem:

- Mam wejść czy nie wejść?!

Przeto wszyscy, żeby swój grzech zmyć, zrehabilitowanego ująć, podskoczyli co rychlej:

- Ależ prosimy, prosimy!

Przypkowski wówczas na cały głos, prawicą uderzając się w pierś usmokingowaną:

- Nie was, chamy, się pytam, tylko własnego sumienia!

I trzasnąwszy drzwiami wyszedł. Jedni szeptali z oburzeniem, inni z aprobatą, lecz nic już nikomu nie było dziwne, na odwrót, zamiast grzechu zyskał doktor uśmiech niejednego notabla, ugruntowując ostatecznie swój glejt „ostatniego szlachcica Rzeczypospolitej”, co to go jednego i Ludowej Polsce potrzeba...

- Jakbym pana Paska widział! - rozczuła się Jedliński.

- Jakiego znowu Paska?

- Tfu, zbereźniku, Jana Chryzostoma. W Olszówce tutaj wydrę w stawie trzymał.

Było to po owej dzięgielówce, więc kiedy się okazało, że Olszówka tuż pod bokiem, pognaliśmy za Wodzisław szukać śladów onegoż protoplasty hodowców zwierząt futerkowych. Samochód dojechał tylko pod kościół w Mieronicach i ugrzązł w błocie. Tutaj ujrzelśmy niewielki kościółek, gotyk z pięknymi freskami z XIV wieku w prezbiterium.

- W tym kościółku pan Jan Chryzostom Pasek - perorował doktor Jacek złowieszczko - popadł w małżeńskie okowy i z panią Łaską, wdową po stolniku, wysłuchał „Veni Creator”. Panny, musicie wiedzieć, nie byle jakie mu do ożenku przedstawiano, ale mu je koledzy obrzydzili. Śladkowska, starościanka sochaczewska, „zła jako jaszczurka, popija nie bez mała”, a Radoszowska, stolnikówna, matkę miała „swawolną występnicę”.

- I dlatego został Pasek hreczkosiejem w Olszówce?

Żeby z duchem być w zgodzie, wyciągnęliśmy z dna naszego dyliżansu spory bukłaczek gorzałki innej, zwanej trisz divinis, mieszanki na ziołach uwarzonej, której receptury nam pod tysiącem przysiąg dostarczył pan Kot Pieńkowski, konserwator sztuki i Przypkowskiego przyjaciel. Wypiliśmy po jednym na dobrą drogę, bo nas czekały trzy kilometry marszu polną miedzą. Jedliński, że abstynent, dobrotliwie wzdychał, oczy do nieba podnosząc:

- Oj, moczymordy, wy moje chłopaki...

My robiliśmy swoje. Ale wiosna już była, upał się zrobił okropny, trisz divinis rozebrał nas co nieco na słończku. I kiedy już rzeczka Mozgawka zagroziła nam drogę, okazała się przeszkodą nader trudną. Kładeczka była wąska i długa na dwa metry, co w warunkach trisz divinis było nie lada przeszkodą. Najpierw jeden z nas, R., wpadł po kostki do wody; nie mógł trafić do brzegu i: „Ratuj!” - wykrzyknął. Jedliński podpowiedział chytrze: „Zażądaj stu złotych”. B. wyratował kolegę, grosz otrzymał natychmiast. Aliści kiedy sam przechodził, stracił równowagę i wpadł po kolana.

- Za stówkę! - zgłosił się R.

- Zgoda! - zainkasował czerwonońca. Po tej ceremonii Jedliński spytał:

- Ile macie?

Obliczyliśmy swoje zasoby gotówkowe i okazało się, że mamy tyle samo, co mieliśmy. Wykrzyknął:

- A po cóżeście się ratowali?!

Ruszyliśmy w drogę. Staw jakiś było już widać, w którym się taplały kaczki, a ponad nim, na wzgórku, rozsiadłą budowlę mocarną, skarpami podpartą.

- Wspaniała fortalicja! - ocenił R.

Jedliński kiwał tylko głową i powtarzał:

- Trisz divinis, trisz divinis!

Fortalicja okazała się szkołą, wybudowaną przed kilku laty, ale że wytrzymałość gruntu nie tyle źle, ile w ogóle nie została obliczona, szkoła zaczęła zjeżdżać do stawku. Pan Makuch, kierownik szkoły, że nie chciał się pewnego poranku wraz z dziatwą i klasą znaleźć na dnie stawu, jakoś tej wędrownicy szkoły postanowił zapobiec i kazał skarpy pobudować, które

niecierpliwiej szkole dały hamulec. Właśnie pan Makuch poprowadził nas przez wieś drogą rozmokłą, wiosenną, poprzez opłotki, w których buszuje ciepły wiatr.

- Tutaj stawek dworski był, jak to opowiadał Stępień, najstarszy we wsi, który zmarł już z dziesięć lat temu. Z dworu Paska śladu nie ma. Fundamenty po dworskich owczarniach jeszcze odnaleźć można, rozebrane i rozorane na polu, ale ślady są.

O wydry w Olszówce nie było już co pytać, wzmocniliśmy się więc jeszcze kielichem trisz divinisa na drogę i zawróciliśmy do Mieroniec. Wyprawa zakończyłaby się fiaskiem, gdyby nie Jedliński, który się nagle rozczulił:

- Co wy tam wiecie, dzieci moje, kiedyście nic u Zaborowskiego w Oksie nie pili.

Po czym ugryzł się w język.

Rzeczywiście była jeszcze jedna wódka w okolicy, która z przypkowską dzięgielówką, tudzież trisz divinisem w konkury zgrabnie szła, nie mówiąc o tym, że wspaniale przez gardło pomykała. Dla niej też ruszyliśmy zaraz nazajutrz ku Oksie i Nagłowicom, tym właśnie przesławnym, Rejowym.

- A wy tam po co? - pytał doktor Jacek.

- Temat kończyć.

- Aha, znowu...

- Temat taki, chcesz, nie chcesz, kończyć trzeba.

Zamiary mieliśmy jak najuczciwsze, jesteśmy więc po minutach kilku w Nagłowicach; wchodzimy do parku, alejką pośród drzew jeszcze nie zazielenionych, pnie potężne mijamy - dębów, które ponoć Rej własną ręką sadził, jak Jedliński informuje klnąc się na swoją siwiznę. Pośród tych drzew stoi rozłożysta, klasycystyczna landara, którą w parę wieków po panu Rej u pobudował Kasper Walewski, szambelan króla Stasia. „Dom tutejszy stanowił jedno z najprzyjemniejszych ognisk towarzyskiego życia w okolicy w początku XIX wieku” - pisał ówczesny pamiętnikarz; że też ktoś w owych czasach miał ochotę do zabaw?! Dwór, budowla wielka i niegustowna jak carska Rosja, równie nie trzymająca się zasad jak pewna kuzynka pana Kaspra, też Walewska; pod dworkiem - piękna stara akacja i obelisk pamiątkowy ku czci Reja. Obelisk fatalny, brzydacki, aliści miło, że niedawno postawiony.

Do dworku Walewskich przybudowany pod kątem prostym pałac Radziwiłła z neoklasyczną kolumnadą - w obu budowlach Dom Dziecka pomieszczono. Doktor Jedliński z kierownictwem tegoż Domu wszedł w sobie tylko wiadome konszachty i... jeden pokój wyłudził. Dla Mikołaja Reja, pro memoria. Kiedy bowiem grupa „Ponidzie” się wyemancypowała, młodzi zaczęli drukować - Jedliński znalazł sobie coś nowego. Nową nazwę wykoncypował: „Modrzewie”, od tych, które Andrzej Rej w Oksie ponoć sadził, i pod tym szyldem grupuje zapalonych regionalistów. Muzeum Rejowe mu się wyśniło utworzyć. I tworzy.

Ciekawość ogromna - gdzie to stał dwór pana Mikołaja? - nie dawała mu długo zasnąć. Wieść gminna powiada, że dworzyszczę stało na wzgórku w głębi parku, tam, gdzie najstarsze dęby rosną, Jedliński z harcerzami się zjawiał, żeby w ziemi podłubać, tam, gdzie jeszcze widać ślady jakiegoś rumowiska, i może wspólnymi siłami do piwniczki się dokopać, zobaczyć, czy weseli kompani pana Mikołaja jakiegoś antańka pełnego przez niedopatrzenie zwykłe nie zostawili. Może znajdą?

Pewien uczony uparł się, że pan Mikołaj nigdy, ale to nigdy w Nagłowicach nie mieszkał; ta myśl Jedlińskiemu nie dawała spokoju. Przegrzebał wszystkie źródła, Brucknerem się podparł, bo ten twierdził, że akcja „Krótkiej rozprawy między panem, wójtem a plebanem” toczy się w Nagłowicach; sięgnął i do przywileju na założenie miasta Oksy. A w przywileju tym pisze, że wystawił go pan Rej nie gdzie indziej, lecz właśnie w Nagłowicach.

„Privilegium Oppidi Oksa. W imię Boga amen. Gdyż Pan Bóg Wszechmogący tak świat postanowił raczył, iż na nim nic pewnego ani długo trwającego byźdź nie może... Dlatego takie rzeczy, iżby dłużej trwać mogły, pismem dla dłuższej pamięci bywają utwierdzone.

A tak ja, Mikołaj Rej, oznajmuję tym listem komukolwiek dziś i na potem, iżem posadził miasto na gruncie swym tworowskim imieniem Oksa...”

Miał rację pan Rej, że nic pewnego ani długo trwającego na świecie być nie może, bo i ta Oksa, zamierzona jako bogata i ludna kalwińska metropolia w Rzeczypospolitej, nigdy świetności nie doszła. Rynek, tak niemal wielki jak krakowski, świadczyć może, na jaką miarę miasto zaprojektowano. Wokół rynku pozostały tylko drobne chałupki, pomiędzy którymi prześwituje bezwstydnie orne pole. Kilka dostojniej szych domków: Gospoda, sklep GS-u, poczta, apteka. No i właśnie w aptecę - sam magister Zaborowski.

Dżentelmen w picassowskim wieku, elegancki, w tużurku i z pięknym motylkiem przy kołnierzu, mistrz trzech specjalności. Dobrześmy zostali wprowadzeni; mistrz zniknął, ze swojej piwniczki wyniósł pękate flaszczyny i ostrożnie, z nabożeństwem począł płyn mieniący się rozlewać do kielichów; wypijesz - w ciągu sekundy smak się kilka razy na podniebieniu zmienia. Raz u przodu języka, jakbyś miąższ pomarańczy ssał, potem - już głębiej - wyborna goryczka koniaku, potem alkohol dopiero, później posmak miodnego piernika, później... Cóż, długo by eksperymentować chcąc ową gamę przyjemności płynących z jednego kieliszka słynnej redłówki pana magistra Zaborowskiego ściśle wyliczyć...

Czy przyrządzenie tego eliksiru stanowi jakąś specjalną tajemnicę? Czy to jakoś specjalnie podchytrzona moc?

- Nie próbowałem nigdy, ale jednak powiem, że ta jest podchytrzona.

„Podchytrzanie” to jakoweś ziółka, które jak przy tajemniczym trisz divinisie po jednym kielichu powodują niemoc w członkach i zawrót głowy. Skąd zacny pan magister doszedł swoich receptur?

Magister Zaborowski pochodzi z Osieka pod Sandomierzem, tego samego, skąd bierze swój ród sławne przysłowie: „Cygan zawinił, kowala powiesili”, także anegdota o tym, jak to zacni osieczanie odkryli, że oś świata skrzypi. Pan magister pojechał na studia aż do Dorpatu, bo wówczas taka wśród adeptów sztuki farmaceutycznej była moda, wywodząca się zresztą z wyliczenia: W Dorpacie studia krócej trwały o rok i można sobie było w laboratorium zarobić. Z Dorpatu, gdzie recept na ważne leki magister się wyuczył, przywiózł też przepisy na swoje diabelskie eliksiry. Pracował we Włocławku w aptecę Seyera, potem u „Wendy” w Warszawie, a od lat z górą trzydziestu siedzi w Oksie, gdzie kultywuje trzy swoje specjalności: Warzy likiery, robi znakomitą maść na odciski i pisze ramotki.

Likiery wyparują z czubów, odciski znikną, a ramotki przetrwają. Pisze, żeby po trzydziestu latach coś dla apteki w Oksie zostawić!

Magister w przeszłości swojej Oksy się kocha, w 1947 roku wystąpił z wnioskiem o uczczenie czterystolecia miasteczka, które przypaść miało w dniu świętego Marcina 1954 roku - tym dniem oznaczył Mikołaj Rej przywilej dla miasta, w Nagłowicach spisany. Ale jakoś do uroczystości nie doszło. Magister zamiaru podźwignięcia Oksy nie porzucił, z dumą opowiada o zborze kalwińskim, co go pan Mikołaj postawił, a syn Andrzej wykończył. Powiada nawet, że pono sam założyciel grzmiał tu z oksańskiej kazalnicy. Słuchać go musiano z wielką estymą: Ostatecznie Rejowa „Postylla” pobiła rekord wydawniczy swoich czasów, Rej-moralizator był niemal Saganką XVI wieku, pięć wydań w ciągu pół wieku to dziś nie byle co - a co dopiero na tak odległe czasy! Autorytet jego w sprawach religijnych był swoją drogą tak wielki, że - o czym poucza młodych historia literatury - pewien prosty kaznodzieja ruski powoływał się na autora „Postylli” jako „światoho Reja”. Anegdota współczesna donosi znowu, że miejscowy proboszcz odprawia modły za pisarza i jego syna, gdyż pono duchy ich objawiają się i straszą koło zboru: Jeden jako walczący-heretyk, drugi jako heretyk walczący kielichem, słynny kiedyś „opój i smok z Oksy”.

Skoro już przy kielichu jesteśmy, Andrzej Rej nie tylko zbor wykończył, nie tylko posadził modrzewie wokół swojej nowej rezydencji w Oksie, ale założył gorzelnię. Po Mikołaju do dziś jeszcze zostało mnóstwo stawów, a i gorzelnia, przez Radziwiłłów z Nagłowic rozbudowana, od nowa dzielnie zasila budżet państwowy. Pan magister snuje opowieść o swym przyjacielu, który w pięknym domku na przedmieściu Oksy, czyli jakieś pięćdziesiąt metrów od Rynku, w imieniu Państwowych Gospodarstw Rybnych klub zakłada. Kawa ma być i od czasu do czasu ryba prosto z wody, czyli ze stawu, który leży - choć rękę wyciągnij - tuż za drogą.

Zwierciadła stawów błyskają wokół Oksy, Nagłowic, pomiędzy ścianami lasów; mistrz Rajmund Palimąka, od sześciu lat samodziernca na pięciuset hektarach wody, miał trafić do lasu, ale trafił do gospodarstwa rybnego. Wybrał się bowiem do liceum leśnego w Czernichowie, które prowadził inżynier Kuczyński, lwowiak. Wykłady jego były dziwne i przepiękne i czasem kończyły się takim epilogiem: „Ta, dzieci kochane, ta to wszystko nie tak, jak ja wam powiedział, ale to dlatego,

że ja konia dzisiaj handluji”. Potem okazało się, że liceum leśne pana Kuczyńskiego było fikcyjne, nigdzie nie zgłoszone, szkołę zlikwidowano - tym sposobem pan Palimąka ma za sobą fikcyjną szkołę leśną i prawdziwe liceum rybackie. Z rybami nie taka prosta sprawa jak z krowami czy owieczkami, chociaż karpie królewskie na rejowskich stawach też paść trzeba, ale inaczej: Karmę im do wody z czółna zrzucić, ponadto nawozy sztuczne dla wzmocnienia składników mineralnych wody, badać też, czy zdrowe, a na to już trzeba je wyławiać ręcznie, sztuka za sztuką. I gdyby nie zastrzyki, którymi leczy Palimąka chore ryby, można by rzec, że technika hodowli od czasów panarejowych się ani na jotę nie zmieniła. Bo przecież taka nawet historyjka - uśmiecha się pan Zaborowski - jak dialog Palimąki z kłusownikiem wydarzyć się mogła łącznie w XVI wieku. Kłusownik stał na grobli i trzymał w ręku sieć na kiju, wielką jak pół pokoju.

- Co pan tu robi? - pyta Palimąka oświecając łotra latarką, bo noc ciemna była, gdzieś koło pierwszej.

- Za własną potrzebą wyszedłem - powiada kłusownik i kuli się po sobie. Pies Palimąki, wielkie bydłę, już krąży wokół zbira i zęby szczyrzy.

- Tak daleko pośrodku nocy? To po co ta sieć?

- Ktoś zostawił - przysięga kłusownik - i uciekł.

Palimąka zobaczył obok leżące ryby.

- Uciekł i wszystko zostawił?! Bał się pewnie takiego, co za potrzebą w nocy wychodzi kilometr od miasta.

- A bo ja wiem... - skamle kłusownik.

Na to Palimąka:

- Jak szliście za potrzebą, to trzeba było papier wziąć z domu. Siecią można, ale bardzo niewygodnie.

I poprowadził nicponia na milicję.

- Tylko się rzucajcie, to pies wam majtki skroi!

Szedł zbir potulnie. Tylko że pies Palimąki w życiu nikogo nie ugryzł, bydłę pocziwe, ledwie szczekać umie.

Pan Zaborowski zdarzenie opisał w swym raptularzu, gości nim uczęstował niby nalewką.

- I co też wy stąd napiszecie - kręci Jedliński głową - o rybach, co?

- A o rybach.

- Oj, grzeszne wy, grzeszne bolszewiki...

* * *

Co do doktora Tadeusza i grzechem byłoby mówić, że tylko jego dzięgielówka budowała legendę swoją w Jędrzejowie, bo Przypkowski ma w jednym palcu - jak rzec można - wszystkie sprawy grzechu siódmego. Gdy śnieg i mróz zwał się na Miasteczko, rzuca swoje słoneczne zegary dla mosiężnej patelni, nad uczoną gastronomiczną, nie astronomiczną, siada księgą, a zapach od kuchni idzie łechcący, głód nieci.

Wbrew wyobrażeniom kuchnia ta inna niż u starego Reja; ten się na kuchni znał niespecjalnie, a jadł fatalnie i niezdrowo: „...zawždy, kiedy przyjechał, pudło śliw jak korzec krakowski, miodu praśnego pół rączki, ogórków surowych wielkie niecułki, grochu w strączkach cztery magierki - na każdy dzień na czczo za wzdę to zjadał. A potem z chlebem mleka garniec zjadłszy, jabłek z kopę, a pół tryfusa gniłek spałszy, do tego sztukę mięsa albo cztery świeżego wezbrawszy, półmiskom kilkom czupryny zmiąwszy, kapustą kwaśną potem dorobił, mało już o żabki włoskie dbał. Potem, gdy do ugaszenia pragnienia przyszło, gdybym o tym szeroko pisał, byłoby niejednemu śmieszno...” - pisał o Reju Wereszczyński. Jeśli nawet pół na karb niechęci Wereszczyńskiego dla Reja złożyć i odliczyć, to i tak żarłoczność ojca naszej literatury zdaje się nieposkromiona. Przypkowski każe jeść lekko a wykwinnie. Wiele bowiem - rzecze - od wytworności kuchni zależy.

Hobby jego zostało już niejako upaństwowione, za poręką samego mistrza, który uznawszy przyrządzanie potraw za sztukę prawdziwą jako pierwszy w Polsce gastronomica wprowadził pod dach muzeum Przypkowskich, z czego wynika niedwuznacznie, że jest to muzeum astronomiczno-gastronomiczne.

Dział gastronomiczny jeszcze nie urządzony, co prawda, ale już w projektach żyje. Jaki będzie? Od drzwi kuta krata z roślinnym ornamentem. Ściana klatki schodowej wyłożona krążkami od piwa, których Przypkowski w wożach przez obie półkule sporo nazbierał. Wśród innych honorowe miejsce zajmie krążek „Browar Jędrzejowski”, nie dlatego, aby piwo tu było najlepsze, ale dlatego, że jędrzejowskie. (Krążki z napisem „Jędrzejower Brauerei” odnalazł Przypkowski w jakiejś monachijskiej biersztubie). Ale wówczas - jak nas poinformował dyrektor browaru - produkowało się 6 do 8 tysięcy hektolitrów rocznie, podczas gdy dzisiaj ten sam, niewysoki, żółtawy kurniczek robi aż 32 i pół tysiąca hektolitrów! Więc piwo nawet swego czasu nie może odleżakować, tylko od razu je wiozą do rozdziawionych gardeł piwoszy. W zimie jeszcze jako tako. Latem jednak, kiedy zapotrzebowanie jest wielkie, istna lura. „Nasz rejon to słońce - powiada dyrektor. - Nie ma słońca, jest piwo. Jest słońce, nie ma piwa!” Co do nas, w browarze zaczęliśmy obcesowo: „Byliśmy w lecie w Szydłowie i chcieliśmy piwa. Kelnerka powiedziała nam, że nie dowieźli, bo wczoraj piorun strzelił w jędrzejowski browar. Znając wysoką jakość jędrzejowskiego piwa odpowiedzieliśmy: «Najwyższy czas!».. Dyrektor na szczęście okazał poczucie humoru: „Panowie, pioruny biją w dęby, a nie w wygodki” - oto jak wyjaśnił nam mechanikę, na zasadzie której browar ocalał.)

Na parterze kuchnia współczesna, czynna od czasu do czasu, która, działając przy muzeum, gastronomiczne honory będzie czynić dla najwybitniejszych gości. A na piętrze kuchnia stara - archaiczne misy cynowe, patelnie mosiężne i rondle przedziwne. Unikaty europejskie, cała Europa oddała mosiężne i miedziane naczynia na pociski podczas dwóch ostatnich wojen, tylko Polska je pieczołowicie ukrywała, stąd wiele przetrwało. Samowary piękne na kredensie, mosiężne brytfanny na ścianach korytarza. Tak więc Przypkowski w Jędrzejowie, a w Paryżu siedział Pomian Pożerski, po którym Przypkowski ściąga teraz gastronomiczną bibliotekę do Jędrzejowa; tamże w Paryżu Maurice Saillant, przewodniczący Akademii Gastronomów, tamże Topoliński i Babiński. Maurice Saillant wybrał sobie pseudonim, okrzyk rozpacz: „Curnoński” - cur non ski (dlaczego nie „ski”, czyli czemu nie ma przynajmniej polskiego nazwiska?!). Albowiem jak paryska kuchnia najslawniejsza w świecie, tak w paryskiej kuchni najslawniejsi gastronomowie - Polacy. A Pomian Pożerski na dwa lata przed śmiercią stał się ateistą i to ponoć przez krajową polską kuchnię. Zjadł obiad w „Grandzie” warszawskim, po czym powiedział dziennikarzom: „Od dzisiaj w Boga nie wierzę!”.

Przed śmiercią zapisał swoje sztuce „Tadeuszowi Przypkowskiemu z Jędrzejowa”.

Rozdział IV

Było, nie było, ale było, jak było. Doktor nie jedyny ani wyjątkowy.

- Dwa żółtka utrzeć z cukrem, pół szklanki mleka, trochę wanilii albo cytryny dla zapachu i ćwiartka wódki... piliście coś takiego?

- Gdzieżby, aniśmy słyszeli.

- O, łgarze! Idziemy do mnie.

Kolebie się Nieszyn drogą, słońce ściele mu się pod nogi. Oko zamyka, sapie spod sumiastości swoich wąsów:

- Na moim grobie pusta ćwiartka stanie, ale się za tę ćwiartkę zrobiło coś niecoś dla Jędrzejowa.

Nieszyn - jędrzejowianin. Wszyscy jego najbliżsi daleko: W Katowicach siostra, w Szczecinie siostrzeniec. Chłopakiem chował się u ciotki. Była to piękna, dorodna kobieta, wychowaniec kochał się w niej po cichu. Wzięła sobie męża z garbem, a kiedy umarł, została po nim renta kolejowa; starczyło na wszystkich - syn ciotki skończył Akademię Górniczą w Krakowie, córka w Nowej Hucie.

Nieszyna brat, pułkownik w Warszawie - oba jak żubry, chłopcy zwaliste, potężne. W młodzińcych latach występowali na boiskach sportowych pod pseudonimami, bo uczniom wtedy nie było wolno inaczej. Startowali w „Cracovii” jako Normund Pierwszy i Normund Drugi. Normund Drugi z Jędrzejowa rzucał oszczepem, w dwudziestym ósmym zdobył mistrzostwo śląskiego okręgu, a i teraz, mieszkając w Warszawie, co dzień odprawia gimnastykę poranną, skacze, przebiega sto metrów, zanim siądzie do śniadania. Normund Pierwszy grywał na beku całe osiem lat, już wtedy dorosły; dziś - zaszedł przed mały domek - siadł na ławeczce, obciąża nogawice spodni na łydce:

- Nogi całe pokopane, w gruzłach, żyłak na żyłaku. Ale, widzicie, chodzę; jakbym jakiego łobuza musiał w dupę kopnąć, toby jeszcze przez okno przeleciał...

Tu nastroszył wąsy, oczy schował za czerwonymi policzkami, klepał się po udzie.

- Wasze zdrowie, chłopcy. Łobuz tu do mnie nie przyjdzie, a nikogo innego za drzwi nie wyrzucę. To i każdy do mnie jak w dym. My tu starzy. Mój dziad po matce Śmigielski, powstaniec z sześćdziesiątego trzeciego, w Chrobrzu leży, a Stanisław Śmigielski jeszcze pod Sobieskim stawał.

- „Stanisław Nieszyn” będzie na grobie, ani słowa więcej. Taki, co miał kawałek chleba i rzodkiewkę w domu, a co miał, to i dał. Ale ludzie powiedzą, kim był Nieszyn, chłopcy - nalewa do szklanek, każe potem mlekiem popić. - Na nazwisko nie musisz zarobić, ojciec ci zostawi. Ale żebyś mógł o sobie powiedzieć „człowiek”, na to musisz sam zapracować.

Nie mówi, że dziadek Nieszyn z Rosji tu przywędrował i został już w radomskiej wtedy guberni; może sam nie wie, może nie chce wiedzieć. Jędrzejowianin, zna wszystkich i każdy kąt w Miasteczku.

W 1850, kiwa głową, było tu 1938 mieszkańców. Ani jednego mniej, ani więcej. Polaków i Rosjan. Niemców nic. Dziesięć lat później pojawił się tu pierwszy starozakonny.

160 domów było murowanych, 173 drewniane. Dziś, ledwie sto lat minęło, świat inny. Nieszyn się nie zmienił... Kiedyś Abele Hammermesch wydawał córkę za męża, Nieszyn prowadził w powiecie księgi wyznań niechrześcijańskich, Abele do niego:

- Ja pana bardzo zapraszam...

Abele pośredniczył między bożnicą w Wodzisławiu a urzędem wyznań, stąd się znali; minął tydzień, drugi, wreszcie podjął u siebie Nieszyna z kolegą.

- Ach, było u mnie wesele, panowie szanowni nie byli, a tu osiemdziesiąt osób piło, pół litra spirytusu wypili... - Tu Abele na stół wyciągnął trzy srebrne kieliszki, ze stugramowego bączka trzy razy ulewał im po kilka kropel, gdyby „panu naczelniku” zaprosił na bal, goście by łyka nie wleli do gardła. Abele ze strachem patrzył na turzą postać Nieszyna. Nieszyn

aż zagulgotał z oburzenia, Abele dziękował Opatrzności, że zapomniał „panu naczelniku” prosić we właściwym terminie. Nie lubił „wyrzucać” pieniędzy Abele Hammermesch, inaczej niż biedni żydowscy czeladnicy, którzy swoimi groszami zasilali strajkowe kasy miejscowych robotników. Abele był oszczędny, a „panu Nieszynu to i osiemdziesięciu samych rabinów nie dałoby rady”, choć twierdził zawsze pan Nieszyn, że wódka nie szkodzi, nawet i dużo, nawet i bardzo dużo, byle w miarę utrafić i żeby z głową ku niebu człowiek szedł do domu, a nie podpierał się brodą...

Kto mógł - powiada Nieszyn, przewodniczący Powiatowej Komisji Planowania Gospodarczego - to się dorabiał w tamtych czasach, księżom nie dawano tyle co dziś, raz chodził proboszcz po kołędzie, potraktowano go kolacją, aliści dzieciak drze się za ścianą: „Mama, jajecznicy!”, zaś matka mu przez zamknięte drzwi: „Cichaj, głupi, ksiądz nie będzie taką świnią, nie zji wszystkiego”. Handel, drobny przemysł, większość była w rękach żydowskich kupców, ci chodzili w jarmułkach, wedle zakonu, z pejsami, tylko Horowicze, właściciele tartaku, Artur i Moszek, obok nich najwięksi potentaci: Werdiger i Szpilberg, władcy firmy „Werdiger i Szpilberg”, dzierżącej młyny i jędrzejowski browar, nosili się z europejska, choć rytuał zachowywali i lojalność wobec kahału należytą. Miasteczko rozbrzmiewało dźwiękami żargonu, prawie połowę mieszkańców stanowili wyznawcy Talmudu, większość z nich biedota. Ci utrzymywali się z handlu domokrażnego, kramarzenia na jarmarkach, wędrowali po wsiach skupując nabiał, drób, pierze, najubożsi zaprzęgali się w szleje do małych dwukołowych wózek z dyszlem, wozili mąkę z młynów do sklepów albo co podeszło; „lepszy sort” miał już swoje lokale; sklepiarze, „handełesy”, do dziś przetrwały maleńkie kliteczki wokół jędrzejowskiego ryneczku, gdzie metr miejsca „dla gościa” i metr było miejsca „dla Żyda”, do tego lada i półka, a już interes szedł, żyć było z czego, biednie, ale na swoim, nędzy zagruźliczonych chałcziarzy nie dostrzegało się tak, jak majątkości nowych posesjonatów: Ickowicza i Dykermana, właścicieli „Podkówczarni”, Stobieckiego, posiadacza tartaku, Cukra, którego fabryczka wyrabiała rydle i łopaty, Wilczkowskiego z wodnego młyna, restauratorów Manelego czy Mendrowskiego, nie mówiąc już o Horowiczach, Werdigerze, Szpilbergu, o rzeźnikach czy piekarzach, z których tylko jeden z trzema synami sam pracował przy nieckach i piecach, inni bowiem zatrudniali rodzinę przy kasie, we frontowej sklepowej części, na czeladników ściągając sobie chłopaków spośród miejscowych pauprów. Z tych uczniów piekarskich wyrosła potem następna generacja posiadaczy. Z szewców chałupników, którzy pracowali dla wielkich przedsiębiorców, jeden próbował samodzielności, lecz też nie strzymał, wrócił pod skrzydła dawnego patrona, co mu z góry tłumaczył, że się to nie opłaci...

Kariera polskiego drobnomieszczactwa zaczęła się późno, z narodzinami budki spożywczej Piaseckiego, w której dziś urzęduje spółdzielczy sklepik z przyborami szewskimi; obok niego radzili sobie nieźle masarze: Chrzanowski, Chmielarz, Nurczyński, Smerydzyński, z pomniejszych: Zakrzewski, Krupski, Markiewicz. Ci jeszcze po drugiej wojnie święcili prosperity. W sklepach przy swoich jatkach na czwartkowy jarmark szykowali garami - studniami prawie - gorący barszcz; chłop tu przychodził z chlebem albo na miejscu kupował, brał wędlinę, siadał za stołem, naprędce zbitym krzyżową sztuką, najczęściej dobywał flaszki z za pazuchy; u Chrzanowskiego trzy izby zastawione były prócz sklepu, obroty skakały fantastycznie, pieniądze sypały się do kieszeni rzeźników, rzeźnicy z kolei wydawali je tak, by rodziły nowe pieniądze; z bogactwem rosła w nich dusza pańska, szlachecka, rzekłbyś, zwłaszcza że się na tych ideałach wychowali, a niejeden rzeźnik, gdyby dobrze poskrobać, herbem by się pieczętował, tylko że przy mięsie nie wypadało. Fortunki zatem rosły: Jeden od budki przeszedł do sklepu, dorobił się kamienicy i paru placów, drugi jeszcze po wojnie kupił dwie kamienice, trzeci jedną własnym sumptem córce wystawił, inny ciułał na posagi dla córek, wyszedł z czterema posesjami.

Potem nastąpiła wojenna potworność. Z całej gminy przetrwało ją kilku nieszczęśników, co po tym potopie krwawym wrócić tu chcieli na stare pielesze. Niestety, zdziczenie najeźdźcy znieprawilo i co słabsze umysły podbitych; jakiś bandyta, może jeden z tych, którzy wykupywali pożydowskie mienie, ostrzelał dwóch, idących ze zwieszonymi głowami Wodzisławską. Szli i nie odważali się oczu podnieść ku oknom z innymi twarzami, ku drzwiom z odgłosem śmiechu innych ocalałych, lecz nie swoich, którzy nigdy nie śmieli się tak głośno i donośnie jak dawniej „polskie szlachezycy, co u nich zawsze dobry humor”. Jeden z tych dwóch został na opustoszałej nagle ulicy; kiedy wyzdrowiał, drugi, przeklnąwszy Miasteczko, zabrał go w daleką gdzieś drogę, a do spadkobrania po nieżyjących zgłosiło się ze świata zaledwie kilku, i to bardzo dalekich krewnych; z jędrzejowskich Żydów - nikt.

Bóg, mówią w Miasteczku, umyślił widocznie pokarać tych, co się wzbogacili na śmierci, Bóg sam wymierza sprawiedliwość i zesłał na nich komunistów; epopeja jędrzejowskiego mieszczaństwa nie trwała długo. Tylko niech nas nie myli nazwa „mieszczaństwo”; odchodzi ono w przeszłość nie po mieszczańsku. Odchodzi po szlachecku, z pychą i

zaciekłością karmazynów, z gestem niekiedy; ufa, że ostatni bastion trzyma się dawności, która musi wrócić z niebytu, choćby najdalszymi zakolami historii, do dzieci czy wnuków. Tu jeszcze, klną się, Polska jest, póki my żyjemy. Byle tylko nas własni gówniarze nie zdradzili; ale „jeich oni kupią, szubrawcy, nie kazują jeim troszczyć się o swoje, zarobisz, to s... do domu i niech ci starczy na jaja z kielbasą”...

- Jajecznicą z kielbasą - rozmarza się Nieszyn. - Niech was, chłopcy... Do dziś jak na wsi uczują, to opowiadać kończą: „...i była, wicie, jajecznicą z kielbasą”. Specjał dobrobytny.

Lecz ambitny nie kończył, w rozumieniu posesjonatów, na jajecznicy.

- Jest tu rodzina Nawarro - rzecze naraz Nieszyn. - Tylko że ja o tym nie będę mówił, pogniewaliby się na mnie śmiertelnie, sami, co było, to spalili - zasumował się nagle.

- To my już wiemy i bez nich...

- Bazyli straż pożarną ukochał, dla niej gospodarki poniechał prawie, kiedyś dom postawił, dziś to na psy zeszło. Bazyli, do dziś naczelnik honorowy straży, a sławny był w Jędrzejowie... Na pożar lepszy od księdza i godziniek, jak się Pińczowska paliła, Żydzi co się dało wynosili ze sklepów do sadów między drzewa, ale kiedy ktoś wrzasnął: „Nawarra kimt”, wzięli się z powrotem nieść towar na półki. Takie Bazyli miał u ludzi zaufanie.

- Nie o Bazylego idzie...

Na jędrzejowskim cmentarzu pochowano przed laty księdza Franciszka Nawarro, pardon, de Nawarro, bo tak się pisał za życia, aczkolwiek nie z urodzenia. Na starość rezydował u cystersów; nim zeszedł z tego świata, wymurował sobie na zapas olbrzymi grobowiec. Mówiąc bez ogródek, ojcowie mieli go za bzika i nieszkodliwego mistyfikatora. W Miasteczku nie wszyscy skłonni są im wierzyć, poniektórzy cmokają sceptycznie: „Może trochę było prawdy i po jego stronie, kto wie?”, bo sceptykami zwać tu wypada właśnie ich, powątpiewających o słuszności powszechnego przekonania, że wszystko w księdza Nawarry supozycjach wynikało z bujnej imaginacji tego poczciwego proboszcza z Obiechowa. Fantazji, dalibóg, księdzu Franciszkowi nie brakowało: Wybrał się do Rzymu, napał się tam złożyć wizytę papieżowi. Spytano, kto zacz. Ksiądz Franciszek, jako że parafie tu nigdy biedne nie były, wydrukować kazał swoje wizytówki. Drukarz słysząc: „z Nawary”, wybił „François de Nawarra”. Jako księcia przyjęto go na posłuchaniu w Watykanie i dopuszczono do ucałowania ręki Ojca świętego; pomyślał ksiądz Franciszek: „Sam Ojciec święty uznał mnie księciem Nawarry”. Całe życie odąd poświęcił udowodnieniu tej tezy, całe życie i pieniądze. Wykalkulował, że jego nazwisko pochodzenia nie jest polskiego, nie wiedzie się zatem od „nawaru”, co dało początek mianu niedalekiej wsi „Nawarzyce”. Wykoncypował, że musiał któryś książe Nawarry z Walezym przybyć do Polski, onże Francuz pod Wielkimi Łukami za wojenne zasługi w dziedzinie... aprowizacji miał zostać przez Batorego uszlachcony i dalej prosperować pod nazwiskiem „Dąbski” - co już nieco kłóciło się z myślą o pochodzeniu rodziny Nawarrów, lecz ksiądz Franciszek nie zważał specjalnie na drobne nielogiczności swej genealogicznej doktryny; przekonany, że ze swymi familiantami błysnąć mógłby w Europie jako zapomniany potomek 1 Burbonów (o paradoksie, iluż tych autentycznych żyje w Europie, choćby licząc prawnuki nie uznanych bękartów!). Wszystko, czego doszedł na koniec, to dokumentu, który wykazywał, kto kogo rodził między polskimi Nawarrami, wstecz aż po Batorego. Otwierał ów metrykalny wyciąg „Kacper de Nawarra, laboriosus”, piękny skądinąd zabytek dotyczący dziejów nie szlacheckiego, lecz chłopskiego nazwiska; to jednak nie satysfakcjonowało wojowniczego księdza, własnym kosztem wydał trzynomowe dzieło „Komedia ludzka”, gdzie pomieścił różnorakie przyczynki i uwagi do swych poszukiwań, poematy, notatki i utwory prozą, wszystko razem - stwierdzić przykro - eksplozja chorobliwej grafomanii:

NAPUSZONE

Kokietki, prózne kobietki W kornety się ustroiły,

Aby wady swe pokryły.

Kto nie ma DUCHA BOŻEGO - nie ma miłości bliźniego,

A zamiast ciepła i uczciwości

Dymią azotem ze złości.

Albo też fragment aktu piątego sztuki „Gra namiętności” (w objaśnieniu podano: „Biblioteka klasztorna, obecnie sala teatralna. Gra namiętności wobec idei duchowych”):

Ona: Masz krój i pług,
Oddaj mi dług, oddaj mi dług.

Och, wody - wody,

Palpitacja - ochłody.

On: Ty pijanico niesyta,
Napij się wody z koryta:
Gore, gore, ogień parzy,
Węgiel się od wiatru żarzy.
I krew kipi w moim łonie,
Czapka mi na głowie płonie.

Ona: Jedź po wodę do sadzawki
I dawaj prędko sikawki,
A z gorzelnii Pustomyty
Doleje się okowity:
Dla odwagi, dla pragnienia.
Bierz beczki do nawodnienia.
Nie ugasisz, nałogowcu,
Tego suchego jałowcu.



*Naczelnik Straży Pożarnej
Bazyli Nawarro*

Owe trzy tomy dostał w ręce jeden z młodych Nawarrów, Grzegorz, wizytator dawnego kuratorium; wyretuszował co drastyczniejsze momenta, lecz nie oparł się pokusie wydania stryjkowych płodów w nowej, opracowanej anonimowo wersji. Tym sposobem życie „Komedii ludzkiej” przedłużone zostało o nowe lata, nim trafiło do archiwum w klasztorze.

- Fakt - powiedzieliśmy. - Jedliński to ma.

Nawarrowie potem przypadli jakoś ku ziemi, bo ich tempo życia zagoniło, zepchnęło ze szlaku ambicji i pychy, lecz pan Bazyli rzecz strażacką traktował zgoła nie po chłopsku czy mieszczańsku, nie z wyliczeniem ryzyka, nie z ubezpieczeniem się przed stratą czy z odkładaniem rezerwy na złą godzinę - oddał jej z siebie wszystko. Prawda, nie miał szczęścia ani smykałki do ziemi. Z kilkunastu morgów nigdy nie umiał nic wydusić ponad to, co do życia było niezbędne. Ale „służba” dawała mu sens wegetacji, ucieczką była od codzienności, ona - Ochotnicza Straż Pożarna - utrzymywana ze składek, ze składek, z dobrowolnych ofiar, które pan Bazyli nieraz cichcem i ze swego uzupełniał. Serce w nim grało, kiedy szła orkiestra straży (dęta); przed nią, parszając, podrygiwał gruby, niedźwiedziowi podobny Czeluski, Rosjanin, który tu został po pierwszej wojnie, a po drugiej pogrzeb mu sprawiono bojowy:

Na pompie, niby na lawecie, trumna eks-dyrygenta orkiestry jechała na jędrzejowski cmentarz. Pan Bazyli przeżył tego Czeluskiego, co się jego pewnie ojciec jeszcze pisał „Czeluskin”. Równie życie się podnosiło w panu Bazylim, gdy hucznie, jak na paradzie, „jego” strażacy zajężdżali do pożaru, błyszcząc hełmami, budząc podziw odwagą, sprawni, bohaterscy i kochani, „dzieci księcia Poniatowskiego”, którzy do szturmowania na ogień jak do zabawy szli, co po większej części było i prawdą, bo młodzianie, a nawet i starsi, lubią tu być admirałami i podawani w gadce miasteczkowej z komentarzem: „To, panie, wie pan, niezwyčajny człowiek!”.

Pan Bazyli nigdy nic nie miał wspólnego z dorobkiewiczami, którzy się kamienic i placów dorobili w szybkiej karierze mieszczan jego pokolenia, lecz, jak się rzekło, oni mieli z nim i z księdzem Franciszkiem wspólnego wiele: Styl.

* * *

Cóż mówić o końcu dzisiejszego jędrzejowskiego świata, kiedy oni z końcem swojego starego, zaprzeszłego pogodzić się nie mogli? Do obecnej chwili zachowali ufność, że Bóg, przypadek czy własna zręczność zachowują ich pozycje w nienaruszonym stanie. I nie odchodzą „jak szczury”.

- W Boga już nie wierzę. W Amerykanów też nie wierzę. Mógłbym stąd uciec gdzieś na koniec Polski, żyłbym po ludzku, wiem. Ale widzicie, panowie, nie pójdę sam. Niech mnie zgnoją, psubraty. Niech wszystko zabiorą. Ale sam nie dam. Nie dam. Ani metra ziemi. Nie pójdę jak szczur. Mnie już nie zależy, dzieci wykształciłem, one już jeich, nie moje, czort z nimi. Sam nie pójdę. Póki żyję... ich mać! Nie pójdę. Kosowski mnie będzie musiał za dupę wynieść - rzezi jeden z posesjonatów.

- Czy Kosowski robi coś nielegalnie, gwałci prawo?

- Legalnie. Sprawiedliwie po ich myśli robi. Ale nie po mojemu. A ja jego sprawiedliwość mam gdzieś. Póki nie przyjdzie siła. Na moim to ja pan, póki mnie za kołnierza nie wytaszcza.

Do jednego z dawnych posiadaczy Straż Pożarna wystąpiła o sprzedaż placu pod budowę Domu Strażaka. Piasecki zażądał siedemdziesięciu tysięcy złotych. Straż uzbierała pięćdziesiąt. Dawaj w targi. Piasecki nie ustępował. Wmieszał się Kosowski.

- Niech im pan lepiej sprzeda za te pięćdziesiąt, bo inaczej my pana wywłaszczymy. I jednej dziesiątej pan tego nie weźmie.

- Ale tam! - roześmiał się Piasecki. - Mnie? Pan żartuje...

- Ostrzegam.

Piasecki bawił się dalej.

- No niechże pan spróbuje. Nie wygra pan, nie ma takiego paragrafu.

Targi trwały. Piasecki nie ustępował. Straż nie mogła dołożyć, bo i tak przy budowie miała dać całą robociznę darmo. Piasecki pewny był koneksji warszawskich; w prawnej drodze, oceniał, nie dadzą mu rady; w pozaprawnej - tym bardziej. Czekał.

Koniec końców przysłał mu Kosowski zawiadomienie: Wywłaszczenie zostaje dokonane.

Strażacy chwytają za łopaty, Piasecki odwołuje się do Warszawy.

Warszawa wzywa Jędrzejów na rozprawę.

Kosowski jedzie sam.

W poczekalni sądu wita go Piasecki. Obok niego świetny prawnik, adwokat B. Piasecki pokpiwa:

- No cóż, panie przewodniczący, nie wygra pan tej sprawy. Będziecie płacić.

- Wygram.

Adwokat mityguje przybysza dobrotliwie:

- Po co się pan upiera? Ja rozumiem, że pan broni swojego stanowiska, ale sam pan rozumie, że pozycja jest nie do obrony.

Kosowski z najspokojniejszą miną:

- Zobaczmy. Wygram.
- Panie przewodniczący... Żal mi pana.
- Założymy się? Panie Piasecki, kto przegra, ten stawia kolację.
- Dobra. Niech pan przetnie, panie mecenasie.

Adwokat przeciął. Weszli na salę. Przewodniczący rozprawy pochylił się nad Kosowskim:

- Pan sam? Bez radcy?
- A sam.

Mecenas B. przedstawia treść odwołania. Wywłaszczenie było bezpodstawne: Wolno dokonać go tylko wtedy, gdy inwestycja na danym terenie przewidziana jest w Narodowym Planie Gospodarczym. Domu Strażaka w Jędrzejowie nie ma w żadnym oficjalnie, państwowo zatwierdzonym planie. Sędzia rozkłada ręce.

- I cóż pan na to, panie przewodniczący? Kosowski kłania się przeciwnikom z rewerencją.
- Cóż, pan mecenas ma rację. Ta ustawa nie stwarza uzasadnienia dla naszej decyzji. Piasecki i jego obrońca uśmiechają się triumfująco. - Ale - kończy Kosowski - wywłaszczenia dokonać można nie tylko na mocy tej ustawy; istnieje też ustawa (tu podał numer) zobowiązująca rady narodowe do wspomagania akcji realizowanych poprzez czyny społeczne. Otóż jeśli dany grunt potrzebny jest dla realizowania jakiejś społecznej inicjatywy, mamy prawo wywłaszczyć. Bez objęcia inwestycji Narodowym Planem Gospodarczym.

- I cóż pan na to, panie mecenasie? - sędzia odwrócił się w stronę adwokata.

Adwokat uniósł lekko ręce ku górze, sygnalizując kapitulację.

- Cóż, panie sędzio. Nie mam tu nic do powiedzenia.

Piasecki przegrał. Za cały areal uzyskać miał niewiele ponad trzy tysiące. Lecz umiał przegrać „z honorem”: Zabrał swego adwokata i przeciwnika w objazd po warszawskich restauracjach. Jak zaczęli po południu, tak skończyli nocą, pokonany zaś wydał więcej, niż dostał potem za całą działkę; ani okiem nie mrugnął. Kosowski tylko liczył rachunki i dreszcz go zimny przechodził na myśl, co by się stało, gdyby przegrał: Rok musiałby spłacać dług z tego wieczora...

* * *

Nie zawsze wojna obronna rozwijała się z towarzyszeniem efektownych parad, ciosów i zwodów.

Oto ojciec i syn, którzy bronią drapieźnie swego stanu posiadania, zacinają się w nienawiści i pasji. Stary dla dzieci zbierał, harował i kupował: Place, domy, pożydowskie budy, jak owa w rynku, którą mu pierwszą zdemontowano, bo się waliła z wyniszczenia; ponoć w rodzinie królowała raczej żona niż on, lecz faktem jest, że dawny skromny urzędnik przedzierzgnął się stopniowo w zaślepionego chciwca.

Miasteczko poszeptuje, że obaj na milionach siedzą, że z dawien dawna wszelkie zapasy gotówki obrócili na zakup dolarów, które, dobrze ukryte przed ciekawością ludzką, czekają dni, kiedy jakiś wódz na białym koniu wjedzie do Polski i przywróci im rzetelną sprawiedliwość. Lecz mówią inni, że stary niewiele schował, a co miał, swoim dzieciom oddał, one zaś nie wiedzą, czy ojciec doprawdy chowa coś w zanadrzu; poiroyowane jego skąpstwem w stosunku do samego siebie, wstydzą się jego obnoszonej manifestacyjnie abnegacji. Nikt nie dojdzie, ile w czym prawdy; wielu tu ludzi na przykład ma krewnych za granicą, we Francjach i Amerykach. Widać młoda to emigracja lub niechętna kontaktom z Jędrzejowem, bo nie zobaczy się ciuchów sprzedawanych jak na jarmarkach Nowego Targu czy Sącza, a i poczta nie notuje nigdy zalewu międzynarodowej korespondencji. Więc krewni tu nikomu nie stwarzają alibi; nie wiadomo, czy w plotkach o wielkich dolarowych zapasach jest nieco domysłów z pokryciem, czy też snują się one śladem dawno rozpadłych fortun. Nie po każdym rozeznasz, na ile go szacować można.

Jeden z placów, wąska kiszka zarosłego trawą sadu, ciągnie się między gmachami urzędowymi a boiskiem szkoły. Właściciel zagroził dziury w płotach, drutami odciął przechodnie ścieżki. Z psem warował między drzewami, szczuł psem intruzów; rozwścieczony, łapał się za kamienie, walił niby kastetem; hodował tu między szkołą i gmachem banku świnie, a na trawie wypasał konia. Gdy uczniowie na sąsiednim boisku grali w piłkę, zaczął się z nożem - nie daj Boże, by ją przeniosło nad płotem, ciął, jakby rznął gardło kurze, flak rozbebeszony odrzucał.

Przed paru laty zamierzano dobudować szkole, bo ciasno w niej nad wyraz, nowe skrzydło na posesji prywatnej. Dawano właścicielom sto tysięcy, lecz oni ani słyszeć o sprzedaży nie chcieli; Kosowski, rada w radę, przystąpił do wywłaszczenia. Aliści tamci oświadczyli, że się tu będą sami budować; w tej sytuacji Rada musiała odstąpić - posesjonaci wzięli „lokalizację”, po czym zwieźli kamień. Jak zwieźli, tak więcej placu nie ruszyli. Siadywali czasem na pryzmie kamiennych ciosów, nieruchomi, stęziali w zaciekłości, z twarzami na obie strony, jeden ku szkole, drugi ku bankowi, niby tu okopani, zarośli tą ziemią, której bronili, wrodzy, triumfujący bez słowa. Znaczy - nie można ich tak łatwo wziąć.

Niektórym miasto musiało wyremontować rozpadające się domy. Nie mogą protestować, bo sami nie chcieli tam włożyć ani grosza. Miasto włożyło swoje, kosztami obciążając hipotekę posesji, każdy by się zorientował, że stracił, ale nie oni - przyjdzie poczekać lat pięć, może dziesięć, może tylko rok, nawet i mniej, a wróci ich świat i wtedy w nagrodę za wierność i trwanie skreśli im nowa władza dług.

Lecz ma się na koniec Starego Świata. Kosowski zaprosił posesjonatów na specjalne zebranie; zeszli się z całego Jędrzejowa, kilkudziesięciu, zgodna a twarda koalicja. Kosowski stanął przed nimi:

- Cóż, my nikomu krzywdy nie chcemy robić. Macie pieniądze? Dlaczego nie budujecie? Jesteście przekonani, że władza ludowa nie utrzyma się choćby jutro; ja stawiam, że nas przeżyje. Wy wiecie swoje, ja swoje. Ale jeżeli to ma się kiedyś przewrócić, to co wam zależy: Inwestować teraz czy później? Jak się przewróci, będziecie dusić lokatorów, nawet i wstecz za dwadzieścia lat, wasza kamienica, wasze pieniądze. A nie, to powiecie: „Kosowski miał rację”. A jeśli panowie budować nie będą, to będziemy wywłaszczać. Ludzie potrzebują mieszkań, my potrzebujemy placów. Kto się sam pobuduje, tego nikt nie wywłaszcza, a i my będziemy zadowoleni, bo mieszkań ludziom przybędzie, i wy będziecie zadowoleni, bo procenci będą się odtąd składały aż do chwili, kiedy wjedzie Anders na białym koniu. Kto chce nas przechytrzyć, niech pamięta, że wywłaszczone trudno odzyskać. Nie słyszałem jeszcze o takim rządzie, który by oddał choćby garść z tego, co poprzedni wziął; nie radzę więc spodziewać się po tym białym koniu za wiele...

Wynikł dyskurs trzeźwy, kalkulacyjny. Najzagorzalsi siedzieli bez słowa. Słuchali. Grdyki im tylko falowały od przetykania śliny. W drugim końcu sali ktoś, między jednym papierosem a drugim zapalonym od poprzedniego, powiedział nerwowo, tonem brydżysty zmuszonego do zrzucenia figury:

- Jesteśmy pod impasem.

Nie wszyscy zrozumieli, o co chodzi. Ale Kosowski gra w brydża.

- Posessionati - bulgocze w gardle Nieszyna - widzicie, chłopcy, ostatni posessionati. Szlachetkowie na budowlanych parcelach. Ledwie spyszniec, gestu nabrac zdążyli i hardości, już ich mać historia wzięła na łopatę.

Przepchali się od lady, od szlachtuza do sfery dawnych potentatów Miasteczka - twardzi, nieustępliwi, zaborczy, z mocnym chwytem zębów buldoga; fala zdarzeń, która ich wyniosła ku górze, pogrzebała pod sobą tysiące istnień ludzkich, oni jednak, ufni w swoje przeznaczenie, pozwalali się nieść fali i co się da garnęli ku sobie; aniby nie zgadli, że tamci, których mieli za durniów, za szaleńców zgoła, tamci - od Kwarty, co w kacecie miał przepaść na wieki, od chrystusowego „naiwniaka” wyciąganego z więzienia przez starego Przypkowskiego - że tamci znajdują się u czoła następnej fali, która zmiecie wszystkie dotychczasowe układy, elity i schematy.

- Ani się spodziewali - łupie ręką w kolano Nieszyn. - Ani się spodziewali. Za nic ich mieli.

Rozdział V

Patrzalek wyschły, krzepki starzec, ręce przed sobą na stole; głos ostry, chłopski, twardy.

- Godzinę temu Jureczko umarł.

- Jak? - pytanie suche, bez specjalnego zainteresowania w tonie.

- Przewrócił się na ulicy. Kiedy go podnieśli, już nie żył.

- Pijany był.

- Pijany.

- Lżejszą miał śmierć. Już źle o nim nie można. A wyście i o nim chcieli czegoś, co?

- Właśnie.

- Czas już przychodzi. Dwa tygodnie temu poszedł Kruk. Kiedym tu przyszedł w styczniu, zaraz siedemnastego...

- Wtedy?

- A no, wtedy. Poszedłem do Kowalowa, był komendantem wojskowym, Kowalow do mnie: „A wy szto? Co za jeden?” Komunistą, towarzyszc, mówię. Okazało się, że Kruk się już sam starostą ogłosił. Myśmy wysunęli Feliksa, jeszcze w konspiracji było ustalone. Kruk siedział na miejscu całą wojnę, znał rosyjski, potrafił się szybko dogadać.

Patrzalek, kiedy w Rytwianach organizowano pierwszą wojewódzką radę narodową, został naczelnikiem wydziału aprowizacji. Co najtrudniejsze dali jemu, ślusarzowi, a chłopu, na odmianę, sprawy opieki społecznej.

Bronił się:

- Ludzie, powariowaliście, nie umiem.

Na to mu odpowiedziano zjadliwie:

- Chcieliście władzy? No to ją macie.

Patrzalek oponował:

- Wiecie, że mam tylko cztery klasy skończone.

Oni mu:

- Taak? Na peperowców to wypada, musicie wziąć.

I Patrzalek szedł za frontem ze swoją grupą operacyjną, mając za całe przygotowanie dwutygodniowy kurs w Lublinie. Kiedy 17 stycznia dotarł do Jędrzejowa, tego dnia z dawnych komunistów było na miejscu żywych tylko ich dwóch, on i technik z Grudziądza, wywieziony tu za okupacji. Wprowadzili Felisa w urządowanie, choć Patrzalek nie miał do niego zbyt dużego zaufania: Były nauczyciel, kiedy objął władzę, przywdział buty z cholewami, bryczkę z siwkami podstawił kazał pod starostwo i obyczajem dziedziców jął rozjeżdżać po okolicy.

- Niektórych władza psuje - mówi Patrzalek.

Ma na myśli, rzecz jasna, nie tylko Felisa, lecz i Jureczkę.

- Jureczko miał kompleks władzy - powiada Nieszyn.

- Słaby człowiek, wódka w nim człowieczeństwo rozpuściła - definiuje niechętnie Patrzalek.

Jureczko pił. Mając władzę w rękach, pił więcej. Nieszyn wspominając, jak to chronił jego bramkę („Władek, pomyśl, jakbyś teraz tak rzucił się pod nogi jakiemuś centrowi, toby ci wódka nosem poszła; skończysz się, chłopie”), mówi, że dziś nie ten sam człowiek. Patrzalek twierdzi, że nosił to już na pewno w sobie i dawniej. Potem zdumiał ze szczętem, jemu litr

nie było za dużo-, awantura za awanturą, burmistrza pobił, prokuratora, z którym pił razem. Gdy mu władzę odebrano, znienawidził wszystkich, co przy niej pozostali czy do niej przyszli, anonimy pisał, burdy prowokował, Jędrzejów był „jego”. Tymczasem działa się to jędrzejowskie życie bez niego; przeboleć nie mógł swej banicji, próbował, czym się dało, przypominać o swej obecności, lecz nie miał czym, jeno kolejnymi skandalami, które na koniec odsunęły go całkiem poza krąg dawnych znajomych i towarzyszy.

- Słaby człowiek, wstyd mówić - krzywi się Patrzalek.

Wróciwszy wtedy, w styczniu 1945, do Miasteczka, Patrzalek rozejrzał się za doktorem Kwartą. Nie minęło długo, przyszedł list z Krakowa. Doktor cudem przeżył; komisarz polityczny od Kowalowa, Chaczapuridze, Gruzin, dał Patrzalekowi samochód; pojechali, odnaleźli doktora na Białym Prądniku, w szpitalu, plującego własną krwią. Zabrali. Jędrzejów skakał wokół niego, człowieka, który po Oświęcimiu był cieniem samego siebie: pięćdziesięcioletni starzec, ledwie trzymał się na nogach.

- Myśleli: Wyzdrowieje, ministrem zostanie.... zawsze dla wszystkich był dobry - kiwa głową Patrzalek. - Żeby tak wcześniej, za Niemców, pomyśleli. Kwarta nieraz bywał na zebraniach u ludowców, poszedłem do jednego z nich, trzydzieści parę morgów miał, proszę: „Słuchajcie, trzeba by coś do obozu Kwarcie posłać”. On mi, że: „To ja wam przysię”. Trzy tygodnie nic, potem przysłał. Dwa kilo cebuli i trzy kilo mąki. Innego, na trzydziestu morgach siedział, spotkałem w niedzielę przed kościołem, poszedłem tam specjalnie, żeby uwagi nie zwracać... ten w ogóle nic.

Kwarty płuco jedno było już całkiem zajęte, wzięto go na stół, zmarł w trzy godziny po operacji. Nie żył komunistyczny Judym.

Patrzalek nie chciał dalej na zachód iść, matka mu się ciężko pochorowała. Dano mu uruchamiać przemysł w Jędrzejowie. Uruchamiał. Młyny. Potem browar. Mianowano Patrzalka dyrektorem. Maszyny znał, ale procesów fermentacyjnych nie, bo skąd? Mimo to nie chciano go zwolnić. Sam administrował, o wszystkim myśleć musiał, bez pomocy sztabu sekretarek, urzędników i doradców. Browaru nie spotkać wówczas, co by go nie toczył deficyt, a tu były ślusarz dał w ciągu trzynastu miesięcy półtora miliona złotych czystego zysku. Lecz były ślusarz umiał widać z ludźmi się dogadać i z fachowcami, sam dla siebie niczego nie wziął, jak żył dwadzieścia lat temu, tak żyje i dziś, w domku na przedmieściu, z małym, ponad hektarowym ledwie gospodarstwem. Widziano, że nie dla siebie dobrze chce, nie narzekał więc na brak zaufania; wrócił na kolej, dzierżył jednocześnie - i to było - dwadzieścia dwa mandaty, czasem przez miesiąc tylko parę dni spędził w warsztatach, resztę przy referendum, przy wyborach w województwie, w Komitecie partyjnym, powiatowej radzie, zarządzie miejskim... On, który nie lubi papierów i biurowej roboty, teraz jeszcze wstaje skoro świt i w zimie łopatą chociażby śnieg odwali na podwórku. Cóż, metalowiec, przez te społeczne roboty nie chcieli mu dać renty porządnej wysokości, bo stażu nie miał. Poszedł w Warszawie do Zarządu Głównego Związku Kolejarzy; tam go przyjął jakiś facet dobrze ubrany, grzeczny, ale podejrzliwy. Patrzalek wyjął legitymację, przedstawił sprawę. Urzędnik wypytywał go, co i gdzie robił. Patrzalek opowiadał cierpliwie, cały korowód zdarzeń miał przed oczami, zapomniał aż, komu opowiada, dzień prawie po dniu - naraz tamten:

- A jakeście byli w Sandomierzu, to kto was tam posłał?

Starzec popatrzył osłupiały, wyprostował się w krzesło, krew mu nabiegła do pergaminowych policzków, I jak nie rąbnie kułakiem w stół! Wycharczał prawie:

- A wy to gdzieście wtedy byli, co?

Tu wstał i więcej go tam nie oglądano.

Krukowi przyjaciele, zanim umarł, wykołatali rentę dla zasłużonych: Na niewiele się zdała, bo ją przyznano dwa tygodnie przed zgonem, lecz dostał; komunista Patrzalek rentę ma zwykłą, kolejową, tysiąc czterdzieści złotych, władze zreflektowały się wreszcie, choć już nie prosił; teraz o więcej i prosić nie wypada, bo córka jest sekretarzem w Komitecie Powiatowym; Patrzalek prostuje palce leżące cały czas nieruchomo na stole:

- Nie powiedzą, że z partii żyję. Majątku nie mam, ale chałupa jest, do śmierci wystarczy.

Nie ma za złe Krukowi. Kruk był w delegaturze londyńskiego rządu, do gry o władzę po wojnie startował po innej stronie, lecz tu, w Miasteczku, dla polityki ludzie porządni nie wyciągali przeciw sobie broni. W czasie wojny partyzantki najróżniejszych kolorów nie strzelały do siebie, jak to bywało gdzie indziej; po wyzwoleniu nie segregowano tu chłopców z lasu na lepszych i gorszych, co się zdarzało w sąsiednich nawet rejonach. Więc i Kruk, że dostał specjalną rentę, niechby mu na zdrowie poszło. Słuszny był człowiek. Uczciwy. Dali mu rentę za działalność na polu gospodarczym, niech będzie.

* * *

Jeszcze przed wojną między nimi, ludźmi polityki, stosunki układały się podobnie. Kruk za sobą miał przeszłość najbogatszą, w 1905 roku organizował - wtedy nauczyciel w Potoku Wielkim - walkę o wprowadzenie do szkół języka polskiego. Jako przywódca wlepiono mu dwa miesiące więzienia. W 1918 był komisarzem rządu Daszyńskiego, Ludowej Republiki Polskiej, jak się to nazywało, nim warszawskie przetargi polityków nie zlikwidowały pozorów lewicowości młodego państwa. Lecz dla Jędrzejowa Kruk był przede wszystkim propagatorem kas Stefczyka, owych chłopskich kas zapomogowo-pożyczkowych, które przez lata Krukowi potem procentowały sławą i poparciem chłopów. Pierwszy niby ludowiec w powiecie, dawał się wybierać z różnych list, w różnych okresach, na rękę było macherom mieć go za przynętę głosów. On sam, po trosze może i dumny z honorów, do wiecowania się nie nadawał; nic z pyskacza. Spokojny, nie mówił za wiele, jeśli już, to oględnie, z prostotą przechodzącą niekiedy w rubasność. Zapału do gry nie przejawiał, inaczej niż jego przyjaciel, Andrzej Waleron, też nauczyciel i ludowiec, wyznawca „Zarania”, w polityce rozmiłowany bez reszty. Wymową bił ich obu doktor Kwarta, ściągnięty tu przez starego doktora Feliksa Przytkowskiego w roku 1934, komunista. Za propagandę zwolniono go z posady w Świeciu koło Grudziądza, potem w Warszawie usunięto z urzędniczego stolka, w Jędrzejowie też niewiele czasu minęło, a poszedł siedzieć do Kielc na cztery miesiące. Kwarta ogłosił głódówkę, doktor Feliks zorganizował składkę na pomoc dla jego rodziny, pieklił się, rękami wymachiwał. Kwarta był świetnym lekarzem, doktor Feliks ściągnął go tu na swego następcę; chociaż wywrotowiec, leczyli się u niego i okoliczni księża. Myśleć mu wolno, co chce - parską stary doktor.

Wypuszczono Kwartę. Na posiedzeniu Izby Lekarskiej w Krakowie, której Przytkowski był wiceprezesem, wstał pewien, żeby nie wymieniać nazwiska, znany lekarz i zażądał, by doktor Feliks podał się do dymisji.

- Kogo pan broni? Na kogo pan składki robi? Kogo pan pcha na posady? Komunistów?

Komunistów, nie komunistów, doktor Przytkowski nie ugiął karku. Jeszcze by...

- W dupie mam pańskie poglądy - oświadczył spokojnie - zrobiłem, jak uważam, że powinienem zrobić. Kwarta ma charakter Judyma, biedaków leczy na równi z posiadaczami ziemskimi, panowie, a za specyfiki dla nich płaci nieraz z własnej kieszeni. A że w starostwie najpierw z woźnym się wita? Kto w takiego człowieka tu kamieniem rzuci?

Doktor nie tylko nie wystąpił o dymisję, lecz przy następnych wyborach w Izbie drugi raz tę samą pozycję utrzymał.

Kwarta, szczupły, niewysoki, odbijający sylwetką od jędrzejowskich żubrów, lubić się dawał każdemu i każdemu uczciwemu człowiekowi był przyjazny. Bardzo dobry mówca - żadna pierwszomajowa uroczystość nie obeszła się bez niego, na święta ludowe prosili go do siebie i ludowcy. Komuniści, zszedłszy w podziemie, działali w związkach zawodowych i w TUR-ze, ludowcy przychodzili też i do nich z rewizytami na akademie. W Miasteczku wszyscy o wszystkich wiedzieli, kto zaczął i co myśli; przy kieliszku, bywało, z policjantem się spotykał i prezes PPS-u, za co dostał po wojnie wyrok za „faszyczację kraju”, bo wódka, to było silniejsze od niego i co wiedział, powiedział na pewno, choćby potem i nie pamiętał. Gdyby nie referat kryminalno-polityczny w powiatowej komendzie policji, nigdy by pewnie w Jędrzejowie do prześladowań politycznych nie doszło, bo Kruk czy Waleron byli, jak to w Jędrzejowie, tolerancyjni; Waleron, kiedy „wiciowcy” przyszli doń o pieniądze na ulotki przed wyborami do Rady

Miejskiej - a przecież się orientował, że komuniści tą akcją kręcą - zaopatrzył ich w fundusze.

W referacie pracował tajniak, Pejas. Temu się naraził Patrzalek, bo go nie chciał wpuścić na akademię do Domu Straży; Pejas dobył orzełka, podetknął pod nos Patrzalekowi. Patrzalek zrobił zdziwioną minę: A to niby co?

- Nie widzisz?

- No, orzełek. Sam mam w domu, nawet większego.

- Ale co to znaczy?

- Nie wiem, szpiclem nigdy nie byłem.

Dopiero siłą naparł się agent, Patrzalek wołał uniknąć hałasu, wpuścił go do środka. Uprzedził kolegów. Lecz Pejas go sobie zakonotował w pamięci. Kiedy wkroczyli Niemcy, Pejas trafił do kripo. Komuniści w domku Kwarta założyli radę, powołali do życia tajną organizację „Młot i Sierp”. Podzielili się na piątki dla lepszej konspiracji. Kwarta w jednej z Patrzalkiem, inżynierem Wojciechowskim, doktorem Berem i Jureczką. Pejas czuwał. Kwarta niebezpieczeństwo widać szóstym zmysłem odgadł, bo na razie minął rok czterdziesty, potem i lato czterdziestego pierwszego, oni zaś żyli ciągle, sami dziwiąc się własnemu szczęściu. Kwarta nie wierzył tej ciszy. Spotykali się u niego w domu, czasem w stodole u Patrzalka. Kwarta na koniec doprowadził do spotkania z Pejasem. Zapytał wprost, czy Niemcy kazali mu podać nazwiska przedwojennych komunistów i czy zrobił ich wykaz. Pejas odpowiedział, że nie, że pytali wprawdzie, lecz on nikogo nie zasypał, wytłumaczył, jakoby wszyscy komuniści uszli na wschód w trzydziestym dziewiątym. Kwarta wrócił do domu, niedługo jednak „Malajka”, urzędniczka ze starostwa, przesiedlona z Poznania (Patrzalek pamięta jedynie jej pseudonim), dała znać, że Niemcy mają w rękach listę osiemnastu jędrzejowskich komunistów...

Niedługo potem inżyniera Wojciechowskiego wezwano do starostwa, niby to w związku z awarią sieci elektrycznej; ale nie stawiał się od razu, wówczas buda zajęchała przed warsztat, warsztat rozbili, inżyniera powieźli z sobą, ciągle niby w sprawie sieci. Lecz samochód nie zatrzymał się w mieście, dopiero za Miąsową. Kazali Wojciechowskiemu wysiąść, zastrzelili - „zginął podczas próby ucieczki”.

Tej samej jesieni doktor Kwarta znalazł się w Oświęcimiu, za nim Włodek Jureczko. Doktor Ber zginął razem z innymi Żydami, zamordowany w nieznanym nawet miejscu.

Uchował się tylko Patrzalek, ślusarz z naprawczych zakładów wąskotorowej kolejki dojazdowej, ostatni z piątki.

Niemcy na kolejkę przez pół roku po zajęciu Jędrzejowa nie zajrzeli; cicho tam się zdawało i bezpiecznie, kiedy w czterdziestym przysłano mu wezwanie do pracy. Brał swoje sześć złotych dziennie, co nie było wiele, zwłaszcza gdy Kwartę zabrano i wolno mu było początkowo wysyłać paczki do ćwierć kilograma na dobę; Patrzalek z trudem koniec wiązał z końcem w kilka osób na swoim poletku.

Któregoś dnia zwolnił się rano, bo papierek przyszedł z Urzędu Ziemskiego w sprawie komasacji gruntu - miał trzydzieści arów osobno, teraz akurat, rychło w czas, chciano mu to scalić w jeden kawałek. Koło dwunastej poszedł do zakładów, po drodze zatrzymał go czyjś okrzyk z okna biurowego:

- Panie Patrzalek, stań no pan!

Obejrzał się, w oknie już nie było nikogo, tylko doleciał go ten sam głos:

- Uciekaj pan, bo Niemcy przyszli.

Tymczasem po domu buszowało już Gestapo i granatowi z psami; Niemcy zajęchali taksówką, nikt nie wiedział, kto to może tu na Wodzisławską taszczyć się do ślusarza taksówką. Granatowi na rowerach. Nie zastawszy Patrzalka w obejściu, granatowi ruszyli ku warszatom, wzdłuż torów, Niemcy przez miasto. Jeden z granatowych zobaczył córkę kumpla Patrzalkowego, potknął się niby to, przewrócił koło dziewczyny niosącej właśnie ojcu obiad:

- Pani, po Patrzalka idziemy.

Dziewczyna zostawiła w najbliższej bramie garnki, popędziła skrótami ku stacji. Patrzalek już był uprzedzony. Koledzy wpakowali go do kanału, przykryli. Słyszał dialog nad głową:

- Patrzalek jest?

- Nie ma.

- Gdzie pracuje?

- A tutaj.

- To gdzie jest?

- Poszedł gdzieś...

Ostukali wszystko, psy obwąchały, i nic. Wynieśli się.

Nocą jeszcze raz obstawili zagrodę. O pierwszej w nocy matkę, siedemdziesięcioletnią wtedy staruszkę, żonę i córkę postawili pod ścianą.

- Gdzie jest?

Tymczasem Patrzalek lasami, nocami szedł na wschód. Koło Buska spotkał Ozgę-Michalskiego. Trafił do swoich.

W Jędrzejowie każda bodaj rodzina miała kogoś w lesie. Kruk zajmował się opieką społeczną, przez RGO pomagali żonom i rodzinom uwięzionych. Krukowi tę misję powierzono, bo nikomu bardziej w kwestiach finansowych nie można było chyba zaufać - każda złotówka była pewna w jego rękach, nawet bez kwitów i świadków. Zresztą pieniędzy przeznaczonych na zasiłki nawet przychodzić nie mógł, były to bowiem wpływy ze źródeł konspiracyjnych; przekazywał też je z ręki do ręki, nigdy nie kontrolowany, nie sprawdzany. Nikomu by to i do głowy nie przyszło.

Po wojnie stoczyli krótkotrwałą walkę o władzę; był okres, że dla Patrzalka Kruk stanowił symbol reakcji, lecz że Kruk nie miał zacięcia do rywalizacji w propagandzie, znalazł sobie niebawem pole do działania. Rząd ten czy inny, Miasteczko powinno się rozwijać, Polska była jedna i jest.

* * *

To pewne, że w okresie powojennym elitę, która nadawała ton w Miasteczku, stanowili oni, politycy, lub jeśli nie politycy, to ci, którzy bzika mieli na punkcie rozwoju Miasteczka, postępu i normalizacji życia. Nie posiadacze fortun, rzeźnicy i sklepikarze, lecz oni, którzy nie dorobili się niczego, przeciwnie zaś, cudem niekiedy wynieśli całe głowy z wojennej zawieruchy.

- Szarpałem się z Niemcem na rynku - prychnął Nieszyn spod wąsów. - Myślę: To się musi źle skończyć. Drań wyciągnął pistolet. Ja go złapałem za rękę, a siły mi nie brakowało na szczęście (śmieje się do siebie), wykręciłem do góry, poszło w powietrze. Wytrzymałem go tak chwilę, szczęście, że nie było innego w pobliżu. Niemiec zdębiał i schował pistolet...

Niewiele mogli, ale co mogli, to robili. Jak najtaniej, jak najoszczędniej. Drukarenkę znowu uruchomili. Starzy jej pracownicy podnieśli ją z niczego, posztukowali zdezelowane maszyny; maszyny pracują do dziś w tych samych warunkach, w jakich je puszczono w ruch po wojnie, bo Miasteczko jak nie miało, tak nie ma pieniędzy, a na remont osiemnastowiecznego budynku drukarnia sama nie zarobi. Chociaż obsługuje całe województwo...

Nieszyn wymyślił komunikację miejską.

- Bo to kompromitacja, chłopcy - mruczy. - Do dworca daleko i tylko dorożki.

Nieszyn z szoferem Kwiatkowskim, dziś pierwszym mechanikiem w Miasteczku, któremu posłuchać wystarczy, by określić, gdzie wóz niedomaga, pojechał do Częstochowy. Tam z prywatnego demobilu kupili dwie chevrolety, sprawne jeszcze, na chodzie. Połatali je i na ulice Jędrzejowa! Poza Kwiatkowskim kierowcami zostali traktorzysta John i Cibior, który dotąd w koniki jeździł, żyjąc z furmanienia. Nieszyn mu powiedział:

- Rysiu, siadaj na wóz. Nauczysz się.

Rzeczywiście nauczył się. John przesiadł się z traktora, chwalił sobie. Podczas jednego z kursów - przypadek chce, że Nieszyn siedział w autobusie - dorożkarze zatarasowali drogę konkurencji. John trąbi, przepycha się, i ani rusz; konie stają dęba, rzenie, hałas, ulica zatkana, że chodnikami przechodniom trudno się przesmyknąć. Nieszyn wstał ciężko ze swego miejsca i do Johna:

- Dawaj korbę, chłopie, weź lewarek i wychodzimy.

Wyskakuje John z jednej strony, gramoli się Nieszyn drugimi drzwiami - dorożkarze zoczyli rozeźlonych przedstawicieli miejskiej konkurencji, zacięli konie i wioo... Dalszych zakłóceń w ruchu nie zanotowano, przynajmniej ze strony właścicieli dorożek.

Nieszyn ściągnął tu również betoniarkę... Rynek, że w ogóle jakoś wygląda, jemu to zawdzięcza. Co jeszcze zrobił za swego sekretarzowania w Radzie Miejskiej, o tym nie ma potrzeby pisać, dość, że rynek jest.

Poszczególne ulice dostępowały brukowania zależnie od tego, kto rządził miastem. Każdy burmistrz i przewodniczący Rady Miejskiej swoją ulicę doprowadzał do ładu, tylko Pakaszewski nic już na swojej nie zrobił, bo mieszkał naprzeciw Zarządu Miejskiego na głównej arterii, którą już zastał gotową.

Wszyscy oni, burmistrz, sekretarze i przewodniczący pierwszych lat - z wyjątkiem może tylko Jureczki, który się sam z ich świata wykreślił - tworzą dziś nadal jeden krąg, niezależnie od różnic politycznych, co ich przed ćwierćwieczem dzieliły. Krąg to luźny, konwent niestały, przecież między sobą samymi najbliżsi się wzajem czują.

Gdy mówią o końcu tego swojego Starego Świata, nie żałują go.

- Zniknie to wszystko, powiadasz - kiwa się w krześle Nieszyn. - Synu, tylko głupi będzie płakał. Parszywe to było miasteczko.

- Było?

- Jest, ale teraz dzień dzisiejszy liczy się za wczoraj... Nie myślcie, byki, z miłości do Jędrzejowa to mówię. Co, miałbym się zaprzeczyć tego parszywego miasteczka? - wstaje z krzesła i toczy po nas podejrzliwym spojrzeniem.

- Gdzieżby tam!

- To i dobrze, bo już myślałem, żeście mnie za zdrajcę wzięli, gałgany. Zdrowie Jędrzejowa! Póki żyję, a na nogach ustoję, można liczyć na Stanisława Nieszyna, syna Mikołaja i Łucji...

- Ze Śmigielskich.

- A żebyś wiedział, synu. Ze Śmigielskich.

- Pańskie zdrowie!

- Wasze, chłopcy!

Lecz to nie oni zgotowali koniec Staremu Światu.

Rozdział VI

Kiedy młodzi Jędrzejowianie z ZMS-u zaczęli urządzać park i sadzić drzewka, w całą sprawę był od początku wmieszany Zielony Doktor, Karczewski. Bo skąd drzewka do parku? Od Karczewskiego. Sypnął im kilka odmian, w tym dużo modrzewia, lecz byli niemal wstrząśnięci, kiedy sam Karczewski przyszedł do parku i z hordą młodych wokół siebie zabrał się do sadzenia drzewek. Ba, żeby to był byle nadleśniczy, nie byłoby może takiego „halo”, ale bądź co bądź Karczewski tutaj człowiek wyjątkowy. Jest to akurat trzeci doktor, trzeci sławny doktor Jędrzejowa. Co w rozumieniu Miasteczka potwierdzać ma, że przysłowia prawdę mówią: „Tres faciunt Collegium”, a „Bóg trojcu lubit”.

O owej „trójcy” znakomitą historyjkę opowiada Kot Pieńkowski, który konserwuje Przypkowskiemu jego przeróżne eksponaty i instrumenty. Otóż w czasie pierwszej wojny światowej jakiś pop na Ukrainie częstował ich czarną miksturą, niby wódką. Rotmistrz wypił, oczy mu wyszły na wierzch i tchu nie mógł złapać. Stary monach z brodą wytłumaczył, na czym moc owego napoju polega.

- Tri sztofy spirytu, tri czornyje riepny, tri kornia chrienu, tri tureckije piercy, eto dołżno sta jat tri miesiaca. Poczemu tri? Potomu, czto Bog trojcu lubit.

A potom, kak wypiosz, kak by tiebie kto niebud' światuju lampadu zażog w żywocie!!! A wot u tiebia tworitielnaja jarost'!

Snadź potrzebnych jest absolutnie trzech doktorów, aby święta lampa nauki jaśniała w Jędrzejowie pełnym blaskiem, każdy z nich ma pod opieką to, co w Jędrzejowie najbardziej godne uwagi: Przypkowski słoneczne zegary, Jedliński historię i Kadłubka, a Karczewski... Karczewski ma siedem tysięcy hektarów lasu, w lesie ponad sto jeleni, multum saren i zajęcy, i lisów - oraz miliardy owadów. Czy owady są takie ważne? Karczewski twierdzi, że ich rola dla Jędrzejowa (czytaj: lasu) jest wprost nieoceniona. Chadza więc do kniei z siatką na owady i flintą, której prawie nie używa. Owady utrzymują równowagę w lesie. Więc i pół życia Karczewski oddał muchom. A można muchom? Można. Karczewski - rodowity jędrzejowianin, który grodu swego nie opuszczał jak tylko dla studiów wyższych na SGGW i dla odbycia służby w kamaszach (wyrażenie gwarowe w Jędrzejowie: Za czasów carskich pobór do wojska nazywano „brać w kamasze”) - zdobył tytuł doktorski dzięki trudnościom natury... mniejsza o naturę. Studia na SGGW zaczął jeszcze przed wojną, a skończył 10 listopada 1945 roku; był to pierwszy dyplom wystawiony przez tę uczelnię po wojnie. Napisał pracę dyplomową z dziedziny dendrometrii, czyli o mierzeniu przyrostu drewna. Został leśniczym w Laskach pod Jędrzejowem, starał się o nadleśnictwo jędrzejowskie po inżynierze Jańcu, ale nie dostał. Podstawił mu ktoś nogę, gdzie trzeba (a przede wszystkim - jak się okazało - Jureczko). Ktoś napisał do władz, że Karczewski jest „powiązany z reakcją”. Młody inżynier leśnik awansował więc tylko z leśnictwa w Laskach na adiunkta w nadleśnictwie.

I to go uratowało dla nauki. Gdyby nie Jureczko, Karczewski nie miałby tytułu doktora, wspaniałych zbiorów entomologicznych i sławy jednego z najwybitniejszych speców od biocenozy leśnej w Polsce, Jako nadleśniczy nie miałby na te rzeczy czasu. Jako adiunkt szedł sobie w las z flintą, siatką i lupą i obserwował, co się dzieje w borówkach, jakie w borówce wylęgają się owady, jakie na niej żerują i jaka jest jej rola w zwiększaniu naturalnej odporności drzewostanów wobec szkodników.



Z Karczewskim pojechaliśmy do leśnictwa Mniszek, gdzie chadza ów sławny jędrzejowski jelen, bydlę wielkie i wspaniałe, nie ustępujące karpackiemu. Poroże u niego wielkie, wieniec potrafi ważyć osiem, dziesięć kilogramów. Karczewski żałuje po drodze, że nie trafiliśmy na czas

rykowiska, kiedy to o wieczornej porze gra cały las, słychać stuk uderzających o siebie rogów, a łanie oczekują pokornie na wyniki pojedynków. Pozna zaraz Karczewski, który stary jelen, bo gra potężnie i zwany jest organistą, który młody chłyst, a który byk w sile wieku. Chociaż - sam przyznaje - takiego czucia jak gajowy Kwiecień z Laskowa to nie ma i mieć nie będzie. Kwiecień palce przykładal do tropu i mówił, jak dawno jelen tędy przeszedł. Tenże Kwiecień bystry był niesłychanie i twierdził, że zawsze leśnego złodzieja wytropi.

- Co należy zrobić - pyta Karczewski - jak zobaczysz świeżo ścięty pień?

Popędliwi koledzy przy kuflu odpowiadają: Szukać złodzieja.

- A nieprawda. Najpierw masz usiąść na pieńku i zastanowić się. Kwiecień zawsze tak robił: I, dalibóg, udawało się. Usiadł na pieńku kiedyś w zimie i zastanawia się. A tu widzi ślady: Pies siedział na śniegu i miał ogon obcięty, bo jamka została. A więc kusy pies był. Na młodniaku trochę białej sierści: Siwy koń był. No to Kwiecień wstał i już wiedział, kto ma kusego psa i siwego konia, czyli kto sosnę ukradł.

Teraz to już nie masz takich gajowych. Ani polowań takich jak drzewiej. U Radziwiłła spraszało się gości na polowanie. Lasem szedł gajowy i puszczał z worka oswojone liszki. Kudłate stwory skakały prawie na gości, ledwie który z fuzji zdążył strzelić. We wrześnie było zawsze polowanie „par force”. Wtedy bowiem można każdą zwierzynę strzelać, zjeżdżały się myśliwce z różnych stron, psiarnia wielka jak wojsko szła w las, psiarczyki pstrokato ubrane jechały na koniach, spuszczały charty ze smyczy, wszystko gnało za jeleniem; a kiedy psy sztuki dopadły, dobijano ją kordelasem. Potem już na szczęście dla zwierzyny tak hucznych polowań nie bywało. Raz tylko, kiedy polowało kieleckie UB z karabinami maszynowymi na zające.

Dziś nieźle - a propos - poluje Soborowski z Mniszka. Przyrząd sobie skonstruował do wabienia lisów, prosty: Rurka drewniana z piórkiem w środku. Dmuchniesz: Udaje kniazianie rannego zająca. Lisy na to lecą jak oszalałe, po pewną zdobycz. Dwadzieścia cztery ogoniaste sztuki palnął Soborowski. Za dużo ich było, niszczyły bażanty. A bażant ważny sprzymierzeniec rolnika - zjada stonkę. Karczewski postanowił hodować bażanty, trzyma je w klatkach przez zimę, a Soborowski to je nawet do kuchni w mróz zabiera i żywi szczodrze.

Wędrowaliśmy tak kilometrami przez jędrzejowskie lasy; to mignął nam w przecince chybki jelen, to ptaszyska jakieś smakowite spod stóp się zrywały. Aż znowu wróciliśmy do much Karczewskiego: Rączycowatych.

Otworzył drzwi do łazienki, a tu motyl wielki i pstrokaty siedzi na ręczniku. Skąd w listopadzie motyl? Ba, Karczewski trzyma w łazience dziesiątki próbek, w próbkach przeróżne jajeczka owadzie czy larwy przyniesione z lasu. Teraz przepoczwarzył się motyl, już go Karczewski łapie i do zbiorów włącza. Najciekawsza opowieść Zielonego Doktora - o biocenozie lasu, o tym, kto kogo logicznie zjada, dzięki czemu drzewa mogą spokojnie rosnać: Ktoś kogoś zjadać musi, inaczej zjadane byłyby drzewa, chodzi tylko o to, żeby zjedanie odbywało się w sposób prawidłowy, i tego pilnować trzeba.

Praca o tym doktorska Karczewskiego ukazała się drukiem i zrobiła furorę. Były to podówczas rzeczy całkiem nowe: Zielony Doktor zbadał środowisko owadów bytujące na borówkach i naliczył ich sto dziewięćdziesiąt sześć gatunków. Znalazł wśród nich minimalną ilość szkodników lasu, natomiast ogromną ilość pasożytów, które się jajkami lub larwami szkodników lasu odżywiają. Tak więc - konkluduje Karczewski - borówka spełnia doniosłą rolę we wspomaganiu naturalnej odporności drzewostanów.

Oto w gałkach żywicy żyje szkodnik zwójka-żywiczanecka-sosnowka. Ale wystarczy wprowadzić w ten las, a raczej w jego poszycie, borówki i gorysze, aby bujnie rozwijać się poczęły rączyce. Rączyce zabiorą się do zwójki-żywiczanecki i wyjedzą ich piękne larwy. Wielkiego znów szkodnika lasów, zwanego borecznikiem, zjada pasożyt *ceremasia inclusa* z ukochanej przez doktora wielkiej rodziny rączycowatych.

W nadleśnictwie Chrzastów przed laty borecznik zniszczył całe hektary lasu. Wówczas opylano las środkami chemicznymi. Lecz las opylany środkami chemicznymi nie wraca długo do normy, bo niszczy się nie tylko szkodniki, ale przy tym całe środowisko owadów i równowaga biologiczna zostaje wówczas zachwiana. Dlatego też lasów - zdaniem Karczewskiego - opylać się nie powinno, co najwyżej w nagłych wypadkach, kiedy inaczej się nie da. A tak to trzeba stale badać środowisko owadzie i jeśli za dużo borecznika się pojawia, znaczy, że za mało rączyc. Jeśli za mało rączyc, to trzeba im stworzyć warunki do rozmnażania się i wprowadzić do lasu więcej goryszy, bo rączycowate odżywiają się jej kwiatami. Nie trzeba mówić, jak ważne są w lesie te „armie Karczewskiego”.

Pokazuje doktor swoje ogromne zbiory owadów w szkolnych kasetach. Tysiące okazów owadzych, motyli rączyc - całe drugie muzeum można by z tego w Jędrzejowie otworzyć, równie atrakcyjne jak muzeum Przytkowskich.

Czy charakterem Zielony Doktor tak samo zgodny z Miasteczkiem? Bez wątplenia. Dosadniej się to uwydatni, gdy go zestawimy z ludźmi jędrzejowskiego „wielkiego przemysłu”, którzy... ależ tak, jak najprawdziej, należą do tego samego gatunku co Zielony Doktor.

* * *

Żyje w Jędrzejowie pan Biskup. Biskup, któremu, jak powiadają w Jędrzejowie, ślub dawał sam Papież. Tak bowiem - traf zdarzył - nazywa się urzędnik Stanu Cywilnego w Krakowie, gdzie inżynier Biskup otrzymał państwowy mandat na założenie rodziny.

Ale nie dlatego przyjechał do Jędrzejowa Paul Parker.

...Amerykanin był trochę stropiony i po dwóch godzinach rozmów coś strasznie kręcił głową. Był czymś zaskoczony, ani jednak warszawski cicerone wycieczki, ani gospodarze nie wiedzieli, co go męczy. Inżynier Biskup wprowadził gości do przypominającego pałacyk letni budynku, gdzie chłód wewnątrz o wysokich stropach łagodził spiekotę, która towarzyszyła słynnemu lipcowi 1963 roku.

Siedli przy kawie dokoła małego kawiarnianego stoliczka, najwyraźniej służącego tym celom od wielkiego święta, jako że wypijana w pośpiechu przy pracy kawa sąsiaduje tu zwykle z papierami na ogromnych ciemnych biurkach.

Nie mieścili się zresztą i Biskup nie krył zażenowania; goście bywają tu wprawdzie często, ale nigdy w tak licznym składzie.

Paul Parker przyjrzał się widokowi za oknem - dojrzeć tam mógł tylko to, co przed chwilą oglądał: Inspekty, szklarnie, grządki, pólka i poletka - odezwał się na koniec, przerywając ciszę (wszystkim żar słońca paraliżował języki):

- Jestem zaszokowany.

- ?

- Przejechałem dwadzieścia krajów, gdzie oglądałem stacje doświadczalne, plantacje, rozmawiałem z hodowcami. Wszędzie słyszałem: „Czy macie jakieś szczepy odporne na mączniaka? Dajcie, przyślijcie”... A tu słyszę, że Polacy wszystko sobie sami wyhodowali... że nic wam nie potrzeba, że sami dacie radę... Jesteście bardzo pewni siebie, muszę powiedzieć.

Biskup uśmiechnął się charakterystycznym, nieśmiałym uśmiechem dużego chłopca; wyjaśnił łagodnie:

- Wasze rośliny mają wiele cech pozytywnych. Są doskonale, najdoskonalsze z tego, co jest na rynkach światowych. Ale nie dla nas. I wy, i Australijczycy macie wspaniałe odmiany zdolne do obrony przed mączniakiem. Ale dla was nie jest problemem czarna zgorzel ani wirus ipsylon, wasze odmiany nie są na to uodpornione... Dlatego jesteście skazani na samych siebie.

* * *

Trudno powiedzieć, czy Amerykanin złożył to na karb ambicji przyrodzonej Polakom, o której wiele słyszał i którą delikatnie eksponował w swych komplementach, czy też w pełni trafiła mu do przekonania odpowiedź Biskupa. Faktem jest, że mieścił się w niej także pewien element pozahodowlanej natury; otóż wizyty obcych specjalistów tytoniowych obliczone są nie tylko na wymianę doświadczeń plantacyjnych wewnątrz międzynarodówki fachowców. Amerykanin reprezentuje swój handel, Polak - swój. Gdyby nawet można było skorzystać z amerykańskich odmian, Biskup nie byłby tego podnosił. Ekspert tytoniowy oznacza bowiem jednocześnie handlowego zwiadowcę. Jeśli zorientuje się w potrzebach danego rynku hodowlanego, jego mocodawcy mogą wedle tego rozeznania kształtować ceny; znajomość popytu określa politykę sprzedaży. Innymi słowy, amerykańscy plantatorzy będą się drożyć ze swymi dostawami, dobroduszny wygląd przybysza ze Stanów, jego prawie ojcowska jowialność mogą zwieść niejednego, lecz nie podobnych mu aparycją Polaków - tytoniarze nie robią wrażenia ludzi przemysłu, raczej ludzi roli, z całą ich statecznością hreczkosiejów. Jędrzej owianie wiedzą o tym.

Tak więc, gdyby nawet amerykańskie szczepy, odporne na mączniaka, potrzebne były w Polsce jako wręcz ostatnia deska ratunku, ani Biskup, ani Oliwkiewicz, ani Kwieciński słowem by się nie zająknęli mówiąc na temat sytuacji; tym trudniej rozszyfrować, ile jakich motywów powodowało Biskupem, gdy udzielał Parkerowi wyjaśnień, i w jakiej proporcji. Jeśli ambicja nie stanowiła tu rzeczywistego impulsu, to w każdym razie możliwość sformułowania takiego responsu musiała dumę Polaków mile pogłaskać.

Rzecz charakterystyczna, że „wielki przemysł” w Jędrzejowie też ma w sobie coś specyficznego; jest wielki, bez wątplenia - obroty przedsiębiorstwa, które w ciągu roku wypłaca plantatorom, dostawcom surowca, kwotę rzędu trzystu sześćdziesięciu milionów złotych, sięgać muszą miliarda; jednocześnie przecież ten wielki przemysł jest nieobecny w Jędrzejowie, Każdy wypadek, a zdarza się ich nadspodziewanie dużo, w maleńkich zakładach metalowych, dawnej „Podkówczarni” Ickowicza i Dykermana, przez długi okres ekscytuje opinię publiczną Miasteczka; okazję do plotek dają afery w małych przedsiębiorstwach, gdzie, jak w Państwowych Zakładach Zbożowych, najpierw posadzono połowę kadry kierowniczej, po czym aresztowano resztę, którą sypnęli pierwsi. W tytoniu afer nie ma i nie ma śmiertelnych wypadków, choć żadna dziedzina produkcji nie wykazuje takich skoków, nie zawiera w sobie tylu momentów gry, wręcz hazardu, i żadna nie stwarza tylu napiętych sytuacji. Dla Jędrzejowa także niejednym z pozostałych zakładów nie zrobił w części tyle, co Wytwórnia Tytoniu Przemysłowego: Udział w inwestycjach komunalnych, w budowie parku, w akcji zalesiania (trzydzieści tysięcy zasadzonych drzewek). Pieniądze, własna praca, inicjatywa dopingująca niemrawe dyrekcje innych firm - wszystko to kwalifikowałoby „tytoń” do rzędu ośrodków „wielkiego przemysłu”, tego pisanego dużymi literami, co oznacza coś więcej niż pozycję w hierarchii, oznacza bowiem przynależność do pewnej, opatrzonej własną legendą i symbolami klasy.

Tymczasem nic tu z „fabryczności” zakładów o miliardzie złotych rocznego obrotu. Na przedmieściach Jędrzejowa, wzdłuż specjalnej bocznicy, za dawnym „Piekłem”, gdzie na dachach blaszanych drewnianych bud sterczą anteny telewizorów, stoją wśród szeregów nowoczesne budynki wytwórni. Za wytwórnią - stacja doświadczalna. Za stacją - wieś Skroniów. Do figury, oznaczającej najpewniej Matkę Boską, co niełatwo rozpoznać, bo erozja powietrza i deszczu zatarła kontury postaci, panuje przemysł; za figurą - wieś. Lecz i tu, i tam rozciąga się ta sama cisza, w której usłyszysz głos każdego ptaka z okolicy.

Ten przemysł nawet i rytmem swoim spleciony jest z życiem wsi. Kampania zaczyna się ze zbiorami liści; przed sezonem zakłady są jak wymarłe. Przechodzisz niskimi halami magazynów, gdzie leżą sprasowane bele tytoniu, i jesteś wytracony z równowagi: Zamiast ciężkiej woni fabrycznej, stojącej w powietrzu zawiesiny, wyziewów i trujących smrodów - odurzający zapach stodoły wypełnionej najdelikatniejszego gatunku schnącym sianem i kwieciami, które zżęto wśród trawy. Coś z nieszkodliwego narkotyku, coś przesycającego łagodnością, ciepłem lata i beztróską wakacyjnych młodzieńczych igraszek. Zdaje ci się, że można by w te opustoszałe hale, zastawione tylko stertami beli i odpowiadające echem piwnic, przywozić neurasteników na kurację; nie sposób tu się martwić, zapach miękki, a przy tym pikantny, izoluje człowieka od świata kłopotów i problemów.

Czy oni - Biskup, trzydziestoparoletni szef Stacji, dyrektorzy Oliwkiewicz i Kwieciński - znają smak tej Arkadii? Tak. Lecz owa Arkadia działa silniej na obcych, jej egzotyzm dla Biskupa stanowi rzecz powszechną, choć nie może nie wpływać na kształtowanie charakteru „tytoniarzy”; ulegają niedostrzegalnie inhalacji wiejskości, która pachnie liśćmi skroniowskiej Wirginii czy złotolistnego Ihasu.

Ta wiejskość dziwną jest rzeczą i dla nieświadomych zagadkową. Cała fala robotniczych, urzędniczych, rzemieślniczych, inteligentnych synów osiadła po wojnie w agrotechnice; byli oczywiście akcentem rewanzu miasta za siły pobrane ze wsi, wręcz ułamkowym, w skali bodajże jeden do tysiąca. Stanowili niemniej zjawisko o własnej prawidłowości rozwoju, nie byli przypadkiem. Biskup, mocno zbudowany mężczyzna, o twarzy chłopięcej i wymowie miękkiej, robi wrażenie istoty z gruntu łagodnej, rzekłbyś: Odezwał się w nim chłopski atawizm, nie uświadomione ukochanie ziemi

I roślinno-zwierzęcego świata.

- Mam kolegę, w którego obecne dzieje nigdy bym nie wierzył - odezwał się naraz po chwili milczenia, § gdyśmy kończyli tradycyjną w reporterskich wywiadach kawę, tam akurat, gdzie Biskup spointował swym wyjaśnieniem alterację Paula Parkera. - Facet, wprawdzie ze wsi, ale od lat siedział w Krakowie, przesiąkł miastem. Studiował rolnictwo, to prawda; nikt jednak ani przez moment nie przypuszczał, że opuści Kraków, kawiarnie, teatry, kina, knajpy... Elegant, ubrany jak spod igły, ręce czyste, prawie pielęgnowane, nic z chłopca, mieszcuch całą gębą, a pieniędzy mu też nie brakowało, bo ojciec dosyłał. Tymczasem spotkałem go parę lat później, pytam, co robi? | Powiada, że wrócił na gospodarkę rodziców, pod Miechów. Nie wierzyłem, pokazał ręce. Rzeczywiście. Potem znów się dowiedziałem, że prowadzi gospodarkę pokazową, przywożą doń wszystkich gości zagranicznych, facet robi doktorat. Powie ktoś, że wrócił... Ale to chyba nie to.

- Nie to?

- Nie. Znacie panowie Bieszczady. Skądże tam ci rolnicy miejskiego pochodzenia? Miałem innego znajomego, ekonomistę. Żonaty z farmaceutką. Zaczął od biurka, normalny człowiek miasta. Ale widać nie potrafił. Został furmanem. Słowo honoru. Wozakował tak dobrych kilka lat, uskładał na ursusa, pojechał w Bieszczady. Założyli w paru spółkę, wyciągali drzewo z karczowisk. Teraz obstawił się już książkami, rodzina żony miała piętnaście hektarów nieużytków, a wiecie, panowie, że na Podkarpaciu nieużytki to naprawdę już nic, nie tam jakoś zaniedbana gleba... Wziął to, dzisiaj na dwa powiaty pionieruje w łąkarstwie i uprawie lnu...

- Czy pan uważa was trzech za ludzi jednego typu?

- Podobnego typu. Nie wiem zresztą. Nie zastanawiałem się nad tym specjalnie.

- Hodowla to jest hazard. Ogromna emocja. Stawia się na pewne rośliny.

Każda tytoniowa roślina-matka jest opisana, próbował ją zakazić, nie przyjęła; ciekawe, co teraz wylezie na inspektowej grządce. Po miesiącu szpakowaci, poważni panowie biegają po szklarniach, zaglądają: żywotne czy nie, udało się czy nie; pamiętają dziesiątki, setki „pojedynek”, na pozór niczym nie różniących się od siebie. Gdy przychodzi do zbioru liści, pilnować trzeba, by żaden z jednego poletka nie dostał się do innego kompletu. Każda roślina buchalteryjnie zanotowana, każdy szczegół figuruje w dokumentacji: „Wychować na szczytku próchnicznym. Nawożenie na ha: 300q obornika, 80kg P2O5 w superfosfacie, 150kg K2O w siarczanie potasu, 15kg w saletraku przedsiwnie, 15kg w saletrze pogłównie”. Robisz na przykład porównanie odmian typu Burleya, tytoniu papierosowego w charakterystycznej mutacji, z liśćmi w żółtawoseledynowym kolorze. Burleyowe liście są bardzo higroskopijne, chłoną zapachy, korzystny walor dla producentów nikotynowej trucizny, bo się Burleye pozwalają skutecznie poprawiać, „sosować” w papierosowej kuchni. Odmian bierzesz, dajmy na to, sześć; Flandria, holenderska odmiana, niestety nie uodporniona na inwazję mączniaka (zaraz wyjaśnimy, co oznaczają te groźne, lecz wcale nie przesadne w tonie określenia), starzeje się już, bo gatunki tytoniu z pokolenia na pokolenia, jak arystokratyczne rodziny, skłonne są coraz bardziej do wyradzania się; Rhinan, pochodzący z francuskich plantacji w Bergerac, jest już mocniejszy i jako odmiana młodszy, powinien plonować obficie od Flandrii; prócz nich drezdeńska Ergo z 1960 roku, słowackie Odrodac, B 55 i krzyżówka niemieckiej Gelbe Sorte z Tisky. Każda odmiana w pięciu powtórzeniach na pięciu poletkach. I takich doświadczeń kilkadziesiąt, setki w ciągu jednego roku...

Nic na próżno, nic dla czystej abstrakcyjnej satysfakcji. Stacja ma w sobie coś ze sztabu i zakładów zbrojeniowych. Sławę mozaiki tytoniowej utrwalił wśród laików Paweł de Kruif, słynny popularyzator mikrobiologii i medycyny; lecz mozaika jest wrogiem starym, znanym i przez to nie tak niebezpiecznym.

Ponad dziesięć lat temu zadała klęskę przemysłowi tytoniowemu czarna zgorzel; gniły korzenie roślin zarówno w polu, jak w inspektach. Zginęło tym sposobem wiele bogato plonujących odmian, plantatorzy ogłosiliby żałobę, gdyby tego rodzaju uzus obowiązywał w rolnictwie. Wyhodowanie nowej, dobrej odmiany zajmuje czasem i pięć lat, choć próbuje się niekiedy upraw niemal hazardowych, szczepu, który pozwala rokować mu sukces przed ostatecznym sprawdzeniem.

Pięć lat minęło i uderzył z kolei wirus ipsylon. Przenosiły go mszyce, rozprzestrzeniły z ziemniaków, gdzie ma główną domenę; wirus ipsylon już wcześniej się ujawniał, lecz sporadycznie poza Jędrzejowem, aż Biskup musiał prosić swego ówczesnego szefa, by mu specjalnie zademonstrował atak martwicy powodowanej obecnością wirusa. Dopiero pięć, sześć lat temu doszło do totalnego programu: Całe pola zmarniały roślin, u których zaczipowane przewody systemu odżywiania dekonspirowały chorobę brunatnieniem nerwów liści. Atak sam dokonał selekcji, ujawnił odporne szczepy, lecz plantatorzy ponieśli niewiarygodnie duże straty. Ledwie czas jakiś minął i podreperowali się nieco, walcząc z zarazą wzmocnionymi zabiegami profilaktycznymi i eliminacją słabszych odmian, a już w roku sześćdziesiątym pojawił się mączniak rzekomy: Niebieskawe kożuszki pleśniowe na spodzie liści.

Nie było ich w Europie do pięćdziesiątego dziewiątego; podobno jakieś angielskie laboratorium sprowadziło sobie doświadczalną kulturę mącznika z USA i niebieska pleśń uciekła z próbki, niosąc się z cyrkulacją powietrza na kontynent - milionowe desanty zarodników lądowały na polach Europy, groźne podwójnie swym zahartowaniem: Aktywne latem, na zimę przybierały formy „przetrwalnikowe”, by wiosną przejść do nowej infekcji. Wedle niektórych przypuszczeń startuje niebieska pleśń co wiosną z terenów północnej Afryki, gdzie tytoń wiecznie zielony, upały zaś nie sprzyjają panowaniu

mączniaka. Tym czy tym jednak sposobem, rok po roku niebieska pleśń falowymi szturmami nawiedza Europę. Odporny jest nań australijski szczerp Hicks, zwany Resistant, czyli właśnie „odporny”, lecz ten znów nie stłamsi w sobie czarnej zgorzeli i martwicy nerwów; krajowych odmian, które by nie uległy mączniakowi, jeszcze nie wyhodowano. Więc znowu profilaktyka, opryski, dziesiątki zabiegów, zjednoczona akcja plantatorów i przemysłu wspomagającego swych dostawców surowca; lato stulecia zneutralizowało mączniaka i dało, wyjątkowe zupełnie, dwukrotne w sezonie planowanie, lecz co będzie dalej?

Biskup i jego współtowarzysze produkują więc mieszańce, skoro hodowla trwa zbyt długo...

Mieszańce w pierwszym pokoleniu wykazują godną podziwu jakość, później, w następnych generacjach, dochodzi już do rozszczepienia rodziny na słabsze i mocniejsze rośliny, ale pierwsze pokolenie przynosi gremialne podkreślenie cech dodatnich: Albo wysokie plony, albo odporność. Nie chodzi bowiem tylko o to, żeby rośliny „wyrosły”; muszą rozwijać się dobrze w każdych warunkach, liście dawać o pełnej wadze, pulchne prawie i aksamitne, nie zaś jak pergamin; muszą być podatne na suszenie i wszelką obróbkę, którą zaaplikuje im przemysł.

Stacja ma wyprodukować w sześćdziesiątym czwartym roku sto dwadzieścia kilogramów nasion mieszańcowych; trzeba na to wykastrować każdy kwiatek z osobna, usunąć męskie narządy (pięć pręcików), nanieść pyłek na znamię, zawiązać kwiatek w celofanowy kapturek, by nie zapłodnił się po raz wtóry przypadkowo. Na jednej roślinie przeciętnie jest pięć kwiatków, z jednej rośliny przy masowej robocie otrzymuje się nasion przeciętnie... dwa gramy. Policzcie, ile operacji trzeba na sto kilogramów... Wszystko to w okresie kwitnienia, bez rozkładania na miesiące, przy współpracy pięćdziesięciu inteligentnych i solidnych kobiet, których, gdyby kto chciał nawet, nie sposób kontrolować.

* * *

Cała ta praca stacji, jej emocje, emocje później szefów wytwórni, która poddaje tytoń procesom fermentacyjnym w specjalnych komorach, bezsprzecznie mogą angażować, pochłaniać; lecz kto zetknął się z przemysłem, zwłaszcza młodym jak w Polsce, wie, że procesy dowodzenia i związane z nim napięcia powtarzają się wszędzie.

Te jednak, skroniowskie, inne są od fabrycznych.

- Rolnictwo wymaga innych ludzi niż huty i kopalnie. Tam siła człowieka w drużynie - powiada Biskup i milknie nagle.

Właśnie. Tu jesteśmy. Kim są owi idący na wieś, w Bieszczady, na stacje doświadczalne, inżynierowie?

Indywidualistami.

Rolnictwo dzisiaj jest - pomijając chłopów, u których zresztą ów element charakteru można wyłuskać także - Ziemią Obiecaną indywidualistów, ostatnim rezerwatem tych zamkniętych w sobie, nieco flegmatycznych ludzi, kryjących w ciszy wiejskiej emocje swojej bezgłośnie Wielkiej Gry.

Dlatego „wielki przemysł” w tytoniowej edycji nie zmienił charakteru Miasteczka - nie mógł. Dziwnym trafem przypasał się do tej Starej Polski jak ulał.

Chociaż inżynierowi Biskupowi daleko do czterdziestki.

Rozdział VII

Pan doktor Feliks Przytkowski był konsyliarzem pierwszej wody, sławnym na całą okolicę i jedynym do pierwszej wojny w Jędrzejowie mieście. Jeździł bryczką razem z felcerem, który otwierał zawsze przed nim drzwi; pan doktor podawał mu rękę trzy razy do roku: Na Boże Narodzenie, Wielkanoc i na swoje imieniny. Cień doktora nieodstępny prowadził wywiad z pacjentami, odkrywał chorych - doktor tylko badał i dyktował receptę. Później, na parę lat przed wojną, doktor Feliks sprawił sobie samochód, mercedesa, ale niedługo się nim cieszył, bo auto zostało zarekwirowane przez wojsko. Mimo to po wojnie nie mógł się nadziwić dwom karetkom marki „Skoda”, które rozpoczęły pracę w Jędrzejowie:

- Nie przypuszczałem, że dożyję czasów, kiedy w Jędrzejowie i po terenie kursować będą karetki!

Pełnił przez wiele lat funkcję fizyka powiatowego, czyli jak byśmy to określili: Kierownika powiatowego wydziału zdrowia. Urzędował w tym samym nadwątłym domu przy ulicy Klasztornej, później 14 Stycznia, na parterze, mając nad sobą kolegę, powiatowego weterynarza. Nieraz tam zdarzały się takie oto scenki, smakowitości przeczaczej:

- Panie doktorze, niech łaska pańska zbada tego źróbka, com go na podwórzec przyprowadziła - prosi baba z Węgleszyna.

- Ja nie jestem od źróbków, tylko od kobiet - odpowiada doktor Feliks.

- A od kobiet to jest u nas akuszerka! - odpowiada baba.

Inna historyjka, podobna:

Przychodzi dwóch chłopów po godzinach urzędowania, doktor Feliks zabiera już kapelusz, laskę, wychodzi.

- Panie doktorze, spóźniliśmy się, ale niech pan go jeszcze zbada, on czeka na korytarzu, strasznie chory, my go aż z Obiechowa...

Doktor odkłada kapelusz i laskę, decyduje:

- No to go wprowadźcie!

Po chwili wparadował do gabinetu pana miejskiego fizyka wielki, siwy ogier. Koń był, w przeciwieństwie do doktora, niespeszony, ale kiedy zaczęto go wyganiać, wyraził w sposób właściwy koniom swoje niezadowolenie. Doktor ryknął wtedy:

- Na pierwsze piętro go prowadźcie, a prędko! Tam przyjmuje weterynarz!

Tak doszło do tego, że koń z Obiechowa po piętrach chodził.

Doktor Feliks zmarł w tym czasie, gdy do Miasteczka przyjechał doktor Kwaśnik. Przeskok, być może, w narracji dość duży, ale...

* * *

Wszystko jakoś się łączy wspólnotą praw czasu i fakt przybycia przed ośmiu wiekami cystersów z dalekiego Citeaux do wsi Brzeźnicy jest w ostatecznej konsekwencji takim samym faktem, jak przybycie doktora Kwaśnika do Jędrzejowa. Cystersi zbudowali najnowocześniejszą budowlę w postaci klasztoru - Kwaśnik wprowadził do Miasteczka supermoderną architektoniczną w postaci swojej willi.

O ile decyzja cystersów w powiązaniu z ich misją, a przede wszystkim bogatymi nadaniami w Brzeźnicy może wydawać się całkowicie jasna, o tyle postępowanie Janusza Kwaśnika, świetnego chirurga o dobrej sławie, może budzić wiele niejasności. Kwaśnik bowiem nie był związany z Miasteczkiem żadnymi uprzednimi nadaniami, w związku z czym kroić mógł pacjentów równie dobrze na jakimkolwiek innym stole operacyjnym w Polsce, tym łacniej, że pochodzi z Pomorza; urodził się w Chełmnie nad Wisłą, ojciec zginął w największej bitwie 1939 roku, w Iłowie nad Bzurą; Janusz skończył medycynę we Wrocławiu, losy jednakże ułożyły mu się tak, że związał się w rezultacie na stałe z Miasteczkiem, które - wydawało się - pozbawione jest jakichkolwiek perspektyw. Szukał kiedyś miejsca, gdzie mógłby spokojnie rozpocząć pracę pod okiem dobrego fachowca. Przyjechał do Jędrzejowa, gdzie - jak poinformował go kolega - są wolne etaty w szpitalu.

Przyjął go dyrektor, doktor Sędek, potwierdził informację kolegi, zaprosił do asystowania przy operacji. Janusz popatrzył na szybkie i wprawne ręce Sędka, na jego perfekcję operatora, i powiedział:

- To kiedy mogę przyjechać ze wszystkim?

W dwa dni później przyjechał na stałe. Był rok 1952. Przyjechał ze wszystkim, to znaczy: Z żoną i córką, na pierwszą posadę, lecz mir sobie zyskał od razu wielki, miał bowiem zmysł diagnosty, rzeczowe podejście i talent. Ot, przywieźli do szpitala chorego. Krewni powiedzieli:

- Ze śledzioną u niego coś nie w porządku.

Pacjent był lekko blady, Kwaśnik zbadał, popatrzył uważnie w oczy, a później krewnym na osobności powiedział:

- Według mnie ma białaczkę szpikową. Będzie żył jeszcze dwa lata!

Badania laboratoryjne potwierdziły rozpoznanie, jednakże rodzina zapamiętała owe „dwa lata”. Zameldowali się, kiedy już dawno on sam zapomniał:

- Miał pan rację. Trwało dwa lata i dwa tygodnie. Ale skąd pan wiedział?

Sytuacja w lecznictwie nie wyglądała tak dobrze. Po wiejskich ośrodkach siedzieli felczerzy stawiający bajeczne nieraz diagnozy i aplikujący przeraźliwe terapie. Przysłali chorego z deskowatym brzuchem, diagnoza wypisana na skierowaniu brzmiała „zbiór na tyłku” („zbiór” oznacza tutaj czyrak). Stosowane leki: Morfina. Strach brał, gdy ściągali pacjenci z wiosek. Dziecko z zaawansowanym dyfterytem, przywiezione w ostatniej chwili, gdy można je było jeszcze uratować, rodzice siłą wydzierali do domu.

- Jedyna szansa: Zostawić! - radzi Kwaśnik.

- Scynami będę leczył - oświadcza chłop.

Na wsi jeszcze wówczas stosowana była na szeroką skalę tzw. uroterapia, czyli leczenie moczem, a nawet koproterapia.

Kwaśnik wymusił wreszcie zgodę na pozostawienie dziecka w szpitalu, ale rodzice jeszcze się upierają przy jednym:

- Zastrzyku mu ino nie dajcie!

I nowe piekło o zastrzyki. Chłop się drze:

- A to mi za te zastrzyki płacić każecie!

Kwaśnik zostawił dziecko, wyrzucił rodziców za drzwi. Uratował. Nikt nie powiedział: „Dziękuję”. Zastrzyki sam opłacił.

Tak zaczynał. Uczył się przy Sędku.

* * *

Dyrektor Sędek - mężczyzna w sile wieku, szczupły, wysoki, o szpakowatych skroniach i uważnym spojrzeniu - budzi zaufanie. Ma na swoim koncie trzydzieści tysięcy operacji. Właśnie pielęgniarka nakłada mu gumowe rękawice, Kwaśnik na sali operacyjnej trzyma w rękach dętkę od piłki futbolowej i co chwila naciska. Chora ma na twarzy maseczkę tlenową.

- Stosujemy teraz najnowocześniejsze metody. Narkoza dotchawicza, porażenie kurarą, daje maksymalne zwiotczenie mięśni.

Obok stołu operacyjnego nowoczesny super aparat do narkozy. Przed resekcją woreczka żółciowego.

- To samo przedstawienie po raz setny. Znamy tę sztukę na wylot. Ale dziwne, gramy ją zawsze z jednakową pasją - powiada Sędek.

Nie ma w jego tonie ani cienia przechwałki.

* * *

W stolicach Polski mówi się czasami: Prowincja ma kilku świetnych chirurgów. I wtedy wymienia się: Żurek w Nowym Sączu, Mycoń w Limanowej (od kilku lat nie żyje) i Sędek w Jędrzejowie. Kolejność oczywiście dowolna, wymienia się ich niejako *ex aequo*. Żaden szpital, żadna najlepsza klinika nie powstydziłyby się takich operatorów. Dlaczego na prowincji? Może właśnie dlatego, że na prowincji - nie wciągani przez kuszące wiry wielkiego miasta - doskonalili swoją sztukę, wertowali uważnie wszystkie czasopisma lekarskie, najnowsze doniesienia z dziedziny swojej specjalności.

Sędek pochodzi ze wsi niedalekiej od Jędrzejowa, z Miąsowej. Pamięta doskonale doktora Feliksa Przypkowskiego, który przyjeżdżał bryczką z felczerem do jego ojca. Może właśnie bryczka, felczer w asyście, styl doktora Feliksa zdecydowały, że wybrał medycynę. Skończył studia z wybuchem wojny. 15 stycznia 1940 roku zaczął pracę w szpitalu powiatowym Miasteczka, nie bardzo podłej budzie, gdzie najpierw mieściła się stajnia rozplodowa, potem dom starców, a wreszcie zrobiono z tego na trzy lata przed wojną szpitalik.

Został młodszym asystentem chirurgii i przydzielono mu godziwe leże na mieszkanie: W kancelarii szpitalnej za szafą. Musiał być stale na nogach, od wczesnego rana, gdy tylko dyrektor ówczesny, Mazur, rozpoczynał urzędowanie. Tak Sędek przepędził dwa lata; czasy były pełne napięcia, pracy po uszy.

Szpital konspirował na całego. Komendantem tajnej organizacji wojskowej był stróż nocny, przed wojną nota bene major straży przybocznej Mościckiego, Kos-Krzesiński. Zastępcą - kapitan Nawrot, na etacie ogrodnika szpitalnego. Tadeusz Przypkowski był zatrudniony jako laborant w pracowni rentgenologicznej i tamże przechowywał pistolety. Kos-Krzesiński, były senator, podpiswszy, zawsze wygrażał pokrzykując, że wystrzela wszystkich komunistów, z Jureczką i Patrzalkiem na czele. Kiedy trzeźwiał, odwoływał: „Teraz jest wojna i prywatne rozrachunki zostawimy na potem”. Jędrzejów bratobójczych rozrachunków nie uznawał. Kos był tu „obcy”, już same te okrzyki raziły Miasteczko. „Kos jest człowiek niegrzeczny” - mówiono.

Sędek ani obejrzał się, jak został wciągnięty do konspiracji. Pewnego razu partyzanci próbowali wysadzić pociąg między Jędrzejowem a Miąsową. Mina nie zdetonowała od razu, poszli sprawdzić bliżej toru i wtedy nastąpiła eksplozja. Do szpitala przyznał partyzant z wezwaniem, żeby natychmiast jechać do Kanie. Powiadomiono dyrektora, ale nie ruszył się sam; tylko asystent mógł zniknąć na parę dni, nie budząc wielkich podejrzeń. A w Kanicach było roboty co niemiara. Partyzanci mieli już na miejscu eter i wszystkie instrumenty. Sędek amputował nogi, ręce, oko. Wszystko w stodole. Narzędzia gotowały się na ławie. Pielęgnował ich potem - wyszli z tego wszyscy z wyjątkiem jednego. Zmarł jeszcze przed operacją. Odtąd często wołano Sędka do lasu - pracował dla AK, dla BCh, leczył z ran ludzi AL z oddziału „Garbatego”, bez różnicy. Kos-Krzesiński cukał się, nie rozumiał Jędrzejowa.

Jedna scena utkwiała w pamięci Sędka najbardziej. Było to w okresie, gdy Niemcy brali jeszcze Żydów do przymusowych robót. Pewnego dnia przywieziono do szpitala Żyda, Berlinera, rosłego mężczyznę, prawdziwego atletę, zbudowanego jak Samson biblijny. Pracował w parowozowni sędziszowskiej i koła lokomotywy obcięły mu dłonie obu rąk. Chcieli go w szpitalu przetrzymać i jakoś ocalić, ale nie udało się. Gestapo zjawilo się bez ostrzeżenia, kilku oprawców wtargnęło na salę, Berliner pozwolił im do siebie podejść i wówczas rozpoczął walkę... kikutami rąk. Padali na łóżka, na ziemię; walczył zaciekle, miał siłę niebywałą i prawie dwa metry wzrostu. Nie mogli strzelać, chociaż było ich trzech. Mogliby w tej kotłownianinie poranić siebie lub chorych na sali, zresztą o tych im nie chodziło. Wreszcie zmagli go, powalili, wlekli, na koniec zatłukli olbrzymia... lecz nie napisał nikt legendy o Samsonie bez dłoni i nie napisze pewnie, tak wielka była ta śmierć, większa w swej prawdzie od każdych słów. Cześć zatrzymał dla niej Sędek w pamięci na zawsze; on, który wtedy nie mógł pomóc i psychicznie odchorował potem tę bezsilę.

W 1944 roku, kiedy szpital został zajęty przez wojska niemieckie i tylko trzy sale zostawiono dla Polaków, Gestapo przywiozło doktora Fojcika, partyzanta, którego schwytano rannego. Położyli go Niemcy na swoim oddziale i pilnowali. Zdołał jednak pielęgniarki podać adres matki w Krakowie. „Jutro mnie rozstrzelają” - powiedział. Lekarze dokonali szybkich manewrów: Pośród bałaganu zbliżającej się kłęski wysłali go z najbliższym transportem na „czerwoną chirurgię” do Krakowa; tam się uratował dzięki doktorowi Fiałkowskiemu. Nazajutrz istotnie przyszło Gestapo. Oświadczyli im, że Fojcik został wywieziony „przez pomyłkę” z transportem niemieckich rannych do Krakowa.

Na lewym brzegu Wisły bronił się wtedy znienawidzony „Brückenkopf Baranów” i karetki wyły nocami, wioząc rannych do Kriegslazaretu w Jędrzejowie. Szpital wojował po swojemu, po lekarsku: Byli ranni z partyzantki, których dostawili

sami Niemcy - trzymał ich dłużej, żeby doczekali wyzwolenia. Byli ranni z partyzantki, o których Niemcy nie wiedzieli - wpisywano ich jako „rannych wysiedlonych z Warszawy”. Wielu rzeczywiście przetrzymało w szpitalu ostatnie dni niemieckiego panowania i ocalało.

Pierwszy rok po okupacji był ciężki. Nie było czym karmić chorych, nie było medykamentów. Personel zaczął wyjeżdżać na Ziemię Zachodnie, znęcony widokami wspaniałej przyszłości - musieli przyjmować całkiem surowy, nieprzeszkolony materiał ze wsi i kreować na pielęgniarki. Wrócił z obozu doktor Kwarta i objął dyrekcję szpitala, lecz - wycieńczony zupełnie - umarł w maju, niedługo po zakończeniu wojny. Wszystko spadło wówczas na barki Sędka, który dostał nominację na dyrektora 5 stycznia 1946 roku i dziś jest chyba jednym z najstarszych stażem dyrektorów szpitali w Polsce. Tuż po okupacji było zresztą w Jędrzejowie kilku świetnych lekarzy: Dr Birecka, która prowadzi teraz w Otwocku ośrodek torakochirurgii, doktor Politowski, obecnie docent na III klinice chirurgicznej w Krakowie.

Sędek został. Ktoś bowiem zostać musiał. Choć nie dlatego, żeby mu brakowało ambicji. Ambicje miał inne.

Dbął o to, aby zaopatrywać szpital w najnowsze podręczniki i czasopisma lekarskie, utrzymywać kontakt z rozwojem światowej medycyny na bieżąco. W dawnych czasach operowało się na miejscu tylko przypadki śmiertelne. Potem operowało się rzeczy najprostsze, a bardziej skomplikowane odsyłało. Ale czasami bywa tak, że decydują minuty. Przypadki zaś są różnorakie, wobec tego dobry chirurg w miasteczku musi umieć wszystko - powiedział sobie Sędek. I rzeczywiście, dzisiaj w jędrzejowskim szpitalu wykonuje się najbardziej skomplikowane operacje. Nauczyli się „prowadzenia” chorych po operacji, rzecz istotna, skoro nie wszyscy, jak pewien świadek Jehowy nazwiskiem Habuzda, dają się operować na ślepą kiszki bez znieczulenia i sami wstają ze stołu, aby wrócić na salę chorych.

Przez kilka lat Sędek był sam. Teraz ma dwóch świetnych pomocników: Kwaśnika i Cabana. Robią istotnie wszystko i robią dobrze. Specjaliści od chirurgii żołądka. To opanowali expedite.



* * *

Operacja dobiega już końca: Dwa wielkie kamienie, które rozsadały woreczek żółciowy, wycięte, brzuch zaszyty, chora wraca do przytomności. Kwaśnik odłącza aparat, chora oddycha już sama. Operacja trwała dwadzieścia pięć minut.

* * *

Szpital jędrzejowski nie bardzo jest podły - składa się z rzeczonyj dawnej stajni, przebudowanej przed wojną, oraz dwóch okazałych pawilonów: Jednego wystawionego w czasie okupacji, drugiego po wojnie. Doktor Jopp był nim dopiero na serio zachwycony, gdy wrócił z Kambodży. Pracował w Jędrzejowie kilka lat, ani mu się Kambodża marzyła, a wrócił wielkim wozem, wołgą przepaścistą, proporcjonalną do ogromu pana doktora i rozmiarów rodziny. Doktor wysoki jest i potężny, mówi basem tak głębokim, jakby w brzuchu miał zainstalowane nie pudło, lecz wielką skrzynię rezonansową.

- Piękny ten nasz szpital - powiedział po przyjeździe swoim basem, którego wszyscy od tego czasu nader chętnie słuchają, gdyż opowiada o dalekich krajach przeróżne historyjki, pikantne i mniej pikantne, przyprawione kumerskim „maggi”, które jest sokiem ze zgniłych rybek i nazywa się „jokman”.

- A jaki tam był szpital? Gdzie to ty byłeś?

- W Kampon-Czian. Pisze się „Kompong Cham”. Szpital mieści się tam w barakach, dawny wojskowy szpital francuski. Budynki bez okien, pełno jadowitych much. Chorych dzieli się na trzy kategorie. Nie podług chorób, ale na: Nic nie płacących, mało płacących i dużo płacących. Ci darmowi leżą w wielkich salach, na łóżkach bez moskitiery. Mało płacący mają moskitiery. Bogaci leżą w separatkach. Ale szpital nie daje piżam ani szlafroków, ci z dwóch pierwszych kategorii leżą w łóżkach we własnych ubraniach...

Gdyby szpital jędrzejowski nie stał na wysokim poziomie medycznym, pewnie by doktor Jopp nie odbył tego wojażu i nie wrócił przepaścistą wołgą. Ale że chirurgia stoi tu naprawdę wysoko, pojechał Jopp jako polski spec urządzić gabinet chirurgiczny, którego całe wyposażenie przesłała Polska jako dar dla Kambodży. Oglądał tam całe osiedla postawione na palach, ludzi łowiących rękoma ryby koło własnych domów, zaś sam miał nieliczną rezydencję: Z kucharką, pokojówką i dozorczą, bo tam przedstawicielowi obcego kraju inaczej mieszkać nie wypada.

Dziś chwali sobie Jędrzejów ponad miarę, mimo że tu nie ma na co dzień rezydencji, dozorczy, bananów i papai. W Miasteczku chirurdzy stale są właściwie na ostrym dyżurze. Przywiezie pogotowie jakiś przypadek - od razu telefon do domu i hajda do szpitala, myć ręce i za skalpel! Czasem trzeba brnąć w zaspach po pas, bo szpital na wygwizdowie, za Miasteczkiem, przy drodze na Małogoszcz. Chirurga nie ma w domu? Drobiazg, wszędzie go znajdują, wyłuskają, wykopią spod ziemi.

Był kiedyś występ Teatru Buffo w Kielcach; doktorostwo Kwaśnikowie siedzą sobie spokojnie na widowni, dowcip sypie się gęsto, typu „panie Rumian...”:

- Pan Pipściński proszony do telefonu. Żona pyta, gdzie podział klucz od mieszkania, bo w domu pożar i chciałyby wprowadzić dzieci.

- Pani Pasternakowa proszona na estradę, gdyż mąż życzy sobie, aby poznały się na niej całe Kielce.

I nagle wychodzi nowy człowiek i zaczyna w tym samym stylu:

- Doktor Kwaśnik, proszony natychmiast do operacji w Jędrzejowie!

Kwaśnik śmieje się w duchu i kombinuje:

- Skąd błazny wzięły moje nazwisko?

Ale facet jest nieustępliwy:

- Czy jest na sali doktor Kwaśnik? To nie jest żaden dowcip, telefonują z Jędrzejowa.

Tak więc Kwaśnik porwał żonę - no bo jak potem po nocy będzie się sama tułać? - wsiedli do pluskwiatego wehikułu i popędzili setką do Jędrzejowa. Ledwie przyjechał - skalpel: przywieziono faceta z wesela, dźgniętego w spojenie łonowe

scyzorykiem. Mała dziurka - jelita w kilku miejscach pocięte trzeba zszywać, przepatrzyć, czy jeszcze nie ma gdzie na jelitach draśnięcia. A potem sen nie przychodzi... czy wszystko dobrze zrobione, czy gazik jaki nie został w jamie otrzewnej?! Wstaje pośrodku nocy, telefonuje: „Słuchajcie, jak tam się czuje ten z wesela?”

* * *

Kulminacją dotychczas w karierze Kwaśnika i całego jędrzejowskiego szpitala - wielkim, choć nieznanym w szerszej skali sukcesem - była batalia o uratowanie chorej z tzw. „przełomem tarczycowym”. Przełom ów oznacza w praktyce straszny atak, przyspieszenie tętna i skok temperatury. Puls i gorączka przekraczają granice, które organizm ludzki zdolny jest przetrzymać i - koniec. Lekarze są bezradni. Trzeci z kolei atak jest zawsze śmiertelny. Drugi bardzo często.

Zima z 1962 na 1963, arktyczne „mrozy stulecia”; lekarze, przemarznięci, odbyli akurat konieczny smutny obrzęd: Pogrzeb szpitalnego kierowcy. Gdy wrócili, u chorej zaczął się atak. Stosowali largactil, fenergan, dolantynę, wszystkie możliwe środki na sen i obniżenie temperatury. Bez skutku. I wydawało się, że już nie ma ratunku. Wówczas Kwaśnik krzyknął:

- Otworzyć okna!

Usunęli inne chore z sali, mróz wypełnił pomieszczenie. Wszyscy przerażeni: Przecież, na Boga, jeśli nie umrze, to zamarznie!

- Obniżymy temperaturę środkami zewnętrznymi! - uparł się Kwaśnik.

Tętno dochodziło do dwustu pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Córka chorej nosiła śnieg z pola w woreczkach. Przykładano najpierw ostrożnie, aby nie odmrozić chorej. Ale Kwaśnik - czując ostatnią szansę - woła: „Mokre prześcieradła!”. Moczą prześcieradła, mrozą, przykładają. Chora po kilku minutach zasypia. Tętno jednak nie opada. Okładają prześcieradłami, śniegiem, lodem.

Zamarznie, na pewno zamarznie!

Temperatura zaczyna się wreszcie obniżać: Co godzina sześć, siedem kresiek. Walka trwa. Noszą śnieg, lód, moczą prześcieradła.

Rano temperatura wynosi: 35° i 6 kresiek, tętno 98. Chora jest uratowana. Na razie. Mija bowiem doba i atak powraca, lecz wtedy Kwaśnik i jego koledzy z miejsca zaprzęgli mróz do terapii - strach przed odmrożeniem okazał się płonny, przy wysokiej temperaturze ciała nie pozostają po lodowych okładach żadne ślady. I ten trzeci atak był już lżejszy, dali z nim sobie radę. Gdyby nie energiczna akcja, ten drugi byłby śmiertelny.

Kwaśnik - przed czterema chyba laty - zaczął budować dom przy Skroniowskiej, naprzeciwko hotelu „Pod Muchą”. Nie pracowało tam multum robotników, nie dostrzegało się błyskotliwego zaawansowania prac. Dom rósł powoli. Fundamenty z cegły, mury z żużlu. Kwaśnik sam przy wszystkich asystował i pomagał. Sam też projektował wspólnie z bratem żony, żeby nic nie kosztował projekt. Brat żony jest architektem i ma prawa budowlane.

Kiedy stanęły popielate mury z żużlu, wyglądało to wszystko niemal pokracznie. Kwaśnik, nie przerażony, chodził rażniej i pogwizdywał wesoło, a kiedy było sucho na Skroniowskiej i bagna wysychały, zajeżdżał nawet swoją pluskwiatą citroeną, wehikułem dość starożytnym, ale chyżym, pod willę i coś tam dłubał. Kiedy ją nakryto dachem, od frontu pojawiła się oszklona weranda - bez podłogi. Zastępowały ją kamienie i ziemia.

- Dlaczego? - pytał ten i ów.

- Bo tu będą rosły kwiaty.

W kąciку domu leżały kolorowe kamyczki, których cały wór przydzwigać musiała w bagażniku poczciwa „cytryna”. W dotychczasowym mieszkaniu, przy 14 Stycznia, gromadziły się zagraniczne albumy. Urządzenie wnętrz, kwiaty w mieszkaniu, meble segmentowe, ściany meblowe. Wszystko to wyglądało wspaniale i bardzo kolorowo na kartach albumów; wiadomo - Zachód ma poligrafię na niezłym poziomie. Pani Kwaśnikowa z pobłażliwością kręciła swoją kształtną głową najoryginalniejszej damy miasta Jędrzejowa: Czy aby tak wszystko będzie jak mąż, ów niepoprawny fantasta i marzyciel, planuje?

Kwaśnik tymczasem wsiąkł w Miasteczko na amen. Było mu dobrze w kręgu tutejszych znajomych, grywał w brydża w towarzyskim kółku z doktorem Sędkiem, miał wielu pacjentów, którzy go uwielbiali. Praca w szpitalu - a to najważniejsza - układała mu się dobrze. Zrobił specjalizację w chirurgii I stopnia, zabierał się do II. Postawił więc życiową swą stawkę na Jędrzejów. Gdyby tak nie było, gdyby wznosił ten swój dom z nadzieją, że sprzeda go i ucieknie, nie poświęcałby chyba żużlowym murom każdej wolnej chwili?



Byliby się niechybnie wprowadzili do willi, już prawie gotowej, w kwietniu jeszcze lub w maju, gdyby nie choroba uroczej pani Januszowej. Z ogródka przed naszym luksusowym hotelem obserwowaliśmy zabiegi doktora; pomagaliśmy któregoś ranka przy sadzeniu krzewów bzu w ogródku, asystowaliśmy przy uruchamianiu sadzawki wyłożonej egzotycznymi kamieniami i roślinami. Asystowaliśmy dwa razy, bo za pierwszym razem dno przeciekło i trzeba było nakładać jeszcze smoły i papy. Prowadził nas doktor po swoim domku, z zewnątrz jeszcze nie otynkowanym. Sypialnie pomieszczone funkcjonalnie, z dziesiątkami szafek i szaf w ścianach, schowków, ram z półkami, nie mówiąc już o prawdziwej poezji łazienek i przybytków pokrewnych, gdzie się z dziecinną radością pociąga za sznurek. Na parterze - hall, pełniący funkcję living-roomu, jadalnia i kuchnia, pokój służbowy, tudzież gabinet lekarski i poczekalnia, a w zakamarkach ciemnia fotograficzna, jako że doktor fotografowanie uwielbia. Po schodach schodzimy do suterenu, gdzie prócz kotłowni i hydroforowni, pralni, suszarni i tym podobnych przybytków, inna atrakcja, taka, że świat się jędrzejowski kończy! W piwnicy mieści się bowiem mały basen kąpielowy, jeszcze nie wykończony całkowicie, jeszcze do wyłożenia kafelkami, ale jest!!! Niczym w Polsce przed sześćset laty... Obok - garaż, czego jednak sześćset lat temu nie znano. Zajeżdżając tedy zakurzoną i pluskwiatą „cytryną” do garażu, zrzucamy szaty na brzegu basenu i pluszczymy się jak kaczki, następnie w znakomitej formie objawiamy się w jadalni... Ot, funkcjonalność. To, co zbudował - bez pudła - warte pół miliona. Kwaśnik wydał na wyczarowanie tego wszystkiego śmiesznie mało, lecz gdyby wliczyć jego osobisty czas i zabiegi...

* * *

Przyjmuje się ogólnie, że lekarze na prowincji to społeczność nieruchawa, że nie podnoszą swoich kwalifikacji, że się zaniedbują.

Utarł się ten stereotyp od lat, wymyślony i kultywowany prawdopodobnie przez tych głównie, którzy kurczowo trzymają się wielkich ośrodków - z przyczyn najzupełniej pozamedycznych. Pozycję gorszego startu w dostępie do wiedzy, pozycję, która być mogłaby źródłem jakiegoś stanu, bierze się za skutek, za charakterystykę sytuacji. Tymczasem ich, lekarzy prowincjonalnych, ambicja często gęsto na tym się właśnie zasadza,

by ów kompleks prowincji przezwyciężyć, obalić przesady, jakoby oni - w Obrzydłówkach i Łzawcach - „automatycznie” muszą być gorsi. Nieprawda! Wiedzą dużo i są - co najcenniejsze - nadal ofiarni. Jak tamci, służący za model Żeromskiemu. Wara utożsamiać ich ze środowiskami zamerykanizowanych groszorbów, znieczulonych na ludzkie nieszczęścia i pokrywających brak serca frazesem o inflacji mocnych wrażeń; boć na prowincji bywa tych wrażeń wcale nie mniej, a mimo to choroba i śmierć ludzka zachowują dla lekarza z prowincji swój wymiar tragedii. Zróżnicowanie postaw moralnych w tym zawodzie dochodzi już etapu pełnej polaryzacji: Z jednej strony - jędrzejowski lekarz, doktor Szymkiewicz, własnymi niemal rękami budujący zakład dla nieuleczalnie chorych gruźlików, spędzający wolne popołudnia na wyjazdach

z odczytami Towarzystwa Wiedzy Powszechnej o higienie i medycynie, zimą przepychający kilometrami samochód, byle przebyć ławice zasp i dotrzeć do wioski, gdzie w gromadzkiej świetlicy czeka nań osiemdziesięciu chłopów z projektorem; z drugiej strony - wielkomięjscy cwaniacy, żerujący na nieszczęściu ludzkim.

Miasteczko za złe ma im, lekarzom, że tworzą klan. Klan lekarzy - powiadają - klan zamknięty. Nie zawsze to prawda. Rzeczywiście towarzysko są wyobcowani. Przy brydżu zwykli dzielić się informacjami z dziedziny laryngologii i otolaryngoskopii, pomiędzy dwa bez atu a trzy kiery wtykać dyskusję o aparatach do transfuzji krwi. Ale tak podobno muszą, nie mają czasu na osobne dyskusje i wyłącznie towarzyskie brydże, zwłaszcza że mają poza szpitalem jeszcze prywatnych pacjentów; do Sędka, Kwaśnika czy do internistycznej znakomości Stępniewskiego zjeżdżają się ludzie z całej okolicy, nawet z innych powiatów, ba - województw.

Każdy poza tym jędrzejowianin kontakt z nimi zdążył chyba zawrzeć, nie było Miasteczko nigdy specjalnie zdrowe, choć - co przy każdej sposobności łatwo zauważyć - przeważają tu ludzie krępi, rozrośnięci, o silnych rękach i twardych karkach. Nie choruje może tylko jeden Karczewski, chłop jak tur, oddychający zdrowym powietrzem lasów.

Sam Jędrzejów powietrze miał zawsze złe i w tym śródpolnym Miasteczku nie miała gdzie dotąd wyjść przedszkolanka z berbeciami na spacer. Mogliby jędrzejowianie zjednoczyć się i wspólnymi siłami coś zrobić. Dlaczego nie robią? Bo najpierw Miasteczko musiałyby przejść proces integracji swego skomplikowanego zatimizowanego światka.

Hm. Integracja.

Mówi się o dezintegracji społeczeństw wielkomięjskich. Jakby naród polski nie stanowił przymusowego stowarzyszenia trzydziestu jeden milionów samodzielnych jednostek, zawsze skłonnych do manifestowania swej emancypacji...

Rozdział VIII

Można by o tych ludziach nieskończenie.

- A można by.
- Żywy kapitał.
- Kapitał. Ale czy żywy?
- Żywy.
- Ot, pytanie.
- Nie marudźmy, sprawdzajmy.

Nauczyciele - są? Są. Dużo? Bardzo dużo jak na tak małą miścinę. Sto kilkadziesiąt osób. I co? Martwota? Nie, skądże. Własna spółdzielnia mieszkaniowa, sporo domków pobudowano. „Domki Kozłowskiego”. Dlaczego Kozłowskiego? Przewodniczący Oddziału Związku tak się nazywa, pięćdziesiąty trzeci rok życia, a temperament młodzieńczy; za co by się wziął, pali mu się w rękach. Teraz wpadł na pomysł wybudowania świetlicy nauczycielskiej. Będzie nowy blok, trzy piętra, więc się na parterze zrobi świetlicę. Salę widowiskową na sto pięćdziesiąt, dwieście miejsc, ze sceną. Trzy pokoiki noclegowe. Biuro Zarządu Związku i pokój na pomieszczenie gospodarcze, gdzie by kawę i kanapki przygotować można. I jeszcze związkowa biblioteka. Nauczyciele opodatkowali się jednym procentem od rocznej sumy poborów, Kozłowski z oszczędności na swym administrowaniu przez dwa lata wysupłał z kasy Zarządu jeszcze trzydzieści sześć tysięcy złotych. Czy będzie świetlica? Cóż za pytanie! Na pewno będzie.



Pomyśli kto, że to wszystko? Nie, gdzieżby. A Robotniczy Uniwersytet ZMS-u? Znowu Kozłowski z kolegami; nie dość, że normalne szkolne zajęcia, to jeszcze dalsze lekcje, dziesiątki godzin. Prowadzą aż cztery kursy, oparte na różnych zestawach przedmiotów. Polski z rosyjskim i historia, to znowu matematyka z biologią i językiem. Robotniczy to on jest nie bardzo, ten uniwersytet, bo uczą się tam maturzyści obu liceów i eksterniści z Liceum Korespondencyjnego. Powtarza się program szkoły z pewnym rozszerzeniem; są to właściwie kursy przygotowawcze do egzaminów na wyższe uczelnie, bardzo potrzebne, bo wyrównujące pozycje startu wobec tych z Jędrzejowa, którzy nie mają za sobą ekskluzywnych warszawskich czy krakowskich szkół średnich...

Inni znowu opiekują się harcerstwem. Matematyk Kniewski od czterdziestego siódmego, jeszcze jako chłopiec, pasjonował się obozową kuchnią, to mu już w nawyk przeszło; nie ma chyba w kieleckim kwatermistrza tej klasy, każde harcerskie lato zaczyna się od pytania o plany Kniewskiego. Miałyby podstawy do zdumienia dzisiaj, skoro tyle to lat minęło od pierwszej

„wykapki”, a „pan psor” zjeść lubi dobrze, zwłaszcza że manu propria kucharzy. Jednak, choć jędrzejowskich tradycji spadkobierca, nie chowa swych talentów, nie kryje się, co i trudne byłoby, jako że tusza „pana psora” je zdradza, ale rok w rok staje do apelu w potrzebie.

Niestara to społeczność i wcale ruchliwa, jak widać. Na wigorze jej nie zbywa; para polonistów, która się zesłała w jedno małżeńskie stadło, przy uczniach potrafi spory wieść o poezję współczesną. Ona lubi dzisiejsze ludzkie niepokoje, on dawniejsze, ona klasie prezentuje nawet i najmłodsze pióra: Śliwiaka, Herberta, on ma ich za mistyfikatorów, ona spokojniejsza, on impulsywny, zadzierzysty, przy tym dydakta urodzony, bo zapaleniec święty, za to we współzyciu

trudniejszy, jakkolwiek harcerz były, bo impet i drażliwość w tym wielbicielu romantyków iście nie nauczycielska: Sam coś z poety i coś z Przypkowskiego.

Ta wrażliwość niczym mur obronny zamyka świat nauczycieli w małą twierdzę; ta sama ona u reszty, co u pana Krzeszowskiego, bardziej jeszcze może szlachecka, honorna niżli wywodząca się z chmurności bohemy.

Lekarze związani są w jeden klan, prawnicy - w drugi, nauczyciele - w trzeci.

Osobno jeszcze urzędnicy i ludzie techniki, fachowcy.

Lekarze zapraszają nauczycieli na wspólny wyjazd do Krakowa; nauczyciele i pojechaliby, lecz odmówią, podziękują. Nie będzie okazji do rewanżu, bo kieszeń nauczycielska nie tak zasobna. W towarzystwie lekarze potrafią sypnąć groszem, przyjdzie na stół szampan, likiery; nauczycielowi starczy ledwie na ćwiartkę, jeśli pije w ogóle, wyborowej. A są tacy na wsi, co mają po tysiąc złotych miesięcznie, zwłaszcza młodszy, na dorobku; ci nieraz do Jędrzejowa muszą po chleb jeździć, bo się miejscowemu GS-owi nie opłaca sprowadzać go specjalnie dla pana nauczyciela. Taki „jednopatykowiec” na balu w karnawale, gdyby i przyszedł, trzymać się będzie z daleka - swoich rozpozna zresztą bez kłopotu, więzi zawodowe określają geografii sali. Łącznikami w rezultacie bywają przedstawiciele inicjatywy prywatnej; ci z elitą chcą być za pan brat, czy elita ma pieniądze, czy nie ma, warsztat mechaniczny, taksówka czy samochód ciężarowy, każda własność dobra, jeśli tylko daje podstawę do kupna biletu, biletu zbyt drogiego w pojęciu niezainteresowanych, uprawniającego do wstępu na „ekskluzywną imprezę”.

Ambitny jest ten świadek nad wyraz, choćby się i nie przyznawał, bronił przed posądzeniami. Nie dość zamożny, by równać się w dobrobycie z eskulapami, więc też swoje inteligenckie szlify chroniący przed zakusami uzurpatorów. Kto dla nich rangę już kiedyś zdobył, pozostanie członkiem Miasteczkowej elity, lecz kto nie humanista lub nie pedagog z wykształcenia, długo wart będzie tylko opinii umysłowego nuworysza. Z inżynierem, działaczem, urzędnikiem - w dodatku bez wyższych studiów - można się spotykać, rozmawiać, załatwiać wspólne sprawy, związane z wychowaniem dzieci, lecz równości mu się nie przyzna; uprzejmie, więcej: Kordialnie można go potraktować, lecz zawsze z wewnętrznym zastrzeżeniem, że on sine nobilitatis. Odeszli bene nati, minęli dobrze mający, zostali oni, bene educati, nadal przecież ci sami: Szlachta.

* * *

Jędrzejów łatwo daje się „organizować”, jeśli tylko znajdzie się ten jeden ktoś, zdolny to zrobić. Każdy tu sobie pan, jednakże garnący się do działania, gdy kolejny Judym zaświeci przykładem, niećąc wyrzuty sumienia i chęć rywalizacji. Proces zgodny, zauważmy z doświadczeniem pozajędrzejowskiej historii - póki nie zacznie się sezon na nowe religie, wszystkim wystarcza jedna stara; niech jeden wymyśli co nowego, nuże każdy, kto potrafi, koncytować własne, iść o lepsze z tym pierwszym.

W Jędrzejowie we współzawodnictwie hamuje jednych obawa przed blamażem, drugich lenistwo. Judymowie zatem albo niewielu mają adherentów, albo nieco ospałych, powiedzmy delikatnie. Dyrektor Fermentowni Tytoniu, Oliwkiewicz, grywał w szachy, drużynę miasta wyprowadził przed laty na drugie miejsce w województwie. Dziś nie gra; klub zwracał się do niego, by reaktywował sekcję. Oliwkiewicz odparł, że chętnie zagra, lecz kierownikować nie będzie, ma dosyć. Niegdyś, przed wyjazdem na mecz do innego miasta, wstawać musiał w niedzielę trzy godziny przed innymi, obchodzić pozostałych członków drużyny, czasem i ściągać z łóżek; bywało zaś, że i w niepełnym składzie wyruszali w drogę, z góry oddając punkty na któreś szachownicy.

To samo w każdym sporcie jędrzejowskim: Jeśli są liderzy, dana gałąź rozwija się. Kiedyś dziewięciu zawodników z jedenastki piłkarskiej „Naprzodu” miało średnie wykształcenie, dziś nie ma go ani jeden, a klub ryje nosem gdzieś w dołach tabeli. Odeszli wodzowie. Działał harcerski „Błysk”, dziś go nie ma - działacze nie stało. W Skroniowie drużynę piłki nożnej obdarzyły władze wysokim kredytem na budowę stadionu - stadion zrobiono, lecz się gracze i organizatorzy rozjechali w pogoni za pracą i nauką po Polsce; dawniej była B klasa, teraz i C nie ma.

Sport jest niby doskonałym czynnikiem integracji, ale nie w Jędrzejowie. Byłaby może kultura - przed wojną, opowiada się, na uroczystościach aż trzy orkiestry szły i śpiewał chór „Echo” - dziś jednak w sukurs tradycyjnej izolacji przyszła telewizja. Pan Pacanowski, któremu kino upaństwowiono w roku 1945 - prowadzi je do obecnej chwili - płacze i oburza

się; telewizja unicestwiła jego zawodowe ambicje, dobierał zawsze filmy kasowe, umiejętnie je reklamował. Patriota kina, wiernych jeszcze dotychczasowej rozrywce łapie za kłapy, hołubi niemal, wzruszony do łez:

- Cóż to za inteligenci, co sobie kupują telewizory...? Bez kina nie można. Ach, proszę państwa, to jedyne miasteczko w Polsce, które kina nie docenia, okropność, żalosne widowisko... A jeszcze niektórzy umyślnie przychodzą mnie zranić w serce, nie kupują biletu, mówią tylko: „Panie Pacanowski, przyszedłem panu powiedzieć, że już moja noga u pana w kinie więcej nie postanie. Kupiłem sobie telewizor”.

...I odchodzą z triumfalnymi minami. Pacanowski ręce unosi do góry gestem natchnionego kaznodziei.

- Bez kina, powiadam, nie ma inteligenta. Któż kupuje telewizory?

- Ci, którzy wychodzili w trakcie seansu z „Viridiany”, z Bergmana.

- A czyż oni zobaczą kiedy w telewizji Bergmana, Bunuela?

Złośliwi docinają:

- Utop już pan ten swój stary okręt, panie Pacanowski. Kino idzie na dno. Budę na dansing przerobić, i to nie wiadomo, czy się nada.

Pan Pacanowski ociera łzy chusteczką, lecz w kącikach oczu gromadzą się nowe; odwraca się, siąka głośno:

- Przepraszam, my oboje z żoną tacy uczuciowi...

Pan Pacanowski walczy przeciw nowym prawom, czuje się kapitanem tej arki kultury, co krok przez nowego odstępę porzucanej. Tonie okręt, sojuszników brak, kultura nie ma wodza w Miasteczku.

* * *

Bo też kulturą jędrzejowską przez siedem lat chudych różni rządzący ludzie...

Jeden z nich miał chody bodajże jakieś na kieleckim szczeblu, bo sporo czasu się utrzymał. Była to postać, nie da się zaprzeczyć, barwna. Co skończył, tego nie próbował nawet żadnym papierkiem udowodnić; kiedy wreszcie zdecydował się pójść do szkoły, ocenił się na dziesiątą klasę. Zasiadł w dziesiątej, lecz zjawił się wizytator i wygonił go do ósmej. Poszedł do ósmej - despekt; młodszy brat zatrzymał się na maturze, nie dopuszczono go ze względu na kłopoty z językiem polskim. Ojciec obu panów, nazwijmy ich X, przymaszerował z interwencją do polonisty, Krzeszowskiego właśnie:

- Niech pan coś zrobi, żeby go dopuścili.

Krzeszowski się zachnął, odpowiedział jednak spokojnie:

- Nie ja, komisja złożona z jedenastu osób decydowała.

Ojciec X, jakby głuchy:

- Ale pan może.

Krzeszowski już głosem lekko drżącym:

- Nie ja.

- Ale gdyby pan chciał, toby mógł coś zrobić.

Tu już Krzeszowski nie strzymał, szarpnął się:

- Ale nie chcę.

Stary przeciągle:

- Taak? To zobaczymy, czy pan nic nie zrobi.

Krzeszowski opanował się, doprowadził gościa do drzwi:

- Powiem nawet panu, gdzie pan może jeszcze iść ze swoją skargą. Najpierw w kuratorium, a jeśli kuratorium zawiedzie, to w ministerstwie. Wyżej to już tylko do przewodniczącego rady ministrów, tylko nie wiem, czy będzie miał czas pańską sprawą się zająć.

W parę dni potem starszy z braci spotkał Krzeszowskich na ulicy, zwymyślał; Krzeszowski, gdyby nie powaga zawodu, byłby się może nie powściągnął, bo impetyczny, a przy tym rozrosły, krępy i zdrowy. Zreflektował się jednak, odciął się tylko napastnikowi ostrym słowem, przedstawił sprawę organizacji partyjnej. Dyrektor szkoły przeniósł ją na forum powiatowego stopnia, dostał X naganę z wpisaniem do akt.

Czym się X zajmował? Opiekował się gośćmi jędrzejowskiej kultury - na swój sposób; to aranżował spotkania z czytelnikami, to wizytę u Przyppkowskiego, to wódkę jakąś; gość wyjeżdżał z Miasteczka zadowolony i z honorarium w kieszeni, działacze jędrzejowscy zostawali na miejscu z dużo mniejszym zachwytem.

Dla przyjezdnych X był śmieszny i nieszkodliwy; w domu przecie groźny i gorszący - kiedy przebywał gdzieś w towarzystwie, dajmy na to, wziętego poety, otwierał jego wieczór autorski: „To jest kolega taki a taki, poeta, a ja X, też człowiek pióra; kolega tu przeczyta swoje wiersze i ja potem też coś przeczytam”. Po czym „kolega” czytał i „kolega X” czytał także, obaj w poincie pobierali pieniądze, trzysta złotych „kolega” i trzysta - „kolega X”. X potrafił sobie znaleźć okazję i bez odwiedzin zamiejscowego literata. Jeśli odbywały się gdzieś w powiecie eliminacje konkursu recytatorskiego, objawiał się nagle X, odczytywał porcję swych utworów i budżet wiejskiej szkoły przyprawiał o kolejny wydatek trzystu złotych. Miał po temu odpowiednie przesłanki - patronował recytatorskim turniejom, lubił zasiadać w jury; za to kiedy po raz pierwszy otworzył usta, nauczyciele o mało z krzesel nie pospadali. Na koniec mu jedna z polonistek jęła podpowiadać słowo... W punktacjach różnice między nim a resztą sędziów trafiały się diametralne, więc następnego roku zaglądał w karty kwalifikacyjne sąsiadów, u siebie zaś wpisywał o punkt mniej lub więcej.

Tym sposobem i w innych problemach sianem wykręcał się jakoś, szczerze zmartwiony, gdy mu któryś zespół teatralny przynosił za długi tekst do wglądu:

- Co, znowu gracie? I ja mam to wszystko przeczytać? Kiedy ja to zrobię...?

Poszedł wreszcie pracować na placówkę o zupełnie innym przeznaczeniu, przeświadczony, zdaje się, że go skrzywdzono i że padł ofiarą inteligenckiego spisku jędrzejowskich teatromanów i poetów.

Z tym wszystkim postać trochę śmieszna, trochę w swych bujnych ambicjach wzruszająca, jeśli patrzeć z perspektywy czasu, który upłynął od jego panowania w Miasteczkowej kulturze.

Dziś Wydziałem Kultury rządzi człowiek taktowny i ze wszech miar poprawny, jednak bez ambicji przewodzenia: Nie ma lidera.

Pardon, nie ma urzędowego lidera.

* * *

Gdybyśmy o nich nie wiedzieli, dałoby się to wydedukować. Gdyby nie istniały, trudno by było w to uwierzyć. Charakter Miasteczka (bo jednak działa coś takiego jak charakter Miasteczka, czyli pewien zespół ludzkich cech dominujących w tej społeczności, cech przez tę społeczność forytowanych, a tym samym umacnianych w swym panowaniu), otóż charakter Miasteczka implikuje obecność w nim osobników, których próżność, w większości nie uświadomiona, domaga się objawów cudzego aplauzu, których stanowiska nie zaspokajają w pełni ich pojęcia o sobie. I tym dopingowani szukają innych, z którymi wejść mogą w kontakt oparty na wzajemnej akceptacji. Polacy zresztą jako naród w przewadze swej są niedoszłymi wielkościami; z tych połowa to niedoszli pisarze, aktorzy, filozofowie, jednym słowem ludzie z intelektualnego świecznika, tak czy siak ludzie z ambicjami: Jedni w porę zrozumieli, gdzie kończą się ich możliwości, inni tego nie pojęli i nie pojmą do końca życia.

Najmilsi są ci pierwsi. Zadowolają się swymi „normalnymi” profesjami i tylko w przystępie rozrzewnienia czy wzruszenia uchylą rąbka swych intymnych sekretów. Lecz ich życiowa aktywność nie pozwoli im ograniczyć się do przyziemnych więzów: Gdy nadarzy się okazja i spotkają grupę sobie podobnych, organizują skromną, aleć zawsze jakąś tam rekompensatę w postaci zespołu amatorskiego teatru, chóru czy tańca. Im starsi, tym mniej będą żywili złudzeń, tym głębiej

ukryją motywy, więcej: Zademonstrują wobec swej „zabawy” poczucie dystansu, poczucie swej śmieszności nawet. Lecz nie wierzymy im: W głębi ducha każdy z nich widzi swą amatorską scenę - wielką scenę, siebie - Gerardem Philipem lub Jeanne Moreau, jeśli oczywiście wie, co oznaczają te nazwiska. Są to ludzie o bogatej wyobraźni, której dramatów nikt nie opisał i być może nie opisze, bo nie będzie ich umiał zrozumieć.

Każdy z nich wnosi do zespołu bogactwo swej ambicji i dlatego ruch amatorski w zasadzie nie wyłącza ze swego łona przywódców; nie zaczyna od skupiania się wokół nich, inaczej niż w przypadku sportu czy polityki. Tak więc Jędrzejów musiał, samą siłą swego charakteru, stworzyć jakieś formy działania dla jednostek o predyspozycjach, które opisaliśmy nieco wyżej. Jak się rzekło, byłoby dziwne, gdyby ich nie było.

I są. Od dawna.

Z seniorów każdy prawie ze stażem ponad ćwierć wieku. Pan Sajdak - ponad czterdzieści; pan Zawłocki (obliczył dokładnie) - trzydzieści sześć lat. Pan Kulpiński jeszcze w teatrze miejskim w Sosnowcu pracował jako dekorator. Pan Pomorski zaczął w czasie wojny, gdy brakowało jakichkolwiek rozrywek, pani Pomorska jest profesorką polskiego, dom tradycje miał i kontakt nieprzerwany z kulturą. Pan Pomorski - dwadzieścia pięć lat pracy w księgowości - zawsze musiał, to widać, liczyć się wysoko w opinii Miasteczka; kwalifikacji przydawał mu po temu nie tyle własny dom i urzędnicza pozycja, ile talenty towarzyskie: Jeszcze pięćdziesiąt lat wstecz w pełnej gali fin de siècle'u byłby pan Ferdynand pierwszym lwem salonu, nawet tak, jak dziś wygląda. Wąs, gest i wzięcie, owa płynność ruchu, połączona z dwornością, wszystko to żywcem stamtąd. Patrzysz na człowieka w sportowym swetrze, w narciarskich butach, i wiesz, że to nie to, że wrażenie jest fałszywe, masz przed sobą nie pana Pomorskiego, dziś pracującego w PPK Ruch, lecz pana Freda, który lat temu kilkadziesiąt nie pospolitowałby się na przykład towarzystwem syna malarza pokojowego, nawet gdyby ów malarz nosił nazwisko Bożęcki, na miłą pachnącą zapomnianymi szlacheckimi antenatami.

Dziś „pan Fred” siedzi na tapczanie w pozycji Batorego pod Pskowem (znów reminiscencja wzrokowa, toż oni wszyscy w Jędrzejowie skłonności mają do rozsiadania się w ten sposób, także i ci, których wcale jeszcze obfitość brzucha do tego nie zmusza; szabla zresztą na obrazie Matejki tylko pozór dla owej pozycji ma stwarzać; nota bene ciekawe, czy skromny mistrz Matejko orientował się w tych niuansach techniki szlacheckiego siadania?), trochę to ma znamionować ową niedbałą w odruchu fraternizację ze współnikami zabawy, trochę w tym owej starej rubasznosci, manifestowanej prostoty; pan Pomorski siedzi i spod krzaczastych brwi śledzi akcję próbowanej sztuki - Thorntona Wildera. Thornton Wilder „idzie” w największym pokoju mieszkania referentki z PSS-u, pani Trylik. Osiem lat pracowała jako dekorator, dziś jest referentką do spraw przemysłowych.

W jej mieszkaniu - z podwórka, w centrum Miasteczka, wejście do sieni, z niej na lewo mieszkanie, na prawo samodzielny, duży pokój z piecem - odbywają się próby. Pani Trylik ma być skłonną w zachowaniu do szarzy, podstarzałą amerykańską damą; podstarzałe damy - czy na Dzikim Zachodzie, czy w Europie Środkowej - są w stylu podobne do siebie, wszędzie są podstarzałymi damami w pretensjach. Pani Trylik nie jest nią, a przecież gra. I jak gra!

- Wierzyście w teatr amatorski? - zapytacie.

- Nie, dotąd nie wierzyliśmy ani trochę.

- Jasne, Polacy są z natury sztywni.

- Tak, ale... którzy Polacy?

- Znacie innych?

- Właśnie w Jędrzejowie; choćby panią Trylik. Zdumiewające. Nigdyśmy nie przypuszczali, że na to można patrzeć. Oczywiście dobrano dla niej rolę, którą może zagrać. Nie zagra lady Makbet, to pewne. Ale histeryzującą panią z kanarkiem - świetnie.

Pani Trylik śmieje się z siebie. Śmieje się - i gra. Najprawdziwiej. Ona tu wcale nie jest sobą, nie ujawnia siebie zamaskowanej dotąd konwenansem, lecz wchodzi w rolę, w obcą postać; płacze, mdleje, szarżuje, z całą swobodą - rzekłbyś - prawie zawodowej aktorki. Ta swoboda właśnie, ot, co urzeka; ani cienia tremy czy nienaturalności w intonacji; żywą,

tlustą babę, która mogła trafić na niesamowitą stację „Pociągu-Widma” gra równie dobrze, jak chudą członkinię Związku Cór Amerykańskiej Rewolucji. Gdybyż to oglądał Thornton Wilder!

Seniorka zespołów jędrzejowskich, pani Smągłowska, zmarła przed rokiem. Żona aptekarza, sama też pracowała w męzowskiej aptece. Poznała Smągłowskiego na próbie przedwojennego zespołu teatralnego „Sokoła”, który pan aptekarz prowadził; wyszła za niego. Odtąd dom ich był przystanią ruchu. Pan Sajdak chłopcem jeszcze w krótkich spodenkach debiutował w 1919 roku; na palcach policzyć, co z jędrzejowskich spektakli opuścił; był wszędzie, gdzie się coś teatralnego działo: Na poczie, na „kolejce”, w straży pożarnej czy w „Sokole”. Pani Smągłowska, jeśli było trzeba, wszystkie meble potrafiła z domu wyciągnąć niby z rekwizytorni, ogałacała mieszkanie; dziś - jak ona - to samo Podmorscy. U Zawłockiego robiono dekoracje - bałagan, śmietnik - niczego by się nie uląkł dla sceny; dziś w domu prawie muzeum, plakaty z całej historii jędrzejowskich teatrów - wara to przemilczeć, pan Zawłocki telefonem przez Polskę dopomni się o swoje miejsce w epopei.

I któż to nie grał na tych deskach? Nauczyciele, gońcy, prokurator, adwokat, kolejarze... Do dziś za Pomorskim chodzi osiemdziesięcioletni chłop, Grabowski, rolnik z dziada pradziada, tyle że od czasów chłopięcych zawsze w chórach, to kościelnych, to innych; Grabowski, zdarzały się okresy, że i czterdzieści świń naraz hodował, mimo to po dniu pracy w gospodarstwie przychodził wieczorem na próby, wierny wyznawca teatru, aktor niezmordowany. Spiesząc na próbę „Romansu z wodewilu” spadł ze strychu z sianem, porozbijał się, trzasnął mu obojczyk, myśleli wszyscy, że się nie wyliże - siedemdziesiąt sześć lat! Gdzie tam, ledwo o kulach jako tako stanął, przy dreptał na salę prób zapytać chociaż, czy aby coś dla niego przewidzieli. Rozumieć nie chciał, że autor mógł w tekście pominąć rolę dla niego. Dopisywano zatem dla niego w niejednej sztuce po dwie, trzy kwestie, byle mógł wyjść na scenę i swoim słabiutkim już, starym głosem bezzębego dziadka powiedzieć coś, czego na widowni już nie słyszano, lecz co dla niego stanowiło sens dalszego życia: Był potrzebny. Teraz, gdy już sił mu brakuje, wystaje na ulicy, poluje na dawnych kolegów, młodszych czasem o dwa pokolenia, żeby zapytać:

- No cóż, panie Władziu, co tam u was? Co robicie, co gracie, panowie?

Przed wojną nie organizowało się nigdy więcej niż dwa, trzy przedstawienia. Na dalsze nie było chętnych; często dyrekcje szkół dopełniały widownię uciami, chociaż miał Jędrzejów swoich kilkanaście rodzin teatralnych, które wykazywały stałość niezmienną upodobań... Bilety sprzedawało się po domach niby w handlu wędrownym; w tych kilkunastu progach „akwizytor” trafiał na serdeczne przyjęcie. Inaczej niż w urzędach, gdzie woźni klucze przekreślali w zamkach na polecenie „panów urzędników”, którzy dostrzegli kogoś z teatru. Inaczej niż dziś... Pewnego dnia naszła aktorów babulinka prosząc, by ją łaskawie „zapisali” na teatr, nie wiedziała bowiem nic o istnieniu czegoś takiego jak bilet, obejrząc jednak chciała to, o czym jej wnuczka mówiła, że zobaczyć warto. Czasy się dziś zmieniły i tylko teraz kłopoty z narybkiem; młodzież, choć ogłasza się zapisy, nie zdradza się z ochotą. I ci z młodych, którzy biorą udział w próbach, też już inni, jakkolwiek tego seniorzy nie dostrzegają. Ci myślą już nie po jędrzejowsku, lecz po wielkomięjsku, inaczej. Nie Mohikanie ostatni, lecz nowi ludzie, choć w Miasteczkowym i sztafażu.

* * *

Po wojnie, że chciano zabić rany jak najprędzej, ruch się amatorski ożywił bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Co tydzień odprawiano wieczory rozrywkowe, eks-członkowie chóru „Echo” aranżowali występy śpiewacze, dziewczęta próbowały tańca - szło na scenę wszystko: Co kto potrafił. Pan Pomorski myślał o pełnym spektaklu.

Z góry przewidzieć można, że nie zniósłby fuszerki dla samego blichtru Miasteczkowej sławy. Przy całym dystansie wobec rzeczy szykował się solidnie, naj solidniej, jak na owe czasy było można, Charakterystyczne - bo na potrzeby Jędrzejowa starczyłoby i tego, co pokazywano w pierwszych skeczach po wojnie. Rodzina też byłaby i tolerowała fantazje pana męża, brata i syna, lecz on sam nie darowałby sobie, gdyby nie zrobił maksimum tego, na co go stać; nie będzie Schillerem, lecz wstydić się nie zamierza.

Co tydzień przez trzy lata odwiedzał w Krakowie Ronarda Bujańskiego. Czasem i dwa, trzy razy między jedną niedzielą a drugą. O wszystko pamiętał zadbać: Stroje wyszukiwał w teatralnych kostiumniach, za własne pieniądze wyciągał z prywatnych wypożyczalni. Bujański poradził mu czołobitność złożyć starym aktorkom - może która w szafie trzyma dawne kreacje. Jeśli przystojny, trzydziestokilkuletni młody człowiek weźmie je układnością i komplementami, udzielią pewnie

czegoś ze swych bogactw. Pomorski wysilił cały swój towarzyski takt i elokwencję: Godzinami potrafił rozmawiać o teatrze, wielkich wspomnieniach, których sam nie miał, za to inteligentnie podchwytując je z ust starszych pań, nawet nie orientując się, że przecież elegancki teatroman pamiętać ich nie może; słowem, czarował i czarował ze skutkiem. Wyrzutów sumienia nie miał, dawał w tych rozmowach z siebie wszystko, rozumiał, że starsze panie spragnione są choćby dalekiego refleksu dawnych braw. Tym seansom, w których stawał za medium, nie dorównywały pewnie nigdy później rzeczywiste sceniczne obrazy, w których przed publicznością aktorował. I dziś je przywołać oczom słuchacza potrafi, jeśli słuchacz gotów obraz szczerze sobie imaginować.

Wychodził z tych tete-a-tete zaopatrzony w suknie, wiszące latami w szafie, utrzymywane jednak w stałej gotowości, jakby za chwilę miały być użyte znowu. Starsze panie otwierały skarbnie:

- Widzi pan, w tym grałam wówczas... Co pan chce, proszę wziąć, miło mi, że się to jeszcze przydad A i wspomnieć miło przy tej okazji...

Bez oporu oddawały swe pamiątki w ręce teatroman na, bo gwarantował, że - jeszcze raz niespodziewani! ukazane na scenie - wrócą do właścicielki nie zniszczone, w tym samym stanie. Nie chciały starsze panie z domu wypuścić i żegnać gościa, który był dla nich symbolem przedłużenia się w innych własnej młodości i teatralnego życia. Pan Pomorski zdawał sobie sprawę z patetyczności owych spotkań i umiał tę patetyczność uszanować.

Wystawiali komedie muzyczne, nawet swoją muzykę dał im do programu Alojzy Klucznik. Próby odbywały się u Pomorskich. Zdarzało się, że cała rodzina grała. W „Rodzinie Rakuskich”, przerobionej z przedwojennego „Walącego się domu”, teść grał ojca pana Pomorskiego, siostra - siostrę, żona - żonę, a on sam bohatera; prócz nich - pan Sajdak i pan Zawłocki. Sajdak, także pater familias, nieraz też swój dom na scenę prowadził - grała raz i żona, i córka, i syn, i on. Zrazu dawali rzecz dwu-, czasem trzykrotnie. Potem dociągali do sześciu wieczorów. Doszli wreszcie do dwudziestu trzech spektakli, gdyby zaś liczyć występy „zamięscowe”, niektóre sztuki miały i siedemdziesiąt spektakli za sobą.

Dekoracje przygotowano z naturalistyczną wręcz wiernością wobec szczegółu. Jędrzejowska publiczność nie lubiła umowności lub też, co równie prawdopodobne, nie lubili jej aktorzy. Teatr dla nich miał być pełną iluzją życia, więc i scenografia służyć powinna temu założeniu. Kiedy Żeromskiego „Grzech” mieli inscenizować w zimie, na jesieni zebrali naręcze liści, by ganek nimi w dekoracji ozdobić, a i winne grona kupili w kieleckich „Delikatesach”, przymocowując autentyczne do patyków. Kiedy w „Rodzinie Rakuskich” pan Pomorski kreować miał siedemdziesięcioletniego paralityka, wypożyczono specjalnie z jędrzejowskiego szpitala fotel na kółkach. Scena powinna dawać prawdę. Komu? Nie pytajmy, nie trzeba. Dla kogóż w końcu ten teatr? Tyleż dla widzów, co dla uczestników.

Mimo kosztów niemałych doprowadzali do skutku swoje premiery. Dochód rozdzielali na różnorakie cele: Początkowo największy procent szedł na bibliotekę prowadzoną przez panią Kwartową, wdowę po doktorze. Pani Kwartowa prosiła nieśmiało:

- Książki nie oprawione...

- Ile trzeba?

- Introligator chce tysiąc trzysta złotych. Co robić?

- Będzie, pani doktorowo...

- Nie wiem jak dziękować. Biblioteka tyle już wam zawdzięcza.

Potem grywali „na pomoce szkolne”, rewanżując się szkołom, które użyczały im sal na próby. Lecz dyrektorzy nie kwapili się z poparciem. Gdy raz wypadło z podziału na dwie szkoły po tysiąc kilkaset złotych i czterech uczniowie musieli dźwigać zakupione książki do bibliotek szkolnych, spotkał ich dyrektor:

- Co, tylko tyle?

Owa niechęć miała swą tradycję; pierwszy ów zespół po wojnie stąd się narodził, że ówczesny dyrektor szkoły wyrzucił chór nauczycielski z podległych mu sal, tym samym pozbawiając dostępu do pianina. Zawiazali więc konfederację, żeby

na własne zarobić. Później, w innym budynku, chór prześladował... woźny; gdy się zbierali w sobotnie wieczory, gderał i docinał:

- Dopokąd się tak będziecie schodzić? Porządni ludzie to w sobotę wieczorem dzieci kąpią, a nie po pustych salach się włączają...

Zespoły teatralne też nie miały więcej szczęścia.



„**Białe fartuszki**” trenowano kolejno w salach czterech kolejnych szkół, które kolejno wyrzucały je na bruk. Ze świetlicy PSS-u potem wypędziła ich na odmianę ówczesna przewodnicząca ZMP - nie ufała drobnomieszczańskim fanaberiom.

Gdy się jednak w Jędrzejowie „teatrowanie” przyjęło, kiedy narosła tradycja upamiętniania każdego zjazdu - PZGS-u, PSS-u czy związków zawodowych - nową premierą, dawna jedność poczęła się kruszyć. Rysy pokazały się tak w „poziomie” (w postaci tajonych, lecz żywych animozji między rówieśnikami), jak i w „pionie” (między pokoleniami).

To już jednak nowa historia. Bez której niemniej perspektywy końca Starego Świata zrozumieć nie można.

Rozdział IX

W cieniu przesączających się wzajem miasteczkowych elit wyrastała nowa generacja. Różna jednak od poprzednich zasadniczo, nie tylko fizycznie, choć się to rzuca w oczy - ich szczupłość, wzrost bardziej wybujały, pociągłe twarze, ciekawe zjawisko biologiczne, obserwowane zresztą na terenie całej Polski - ci jednak są i dlatego „nowi”, że nie orientują się już na patriarchów Miasteczka, przeciwnie. Dojrzewali w proteście przeciw starym kanonom i kryteriom ważności.

W Miasteczku na pozór nic się nie zmieniło, jak nie zmieniło się wiele i do ostatniego roku, roku 1963. Ulice odpychały błotem, domy odrapaniem ścian, podwórka smrodem. Telewizja nie przypuściła szturm, radio na rewolucję za słabe. A jednak ci byli już właśnie „nowi”.

Prowokował doping ze strony Uniwersytetu Ludowego w pobliskiej Różnicy; jego założyciel, Babnicz, zagończyk oświaty, rozbudowywał swoje agendy, pchając w odludzia Kieleccyzny coraz to nowych wyznawców kultury, sam, dzięki publikacjom w centralnej prasie, stanowiąc w rozumieniu powiatu synonim Warszawy, naraz przesadzonej na grunt prowincjonalny. Uniwersytet, choć trzydzieści kilka kilometrów od Miasteczka, lecz w obrębie powiatowej administracji, wywierał stały, acz niedostrzegalny nacisk.

Opowiada nieraz doktor Szymkiewicz o poziomie i zainteresowaniu chłopskich słuchaczy jego odczytów. Gdy zabrał przypadkiem z sobą do jednej wsi urzędnika powiatowej administracji, on jeden na sali otwierał usta ze zdumienia, słuchając prelekcji... Robi też swoje kontakty z prasą, rozbudzony żywo ruch czytelnicy; punktem odniesienia przestawały być autorytety jędrzejowskie, zaczynały być warszawskie i krakowskie. Ogólniej temat ujmując: Kryteria obce, wyższe, ostrzejsze.

Dzisiejsze trzydziestolatki znajdują kontynuatorów pośród obecnych nastolatków. Nie między tymi z Miasteczka; między tymi, którzy do jędrzejowskich szkół przyszedli ze wsi. Choć impulsy nie zawsze działały te same.

Procesy niemniej zachodziły zbliżone. Dziś w szkołach średnich Miasteczka największe zainteresowanie dla nauki wykazują przybysze ze wsi. To oni, a nie dzieci z Miasteczka, mają poczucie awansu, który im otwiera wykształcenie. To oni zdają sobie doskonale sprawę, że zawód nauczycielski po skończeniu liceum pedagogicznego nie oznacza wcale łatwego i obfitego chleba. Upatrują w nim jednak coś więcej: Szanse przekroczenia bariery dzielącej ich od miejskiego trybu życia. Część asymiluje się szybko, część do matury nie zyska obycia i umiejętności znalezienia się, tak naturalnej dla wyszczekanych młodzianków z inteligentnych rodzin. Jedni i drudzy jednak (chyba że wpadną w towarzystwo obiboków i wałkon) najwięcej czasu spędzają przy książce. Gdy wyjść trzeba do roboty na przyszkolnym poletku doświadczalnym, siłą ich jednak trzeba naganiać. Dla „miastowych” to zabawa, miła niecodziennosc, dla tamtych - powrotna degradacja, choć chwilowa, przecież trudna do zniesienia.

Miała jedna z klas jesienią truskawki przykryć, widłami sięgnąć po nawóz. Nie, tego nie chcieli robić. Oporu nie demonstrowali jawnie, lecz nauczyciele sprzeciw odgadli z atmosfery. Toż oni właśnie dla tej przyczyny sięgnęli po skromny pedagogiczny chleb, że uciec chcieli od brutalnej fizyczności wiejskiej pracy. Rozumują tak zresztą za przykładem rodziców, którzy chcieliby odjąć swemu potomstwu trochę ciężaru własnej doli. Praca dla nich to gospodarstwo - inne wszystko: Prowadzenie lekcji, nauka, zajęcia szkolne, to niemal zabawa, pensja zaś - czysty zysk. Czysty zysk, jeśli nie trzeba uharować się na roli.

Trzydziestoletni też chcieli „przeskoczyć, lecz impuls był w tym wypadku świadomy, i to świadomy w każdym aspekcie. Mieli być „inteligentami”, niezależnie od tego, co im przyjdzie robić w życiu dla zdobycia utrzymania; więc nie chodziło tu o wyzwolenie się z pracy fizycznej, lecz o dotarcie do „prawdziwej” kultury. Mieli być „inteligentami”, ale nie wedle Miasteczkowego modułu. Obrachowywali go inną skalą marzeń. Nie byli emigracją, byli zdobywcami.

Ojciec Marka Barana - Marka, któremu, żeby żył długo, na chrzcie dano Marian po dziadku - miał sześć hektarów. Marek urodził się trzynasty z kolei, pierwszy, który przetrwał; ojciec przewędrował sporo świata, był w Kanadzie, matka umysł miała ciekawy i bystry. Trzynasty do siódmego roku życia chorował, później wyrósł na chłopaka żywego, nad wyraz ruchliwego.

Czas chłopięcy zapisał bujnie, manewrami od szkoły do szkoły; to mu się nie podobało, to się dyrektorowi naraził, to znów rozpalając w internackim piecu rozlał denaturat i próbował gasić wodą; miał być kolejno mechanikiem, spółdzielcą, elektrykiem, także i górnikiem, ale nie wytrzymał nerwowo podziemnej praktyki. Na koniec włóczęgi trafił znowu do Jędrzejowa. Cudem w trakcie roku szkolnego przyjęto chłopaka do miejscowej zawodówki, spał dwa dni bez przerwy, po czym wziął się do roboty. W Kielcach, dojeżdżając do pracy z Miasteczka co rano, zrobił wreszcie maturę - pan referent z pensją siedmuset złotych miesięcznie.

Bożęcki (piszący się przez „ż”, choć rodzice w metrykach mieli „rz” - nie wiadomo, jak to pisać poprawnie) z dzieciństwa przeniósł w dorosłość wadę zastawek serca; miał trzech kolegów z podobnym schorzeniem, on jeden przekaraskał się dotąd bez operacji, tyle że siedem razy w ciągu siedmiu lat karetka pogotowia odwoziła go do szpitala. Raz lekarz skostatował agonię - na przekór medycynie Bożęcki żyje i prosperuje niezłe, jedynie naukę w szkole choroba mu zdeorganizowała. Uwielbiał niemniej książki, każdy grosz wydawał na nowe pozycje, a w małej komórcie, którą okupował, ubierał niemałą bibliotekę. Schodzili się do niego pogwarzyć, podyskutować - Baran i młodszy Gleń, żywy jak iskra, energiczny, wszystkim zainteresowany chłopak, pracujący w Fermentowni, szybko awansowany na sekretarza Rady Zakładowej. Bożęcki przemyślał o studiach na wydziale historii sztuki, Gleń po kryjomu pisał wiersze, Baran także, obaj kończyli Studium Teatralne w Kielcach - dawało im to uprawnienia instruktorów teatralnych.

Nie od tego jednak zaczęły się niesnaski w rodzinie jędrzejowskich teatromanów. Otworzyły je ambicje reżyserów i patronujących instytucji. Kolejarze z „wąskotorowej” winszowali sobie dysponować własnym zespołem, który by nosił markę Związku Zawodowego Kolejarzy, choćby w nim i grało sześćdziesiąt procent ludzi „z miasta”. „Kolejka” zresztą i ambicje miała, i pieniądze. Ich teatr lalek działa już dziesięć lat, ze wszystkich też chyba jędrzejowskich teatrów zebrał najzaczniejszą laury - specjalne wyróżnienie Ministerstwa Kultury z dotacją piętnastu tysięcy złotych. Lecz dla Jędrzejowa prestiż wiązał się z teatrem dla dorosłych, my zaś podjęliśmy się pisać o tym, co o Miasteczka portrecie decyduje; lalki więc pozostawić nam trzeba na uboczu, podniósłszy tylko ich zasługi i sukcesy. „Kolejka” rada by i dziś wszystkim nieba przychylić, bo pan Kulpiński, osoba tam wpływowa, elektryk i stały dekorator, nikomu nie jest niechętny. Lecz się od tego zaczęło, że wobec pana Żaka, administratora, pan Sajdak zgłaszał zastrzeżenia, szykując adaptację „Wiernej rzeki”: A to kostiumy, a to to, a tamto...

Żak, człowiek nerwowy, bardziej przejmował się swoim motocyklem, kiedy mu stacyjkę wyrwali, niżli potrzebami zespołu; pokwękają, ponarzekają, przedstawienie i tak zrobią. Pana Żaka w tym głowa, by później puścić program w objazd specjalnym wagonem, skoro władze kolejowe stać na taki luksus. Że coś brakuje, trudno, nieraz brakowało, a przedstawienia szły. Aliści na próbie generalnej Lala Sajdakówna, bodajże najładniejsza dziewczyna w mieście i zdolna bestia do sceny jak rzadko, zaoponowała przeciw zbyt skromnemu kostiumowi Salomei:

- Takie szmaty? Nie będę grała, słowo daję. Jak powinna wyglądać, nie wiedziała, choć na którąś próbę Bożęcki przyniósł z domu swój album Grottgera; tradycją zaś było pilnować tradycji... Każdy jednak tradycję na swój sposób kroi.

Żak za głowę się złapał, odniósł do ojca-reżysera. Ojciec Sajdak, cóż robić, przyznał rację córce:

- Masz ci los... Ona ma rację. Lala źle się w tym prezentuje...

Afiszę rozklejono już na mieście, Żak dostał palpitanie, próba się rozleciała. Co dalej? Reżyser z rodziną ogłosili secesję, póki administracja nie uczyni zadość wymogom inscenizacji. Administrator łykał wstyd za spodziewany blamaż, jeśli zespół nie pokaże się w zapowiedzianym terminie. Reżyser myślał, że weźmie twierdzą biernym oporem.

Pan Żak, rada w radę, udał się o pomoc do niedalekiej Małogoszczy, gdzie przygotowywano „Wierną rzekę” w tej samej adaptacji. Ściągnięto więc na gwałt małogoską Salomeę i dwóch brakujących mężczyzn, w nocy do rana przykrawano rzecz do wspólnego występu. Pół Jędrzejowa się zbiegło, bo chyra poszedł po Miasteczku, że w zespole obcy grają. Widownia nabita po brzegi czekała niecierpliwie, tymczasem przed kurtyną zjawił się doktor Jedliński.

- Co jego dostojna archiwalność tam robił?

- A byłem, drodzy moi, kierownikiem literackim. Miałem słowo wstępne wygłosić!

Zbożnie zaczął, ale rychło porzucił temat i popłynął w dygresje, jak to u niego. Dygresja z dygresji w meandry się wije, zasadniczy wątek coraz dalej, aż widownia spostrzegła się, że coś już od „Wiernej rzeki” odjechali zbyt. Dawaj pokrzykiwać, nawracać komentatora. Doktor się nie spieszył (co tam wiedzą, pętaki), ciągnął swoje, aż całą bodaj treść sztuki opowiedział, za co go widownia mało nie ukamienowała. Wołali: „Nie mów zakończenia”. Schowali więc organizatorzy Jedlińskiego za kurtynę, bo dalszy ciąg przynieść mógł nieoczekiwane następstwa. Przedstawienie, mimo niespodziewanej uwertury, wcale nie straciło na atrakcyjności.

Kulpiński mówi:

- Teraz robimy „Mazepę”, ale Mazepa zachorował, już trzy tygodnie leży i nic się nie posuwa naprzód. Reżyseruje gość z Kielc, z teatru zawodowego, nie będzie przy nim swarów, bo nie wypada.

Kulpiński źle się czuje w „Mazepie”. Wolałby coś Fredry, Bałuckiego, Bożęcki powiada, że Kulpiński urodzony komik - podrzuca kieszenie marynarki, wzrusza ramionami śmiesznym, podrygującym gestem. Pogodny jest, wzrok popsuł przy łukowym oświetleniu w jędrzejowskiej drukarni, mruga zza okularów.

- Co, kiedy się tej roli nauczę? A co, a co, przecież nie było jeszcze trzeciego dzwonka?

Bywało, że i do końca się nie nauczył; w „Cunsultum facultatia”, Fredrowskiej jednoaktówce, Bożęcki mówił tekst za siebie i za Kulpińskiego; Kulpiński, ani trochę nie stropiony, za każdą kwestią potakiwał: „O to, to właśnie, tak, tak, to właśnie chciałem powiedzieć”... Widownia, przekonana, że ten dialog sam autor nakreślił, pokładała się ze śmiechu, tylko partnerzy pana Kulpińskiego nie wiedzieli, czy śmiać się, czy płakać. Dobrnęli jednak dzielnie do finału.

Kulpiński zszedł z triumfalną miną z podium sceny:

- No i co? Udało się? Udało!

* * *

Nowa płaszczyzna cichej rywalizacji otwarła się z wkroczeniem w jędrzejowski świat teatru Marka Barana, jak się rzekło: Instruktor z uprawnienia. Marek założył Teatr Ziemi Jędrzejowskiej, cios mimowolny w „kolejkę”, bo jego teatr był zespołem „miasta” i skupił secesjonistów, choć z nich nie wszyscy byli najprawdopodobniej zachwyceni batutą młodzika. Lecz żyć bez teatru nie mogli.



Baran zaczął od „**Czarnieckiego i jego żołnierzy**”; podobało się to aktorom i publiczności, bo kostiumy i rzecz historyczne, przy tym patriotyzm w zawieszonym narodowym sosie. Prezentowali to w całym województwie, w Busku, Sandomierzu, Wodzisławiu, Małogoszczy, w sumie coś siedemdziesiąt razy. Chętnych do prób nowych zbierało się sporo, kroili się i dwie obsady. Grali potem i Fredrę, i Bałuckiego, ale szokiem był „Achilles i panny”, lekko zresztą skurtyzowany bez wiedzy autora. Pani Smągłowska, która miała być Safoną, nie kryła oburzenia, zżymał się też pan Odyseusz Sajdak. Najbardziej zaciekle bronił moralności pan Zawłocki powołując się na swoje wieloletnie doświadczenie. W sukurs przychodzili im kibice dogadując, że „gdzie to grać coś takiego?”...

Wreszcie pierwsza dała się przekonać pani Smągłowska i zagrała królową Lesbos. Na premierę zbiegły się babcie z różańcami w rękach, by przeproszać Boga za panoszące się w Miasteczku bezceństwa. Ale się okazało, że nikt całkiem goło nie biegał po scenie ani też sprośności żadnych nie wyczyniał. I tu dopiero Jędrzejów się zgorszył nie na żarty, uderzył w pretensje, pokątne wprawdzie, niemniej kolportowane z irytacją:

- Tak się zapowiadali, że Bóg wie co, a tu nic...

Tym sposobem Teatr Ziemi Jędrzejowskiej stracił bardzo na popularności, ludzie zaczęli patrzeć spode łba. A że nadal nie było stałego patrona, zespół sprzedawał się to PZGS-owi, to Wydziałowi Kultury Powiatowej Rady, to kółkom rolniczym. Tradycje, choć już mimo krótkiego żywota bogate, nie zapewniły zespołowi stabilizacji.

Na domiar Barana i Glenia co innego zaczęło pasjonować.

Dziś rozproszone siły podjęła się jednoczyć pani Wielińska z PSS-u; zaapelowała do serca pani Pomorskiej:

- Niechże pani namówi męża, niech spróbuje raz jeszcze...

Długo się pan Pomorski prosić nie dał. W domowej szufladzie od sześciu lat chował tekst sztuki Wildera, która przy kompletach szła w Kielcach nawet w lipcu. Rozsypane siły skrzyknęły się znowu, tylko próby z braku miejsca odbywają się w dużym pokoju mieszkania pani Trlikowej i kiedy w pierwszym akcie otwierają się drzwi, by zrobić miejsce padającemu trupowi zawiadowcy stacji, pan Zawłocki musi przed tym wychodzić do sieni...

* * *

Znowu spotykają się więc i młodzi, i starzy teatromani: Pan Pomorski i pan Sajdak, Włodek Bożęcki i Andrzej Olszewski. Siedząc w kawiarni na Wodzisławskiej zwrócić uwagę na czarnowłosą kelnerkę, która porusza się, choć Bozia dała jej zgrabną figurkę, jakby kij połknęła... ileż się pan Pomorski nie nabiedzi, żeby jej wyperswadować, nauczyć lekkiego, dziewczęce-go chodu! Ale kelnerka już nie to pokolenie, które łatwość zachowania wzięło z dawnego stylu życia, już nie Stara Polska tamtych pewnych siebie ćwierć i półpanków, których nikt i nic speszyc nie było w stanie.

Dlaczego jednak radzi sobie świetnie Lala Sajdakówna, Andrzej Olszewski, Włodek Bożęcki? Bo „nowi”, to pewne; lecz najprościej w świecie - między „starymi” chowani.

Lub może - po prostu - utalentowani?

* * *

Ten Jędrzejów zginie wraz ze śmiercią Starego Miasteczka. Należał do niego, był krwią z jego krwi i kością z jego kości.

Dlaczego?

To się samo okaże.

Rozdział X

Gleń pisał wiersze jeszcze w okresie szkolnym, Baran też coś próbował. Gleń może nie był nigdy, jak Marek, zaangażowany tak mocno w ruch teatralny, choć również uzyskał kartę instruktora. Stosunki między nim i aktorami ochłodziły się, gdy miał przygotować parę osób do startu w konkursie recytatorskim. Zadał im kilka ćwiczeń dykcyjnych. Obrazili się:

- Co, myśmy w teatrach grali, a tu mamy uczyć się mówić?

Stąd pewnie Glenia do teatromanów nie ciągnęło, zwłaszcza że w swoim gronie stanowili już dosyć zgraną paczkę. Schodzili się w komóreczce Włodka Bożęckiego; dziwaczna dosyć grupa: Jeden sekretarz ZMS-u

- Staszek Gleń, jeden referent - reżyser Baran, jeden pracownik umysłowy z Obsługi Sprzedaży Ratalnej - Bożęcki. Plus Rysiek Fatyga dojeżdżający z Sędziszowa. Ugwarzali wieczornymi godzinami, podejmowali opracowywanie tematów do dyskusji, każdy co jakiś czas miał obowiązek zagaić spór dotyczący jakiegoś problemu.

Początkowo trafili pod patronat Jedlińskiego, lecz zacny doktor bardziej zawsze lubił słuchać siebie niż innych, aby zaś smakować wdzięk tego archiwalnego szlachcica, trzeba było mieć odmienny nieco temperament niż ci młodzi ludzie. Gdyby wpadli na to, by się tak nazwać, byłoby najtrafniej chyba ochrzcić ich „głodnymi”. „Głodni” piastowali w sobie skrywaną drapieżność, rozsądzała ich niewyżyta energia, witalność młodych wilczków. Jedliński był czymś na kształt mądrej ciotki: Konflikt, nigdy zresztą nie wypowiedziany jawnie, był tu nieunikniony.

Doszło więc do rozstania, opiekę nad „głodnymi” przejął potem Babinicz, dla którego ta paczka oznaczała jedną z szans ożywienia kieleckiej kultury. Oni sami hodowali w cichości ducha niejedno górne marzenie, tym bardziej że zjechał do Miasteczka Adam Włodek, poeta serdeczny młodszym i pomocny radą. Przejrzał, zachęcił. Nie unosił się, nie podskakiwał na stołku, lecz sumiennie rzecz ocenił i to chłopaków umocniło w ich pasjach, jakkolwiek nadal żaden z nich nie liczył na karierę w sensie emigracji z dotychczasowego świata. Nie wiedzieli, co będzie, ale wiedzieli, że nie dadzą się zatłamsić, roztopić w partykularzu. Nie będą poetami? Może. Nie będą pisarzami? Może i to. Lecz coś będzie się działo, nie pozwolą, by życie zmusiło ich do kapitulacji.

Na razie szli naprzód. Zaprosili do Jędrzejowa krakowską grupę poetycką „Muszyna” z jej mistrzem na czele, Harasymowiczem.

Zważyło się trzysta osób do jednej sali. Młodzież, nauczyciele, elita miasta. Z Krakowa przyjechał Harasymowicz, Kłysł, Śliwiak, satyryk Maruta. Przyjeżdżali także z dobrym słowem i radą Anna Kamińska, Julian Przyboś i inni.

„Dziś spotkanie z grupą «Muszyna».” „Przybędą tacy a tacy.” „Dziś gościmy ...” Włodek smarował po nocy kolorowe afisze, biegał do Gleniów, budził Staszka.

- Dobrze?

Czytali wszyscy swoje wiersze, najbardziej, co naturalne, podobał się satyryk Maruta. Harasymowicz już wtedy wyczuł niebezpieczeństwo, spoglądał uważnie, przełamywał obawę, nie spostrzegł nawet, że jego gesty, drapanie się, ziewanie, przeciąganie się zostały zauważone, zarejestrowane czujnym okiem przeciwników; był zmęczony samym oczekiwaniem na spodziewany atak. Ten rzeczywiście przyszedł.

Po kilku niemrawych głosach inicjatywę przejęli nauczyciele. Pan Krzeszowski oświadczył, że gdyby mu pan Harasymowicz użyczył nazwiska, to on wyjdzie na pół godziny i przez ten czas spłodzi dziesięć takich wierszy jak te, które słyszeli z ust gościa; innymi słowy, dał do zrozumienia, że cała ta poezja zasadza się na reklamie, snobizmie i nieuctwie adherentów. Grzmiał ze swadą, poprzedzony wycieczką pana Szczęsnego, inspektora szkolnego. Harasymowicz, już skoncentrowany, bronił się dowcipnie.

Młodzi z Jędrzejowa opowiadali się po stronie zaproszonych. Uczniacy milczeli nie chcąc się nikomu narazić, zresztą jak tu zabierać głos, kiedy mówi polonista? Choć niekoniecznie rozumieli, o co kłótnia, instynktownie popierali młodszych przeciw nauczycielom.

Harasymowicz na koniec wyszedł z siebie, widać było, że się zirytował. Pan Krzeszowski, niczym rasowy agitator wiecowy, przeszedł do argumentów ad personam, zajął się sposobem zachowania najślawniejszego z gości: Wytknął mu ekstrawagancję, wszystkie owe ziewnięcia, skrobienia się po głowie i przeciągania za prezydialnym stołem. Spotkanie zakończyło się bez ugody, Harasymowicz potem w kawiarni się sumitował, że bolał go żołądek, że zjadł coś nieświeżego z okazji poprzedniego autorskiego wieczoru. Gospodarze z „Ponidzia” musieli wierzyć, zresztą wierzyć chcieli. Rozdrażniła ich tak samo jak przybyszów ta pewność siebie, okazywana przez Krzeszowskiego, człowieka, który „sam nigdy słowa nie napisał od siebie”. Jednoczyli się w buncie przeciw jego ocenom. Wyczuwali instynktowną niefortunność wobec nowych autorytetów, typową zresztą nieufność nauczyciela nie godzącego się z korektami kanonów, które przyjął za obowiązujące i które za obowiązujące podawał innym do wierzenia. Dla nich obalenie kanonu oznacza radość, satysfakcję; dla niego - przekreślenie prawdziwości tego, co sam jako słuszne i pewne wykladał.

Środowisko musiało się opowiadać za jednymi i drugimi. Nauczyciele w większości, choć nie wszyscy chcieli uznawać prymat kompetencji Krzeszowskiego, poprzec musieli kolegę. Młodzi z całą satysfakcją okrzyknęli go po Miasteczku jako besserwissera i zadufka. Niedziwne więc, że i pani Krzeszowska, sama czytująca uczniom na lekcjach Śliwiaka, uznać musiała, że członkowie „Ponidzia” to w zasadzie grafomani i rozambicjonowane beztalencia.

Grupą wszakże zaopiekował się z Różnicy, z Uniwersytetu Ludowego, Babinicz.

„Nowi” szli ławą. Nie była to oczywiście żadna inwazja, żaden zmasowany i zorganizowany szturm; oni zresztą wcale nie szturmowali, nie domagali się pierwszoplanowych pozycji, próbowali tylko wywalczyć sobie przestrzeń życiową. Kim był bowiem Marcel Kaczmarek, chłop jak dąb, okrągłolicy, tłusćcioch, mąż dziewczyny, którą Sienkiewicz ochrzciłby piękną Horpyną, zahukany fantasta wagi ponad sto kilo?

Był i wtedy niczym innym, jak tylko fantastą. Staszek Gleń, pracujący w Fermentowni, załatwił mu posadę, kiedy Marcel wrócił z wojska; Marcel prowadził już swój zespół muzyczny, wypadało jakoś muzyków „urządzić”.

Marcel chodził do szkoły fotograficznej w Katowicach, lecz kiedy ogłoszono zapisy do Pałacu Młodzieży, poszedł na radiotechnikę. Nie przypadkiem. Marcel jest bowiem muzykiem-konstruktorem. Bardziej może nawet konstruktorem dzisiaj niż muzykiem. W domu zastał kilku jeszcze fanatyków jazzu. Zbyszek Wojewódzki, dziś fotoreporter warszawski, rozkochany w perkusji, trenował na krzeselkach, wyrabiał giętkość palców. Marcel tradycję muzykalności wyniósł jeszcze z domu: Ojciec, lutnik, napisał nawet ludową operę „Karmelarze”. Marcel skrzyknął chętnych, próby odbywali po prywatnych mieszkaniach, kibice nosili instrumenty, bo się muzycy wstydzieli. Ale nie było młodego człowieka, co by nie chciał tańczyć. Na pierwszej zabawie powodzenie osiągnęli wspianiałe, odtąd uważał za stosowne wtrącać się do spraw zespołu.

„Zaczepiono” go przy Fermentowni, ale dyrektor założył votum separatum: Nie da zakładowych instrumentów w obce ręce...

Marcel zaczął pracować - kupili perkusję.

Marcel burzył się: Dali mu, że chłop na schwał, do przepychania wózki z tytoniem, ładowanie i opróżnianie komór fermentacyjnych. Wózek przeciętnie ważył z bagażem pół tony, dochodził czasem i do ośmiuset, tysiąca kilogramów. Marcel strzelał w palce, buntował się:

- Ja jestem artysta, palce mi są potrzebne do grania, a tu po tym dziurawym betonie wózki muszę targać jak słoń. Czy słonie grają na trąbce?

Przekonany był, że rację ma zupełną: Grał rzeczywiście na wszystkich instrumentach, dumny, zadzierał nos do góry, póki nie usłyszał w radiu trąbkarza lepszego od siebie - chodził potem skwaszony dobre kilka dni...

Na pierwszą zabawę - jak nigdy - zjechała cała jędrzejowska socjeta pierwszej rangi. Zjechały przed budynek osobowe samochody, okna całe świeciły blaskiem reflektorów; był to Sylwester.

W czasie akademii ku czci wojska otworzyli piętnastominutowy program sygnałem z Ellingtona, kino mało nie pękło; uciekli przed wielbicielami tylnym wyjściem, pan Pacanowski mało nie dzwonił w przerażeniu do milicji. Najbardziej udane zaś były wieczorki w szkole, gdzie stał niezły Blüthner i bębnił na nim Łatacha, pianista po muzycznej szkole.

Fermentownia natomiast wcale nie okazywała entuzjazmu. Przeciwnie, żona zakładowego notabla zatrzymała Marcela w korytarzu, strojąc krzywe miny.

- Ty byś, Marcel, dał sobie spokój z takim zespołem. To się u nas nie przyjmie.

Marcelowi krew uderzyła do głowy, a że miała skąd płynąć, sczerwieniał po uszy:

- Taak?

- A tak. Nie przyjmie się.

Pomyślał chwilę Marcel, czym by tu zgłuszyć babę, na koniec trafił; uspokoił się, zapytał chytrze:

- W porządku. Słuchaj, a ty lubisz ziemniaki, co?

- Lubię. A bo co?

- No dobra. A potrafiłabyś obyć się bez nich, co?

- Wygłupiasz się. Dlaczego miałabym obchodzić się bez ziemniaków? Co ty tam kombinujesz, Marcel?

- A widzisz, głupia. Ziemniaki to też amerykański wynalazek, a przyjęło się i wszyscy zje ją. I nikomu nie szkodzi - podsumował dumnie, odwrócił się na pięcie i poszedł do swojego wózka.

Opinia Fermentowni była jednak inna. Przesunięto jeszcze Marcela do roboty w kuchni, lecz i tam nie przejawiał specjalnych ambicji. Jeździł na rowerze po zakupy, kolebiąc się to w tę, to w drugą stronę na przymałym wehikule. Ludzie narzekali dalej, teraz już nie majster, lecz załoga. W końcu Marcel zobaczył swoje nazwisko na liście zwolnionych. Gleń go już nie mógł bronić, bo Marcel w pracy nie przodował znowu, a byłoby niezręcznie Gleniowi faworyzować muzyka, gdyż zwalczał leniuchujących sportowców. Na domiar Gleń pogryzł się z kierownikiem Wydziału Kultury: Ten wiedział, że Staszek Marcelowi stara się pomóc, wystosował zatem do Fermentowni oficjalny memoriał, że „państwowych instrumentów nie wolno wypożyczać do celów zarobkowych”. Marcel i jego współkompani używali sprzętu Wytwórni Tytoniu, lecz zyski przekazywano na najrozmaitsze cele, sami chłopcy nie dostawali tyle nawet, ile dla sportowców liczyliby się tytułem ekwiwalentu za utracone zarobki.

Zespół stracił „firmę”. I rozleciał się.

Czy Marcel zrezygnował? Czy ruch nowoczesnej, w rozumieniu jędrzejowskim, muzyki upadł?

Ni jedno, ni drugie. Marcel, już wtedy tyleż muzyk, co majsterkowicz, odsunął się do swoich pasji konstruktorskich. Ruch młodzieżowego grania, które w stylu było czymś pośrednim między tradycyjnym jazzem a późniejszym „mocnym uderzeniem”, też nie zamarł całkowicie. Przyczaił się do momentu, gdy zjawili się nowi prorocy.

Marcel ożenił się, zniknął z horyzontu. Dziewczyna była dorodna, nie mniejsza od niego, przy tym ładna i zgrabna, ot, olbrzymka, której Marcel, wodząc za nią oczami, nie bardzo śmiał się sprzeciwiać. Kiedy zdarzyło się, że z dzieckiem na ręku musiała biec do świetlicy w centrum Miasteczka po klucz od mieszkania, zagarnęła Marcela ostrym chwytem i wybiła mu z głowy daremne straty czasu. Odtąd Marcel pracuje, coraz to bierze się za nowe pomysły: Montuje, składa, bada, konstruuje, chodzi z głową wzniesioną ponad codzienność. Rok czy dwa upłynęły, jak odszedł z Fermentowni, złożył na konkurs NOT-u jakiś projekt, nagrodzono go przybornikiem.

Zaproszono Marcela do redakcji kieleckiego „Słowa Ludu”; tam napomknął, że jego wnioski leżą nie wykorzystane w Fermentowni. Dziennikarze się zwiedzieli, najechali Skroniów. Nie wiedział nikt, o co chodzi. Rzeczywiście, był w swoim czasie konkurs na rozwiązanie pewnych zagadnień technicznych, między innymi na sposób obserwowania fermentacji bez otwierania i wchodzenia do komór, także na wynalezienie materiału do noszek, co sezon wyrzucanych na śmietnik, bo niszczyły się prędko. Marcel projektował wprowadzić fotokomórki, powiedział o tym kierownikowi od racjonalizacji. Ten odrzekł:

- Zgoda, ty mi daj tylko pełny materiał, dokumentację.

Marcel dokumentacji zrobić nie umiał, majstrować majstrował, lecz rysunku technicznego nie znał. Zaproponował więc, że da Poczętemu (tak się nazywał ów kierownik komórki racjonalizacji) projekt, ten zaś go obliczy i rozrysuje. Lecz dzień mijał za dniem i Marcel jakoś projektu nie przekazywał, wreszcie go zwolnili. Poczęty wiedział tyle co nic, gdyby chciał coś zrobić, toby i tak nie mógł.

Z Kielc przyjechała komisja. Poczęty po rewelacjach Marcela w „Słowie Ludu” tłumaczył się gęsto; rychło wyjaśniło się, że konstruktor nigdy wynalazku zgodnie z wymogami nikomu nie przedstawił. Marcel najadł się wstydu, Poczęty wściekał się na Marcela:

- Co to, złodzieja ze mnie chciałeś zrobić, idioto?

Nie dziwota, że Marcel przycichł teraz i odsunął się od świata. Kiedy zaś Marek Baran poinformował niedawno kielecką prasę o Marcelowych nowych conceptach, Marcel biegął po Miasteczku, głośno urągając przed znajomymi:

- Popatrz, ten Marek, a niech go...! Nie mógł to języka trzymać za zębami?

Co było już pewnym nietaktem, dużym nietaktem nawet, bo Marek w tym czasie działał już w nowej roli: Przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej.

Czego trzy lata przedtem nikt by nie przepowiedział.

* * *

„Głodnym” z „Ponidzia” nie było pisane ograniczyć się do literatury. Staszek Gleń został sekretarzem Komitetu Powiatowego ZMS, wszyscy byli aktywistami. Najmłodszy, Andrzejek Lato, na sesji młodzieżowej pod hasłem: „Jak się buduje socjalizm w powiecie jędrzejowskim”, wyskoczył ze zjadliwym referatem.

W jakiś czas potem na konkurs reportażu poświęconego Kielecczyźnie posłał tekst Staszek Gleń. Reportaż wywołał sporo hałasu. Ktoś podniósł się z protestem na posiedzeniu Komitetu Powiatowego:

- Umieją wybrzydzać, niech spróbują rządzić!

ZMS wystąpił z propozycją:

- Wybierzcie Barana przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej. Było w ciągu osiemnastu lat osiemnastu przewodniczących, niech spróbuje przedstawiciel młodzieży.

Baran kończył właśnie zaocznie Wyższą Szkołę Ekonomiczną w Krakowie; nieco zbyt chłopięco może wyglądał mimo kilkorga dzieciarni w domu i dobiegającej trzydziestki; w swoim paletku i kapeluszu, naciśniętym na czoło, patrzył bardziej na pogodnego wagabundę i zabijakę z rogu ulicy niż na dostojnego urzędnika. Miejska Rada krzywiła się:

- Ee, młodziakom władzę oddajecie w ręce. Kto widział?!

Komitet Powiatowy Partii i Powiatowa Rada miały w tym swoje wyrachowanie: ZMS-owi będzie wypadało poprzeć czynnie swojego przewodniczącego; Miasteczko, dotąd senne i wyczekujące obcej łaski, która mannę posieje z nieba, miałoby zostać wytrącone z bezruchu przez pełnych energii „młodzieżowców”.

Starsi rokowali: „Nogi sobie połamię, tyłu się na tym przejechało, a ten bez doświadczenia, jeszcze prędzej da się zrobić w konia”.

Gazety całej Polski przynosiły informacje w rubryce ciekawostek: „W Jędrzejowie przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej został wybrany poeta z miejscowej grupy literackiej «Ponidzie»”.

Czy Marek rzucił pisanie? Nie. Podobnie jak Staszek Gleń, który w jakiś czas później przeszedł do wojewódzkiej instancji ZMS-u jako sekretarz propagandy. Mała grupka przyjaciół sprzed kilku lat nie lada zyskała znaczenie, zwłaszcza że sekretarzem po Gleniu desygnowano w jędrzejowskim ZMS-ie Włodka Bożęckiego. A szykują się jeszcze dalsze odwody...

Gleń z pisaniem jakby nabrał trochę wody w usta czy też pauzował. Dawniej, co spędził, pokazywał Włodkowi. Dziś nie pokazuje, Bożęcki wnioskuje zatem, że nie ma czasu pisać. Baran uśmiecha się:

- Ja nie muszę być poetą. Jeśli przychodzi temat, coś czego żal zmarnować, to w miarę możliwości człowiek chciałby zanotować.



Włodzimierz Bożęcki

Tyle zniszczył swoich utworów czytając je powtórnie w trzy, cztery dni po napisaniu. Kiedyś dusiło go - uchwycić wrażenie słowami, zdaniem, przenośnią, skrótem... Miał swój świat chłopięcy, przyglądał się tamtemu światu spoza granic swojego, badał podejrzliwie - rzeczy nie zawsze odpowiadały nazwom, nazwy rzadko wyrażały cały urok zjawiska. Jeszcze nie umiał sformułować swych odkryć, ale już był pewny, że widzi więcej, niż go uczą inni. Rozbudowywał swoje królestwo chłopięce, nocami szukał wybranej gwiazdy, pełen cichej radości, że tajemnice tego związku zna tylko on; wieczorami sprawdzał, czy nie zniknęła. Dorastając pilnował, by swych zdobyczy nie zgubić; wszedłszy w grono kompanów z izdebki Włodka, odnalazł współników.

Jak od poszukiwania gwiazd przeszedł do ojcowania czworgu małym brzdącom i z kolei do ojcowania miastu, nie zrozumie, kto nie zna tej jędrzejowskiej, starej Polski. Tu się to wcale nie kłóci. Po prostu.

Młodzież poparła rzeczywiście swoich matadorów. W czynie społecznym zadeklarowała i zrobiła w ciągu jednego roku więcej niż dotąd przez całe lata. Z pomocą przyszli młodzi inżynierowie. Staszek Piątek, syn prezesa sądu, wtedy projektant z Powiatowego Zarządu Architektoniczno-Budowlanego, przygotował za darmo dokumentację pawilonu rozrywkowego dla parku; parku, który młodzież własnym wysiłkiem oczyściła i zasadziła. Obok Piątka inni: Dudkiewicz, Zakrzewski, Łata.

Baran objął funkcję i, o dziwo, trzyma się. Miesiąc, dwa, rok wreszcie. Starzy pewni byli, że się przewróci o sprawy mieszkaniowe, które spowodowały klęskę niejednego już przewodniczącego Miejskiej Rady; powiadano w Miasteczku nawet, że jeśli kogo chcą tu wykończyć, kreują go ojcem miasta - dotychczas nie było skuteczniejszej nad tę metody.

Baran jednak sam nic nie załatwiał; sprawy mieszkaniowe prowadził specjalny referent pod społeczną kontrolą; młody przewodniczący co czwartek otwierał podwoje dla petentów „mieszkaniowych”, wysłuchiwał żalów, informował o perspektywach. A załatwić? A, to już mamy tu w Radzie specjalny referat, przekazemy sprawę zgodnie z kompetencjami. Że się kupić „nowego” nie da, to już wiadano; sądzono jednak, że się zaangażuje osobiście w jakąś sprawę i to będzie można podnieść przeciw niemu na forum ogólnym. Lecz nie angażował się. Tłumaczył wymownie, przedstawiał sytuację, radził się petenta, co robić, lecz własnej interwencji nie obiecywał. Petent czuł się panem w Radzie: Jeżeli urzędnik w obecności młodego przewodniczącego pozwolił sobie na objaw lekceważenia interesanta, potrafił Marek nawet kolegę spiorunować przy gościu. Gdy orientował się przewodniczący, że sprawa nadaje się do pomyślnego załatwienia, wypuszczał petenta od siebie z nadzieją; gdy widział, że nie ma szans, elokwencja Marka dochodziła do szczytu wirtuozerii, a mało kto nauczył się tak szybko żonglować tajemniczym terminem „trudności obiektywne”. W każdym razie dawał sobie radę, jakkolwiek, przynajmniej, szczęście sprzyjało mu wybitne: Akurat za kadencji pana poety oddano w Miasteczku do użytku pierwsze nowe domy mieszkalne... Można było wyselekcjonować sto pięćdziesiąt najpilniejszych podań, którym zadośćuczynienie podrażnić nie mogło niczych apetytów.

A plany idą dalej. Niedawni „głodni” wezmą udział w rozbiciu Starego Świata.

* * *

Marcel spotkał nas, gestykulując, przed domem. Wewnątrz mieszkania nie czekał już przemyślnie rozebrany aparat radiowy, którego poszczególne elementy poumieszczał Marcel to w szufladzie biurka, to w tapczanie, głośnik montując w ścianie szafy: Marcel rozparcelował radio nie tylko dla „pajęczarskiej” oszczędności wobec kontroli - w rzeczywistości nie umiał ścierpieć obok siebie czegoś, czego sam nie znajdował. Teraz, wspomagany przez Janusza Chabiora, innego „ponidziaka”, który niedawno wrócił z wojska, konstruuje zestaw elektrycznych instrumentów muzycznych dla zespołów młodzieżowych. W tapczanie kryje się całe wielojęzyczne archiwum konstruktorskie, i Marcel - choć obaj Glenie już nie bardzo chcą w to wierzyć - zbudował elektryczny kontrabas, wydając pięćset sześćdziesiąt złotych bez wliczenia kosztów

naciągu. W sklepie kontrabas taki ocenia się na osiem tysięcy złotych, Marcel mało nie tańczy wokół nas, cmoka, ręce unosi do góry:

- Patrzcie, tu jest kalkulacja, tyle płaciłem. Żadnej blagi, każdy młody człowiek będzie mógł to sobie sam zrobić. Słowo honoru.

Gitara w sklepie za trzy tysiące złotych, u niego zwykła pięćsetzłotowa, zamieniona w elektryczną za cenę ośmiuset dziesięciu złotych.

- Proszę, oto kalkulacja.

Nie wyjdiesz, póki nie wysłuchasz do końca. Będzie cały zestaw. Marcel sam nie ma czasu grać, ale jest tu Jurek Jedliński, znają go wszyscy i pomstują na fryzurę chłopaka, podobną do bitelsowej. On prowadzi zespół ZMS-u: Trzy gitary i perkusja, twistowy skład. Jurek pracuje w ognisku muzycznym, jest nauczycielem, setkę dzieci ma pod opieką, długi, przygarbiony, kudłaty, wiecznie roześmiany. Jędrzejów walczy z czupryną „pana od muzyki”, „pan od muzyki” kończy w Łodzi trzeci rok szkoły muzycznej. Nie mówi o sobie, że artysta. Docinki zbywa śmiechem, jest ponad nie.

Sytuacja zmieniła się od czasu, gdy Marcel przetaczał wózki do komór fermentacyjnych. Nawet i nauczyciele z chóru, prowadzonego przez pana Marczewskiego, tolerują twisty naśladowane po Shadowsach i przeróbki big-beatowe „Gdyby rannym słońkiem” czy „Uciekła mi przepióreczka”, choć kilka lat temu pierwsi by pewnie ukamienowali świętokradców i dziś chętniej widzieliby lepsze postępy w nauce gwizdów. Prawda, że chór ma ambicje wyższego rzędu niż rywalizacja z hałaśliwymi gitarzystami Jedlińskiego, lecz i to prawda, że pokolenie „głodnych” dokonało niedostrzegalnie małej rewolucji: W świat Jędrzejowa infiltrują obce wzory, i to wzory nie tym obce, że zagraniczne, lecz tym, że pozamiasteczkowe, nietutejsze. Z jednej strony w internacie Liceum Pedagogicznego dziewczęta wyją w półklasztornym regulaminie, z drugiej - magnetofony wyją w mieszkaniach prywatnych. Syn pana Pacanowskiego śpiewał w zespole Jedlińskiego, okrągły dość młodzian, przed maturą. Papa, niby obojętny, przeżywa jednak każdy kolejny występ syna. Łamie palce stojąc w kącie widowni, żeby „mu dobrze poszło”... Kiedy Zbyszek dostaje brawa, papie łyzy kręcą się w oczach... „Cóż, my już oboje z żoną tacy uczuciowi”. Zbyszek początkowo myślał śpiewać po polsku, teraz jednak sam składa teksty do melodii Cliffa Richarda, swojego ulubieńca. No bo patroni zespołu, Komitet Powiatowy ZMS, sami niegorzej znają się na big-beacie i tępią bezmyślne małpowanie...

* * *

Cała ta ofensywa, czy jak ją zwać, rozwija się dosyć równomiernie na wszystkich frontach i nieprzypadkowo spleliśmy historie młodych działaczy z historią big-beatową, zwłaszcza że i personalne związki między oboma wątkami są najzupełniej wyraźne. Przy tym i jeden, i drugi front wymierzony jest, chcieć czy nie chcieć, przeciw Staremu Światu Jędrzejowa. Można by spierać się, czy udział Włodka Bożęckiego i Andrzeja Olszewskiego, recytatora o przepięknej barwie głosu, w próbach „Pociągu-Widma” nie oznacza, że „głodni” przystosują się do stylu dawnych pokoleń; będzie chyba jednak właściwiej doszukiwać się raczej po stronie starszego pokolenia chęci adaptowania się do współczesności - sygnałem tego choćby wybór sztuki będącej w próbach.

Czy żałować odchodzącego świata?

Można lubić go albo lubić bardziej od nowego, wcale też zresztą niezgodnego ze schematami oficjalnych ideałów.

Ale czy w ogóle ma sens żal za czymś, co musi odejść?

Marcel obwieszcza cmokając ustami:

- Jak już mam coś za sobą, to przestaję o tym myśleć. Kiedy będę stary, będę wspominał.

Gleń powiada:

- Tyle się będzie działo...

Włodek:

- Gwiżdżę na moje zastawki.

* * *

Architekt powiatowy Jędrzejowa, Kubiakowski, został właśnie architektem wojewódzkim. Jego następcą w Jędrzejowie jest Piątek junior.

Młodziutki lekarz z Krakowa i drobniutka dziewczyna, mikrobiolog, wsuwają się nieśmiało do gabinetu Kosowskiego:

- Czy uważa pan, że warto się tu osiedlić?

Kosowski kiwa głową: Warto.

Rozdział XI

Kto ma najwyższy autorytet w Miasteczku? Czy hierarchia autorytetów zgodna jest z hierarchią wyznaczoną przez organa administracji? Czy jest taka sama jak przed pięćdziesięcioma laty? Ówczesnie na pierwszym miejscu siedł ten, który udzielał ostatniego namaszczenia i wyprawiał na drogę wieczną, tuż za nimi dwaj, którzy usiłowali zatrzymać swego klienta na drodze doczesnej, czyli lekarz i aptekarz. Najbardziej bowiem cenione przez ludzkość były zawsze sprawy zdrowia i życia. Tuż za tą trójcą siedł ten, co miał pieniądze: Sprytny budowniczy, inżynier, kupiec mający wielki rozmach. Pomiedzy władcami zdrowia i życia a posiadaczami pieniędzy znajdowali się starosta i burmistrz. W wypadku gdy starosta wiódł się z ludzi tzw. twardych i krzykliwych, działających na zasadzie pogroźek, tym większym cieszył się autorytetem na podszewce strachu.

Kto teraz? Miasteczko patrzy dziś inaczej, usiłuje oddzielić obiektywną wartość danego człowieka od stanowiska, jakie reprezentuje. Przypkowski ma autorytet w świecie - tutaj jest dla nich „swojak” i jeśli cieszy się renomą, to tylko dlatego, że w kielichu kilku tęgich odmikufli przetrzymał. Co bardziej nobliwi mieszczanie kręcą nosem na to jego „gówno”: „Kto widział, żeby doktor Feliks kiedy powiedział «gówno»?”

Kto widział, żeby doktor Feliks kiedyś pił w knajpie?”. „Tadeusz widać odrabia zaległości, jakie ojciec miał w tej dziedzinie” - konkluduje niezrównany filozof i prezes Powiatowej Komisji Planowania, niegdysiejszy członek Towarzystwa Miłośników Astronomii, Nieszyn. Że to uczony światowej miary, wydający po świecie różnorakie prace naukowe, i to więcej w językach obcych niż w polskim?! Miasteczko nie wie, ba, wiedzieć może i nie miałoby ochoty nawet: Przypkowski tego formatu przytłoczyłby ich, pograżył w kompleksie przeciętności, podczas gdy Miasteczko stoi poczuciem swej ważności - szlachcic na zagrodzie... czyli: „Eques polonus sum, ale właśnie dlatego książętom równy”.

Pierwsza pozycja należy dziś do Kosowskiego, choć - jak się rzekło - nie dla samego „starostwa”; miejsce to zajmuje Kosowski-człowiek, któremu z kolei Miasteczko pozwala być aktywnym, pozwala działać; mogłoby przecież, a jest w sile sparaliżować każdy ruch, każde zamierzenie. Szczęściem dla Kosowskiego - z jego temperamentem i witalnością - elita władzy Jędrzejowa uzupełnia „starostę”; Miasteczko czuje obecność Kosowskiego, mało wie o konwencie partyjnym, który każde pociągnięcie analizuje, na nice obraca; konwent nazywa się „zespołem” i tu forma kojarzenia pracy Komitetu Powiatowego Partii z działaczami administracji oraz gospodarki zdaje egzamin, bo „elita” dopełnia się wzajem także w sensie charakterologicznym. Spokojny, małowówny, jakby ocieżyła z lekka, taki jest pierwszy sekretarz Szewczyk. Temu się nie spieszy, umyślnie nawet Szewczyk trzyma zawsze w pogotowiu zimne słowo, którym chłodzi głowy zapaleńców. Jest ostrożny, zdania formułuje powoli, bez facecji. On się nie zagalopuje, nie straci na chwilę z oczu głównego tematu. Obaj - i Szewczyk, i Kosowski - są dla Jędrzejowa „nowi”; wrosli w Miasteczko, lecz na dziwnej zasadzie: Nie przejmując próżności Miasteczkowego świata, przeciwnie, w oporze wobec jej nacisku. Może dlatego udaje się im rządzić tyle lat, czasu tyle wytrzymać i zgadzać się z sobą.

Ileż to energii ludzkiej w podobnych środowiskach gubi się dla rozgrywek personalnych, nie mających nawet pozoru publicznego dobra... Tymczasem w Jędrzejowie ten podstawowy tandem władzy powiatowej nie próbuje się majoryzować wzajemnie. Może gdyby podobni byli, gdyby temperamentami jednacy; lecz nie są, tak więc tandem jedzie sprawnie naprzód.

Tymczasem w Miasteczku trudno byłoby się czegoś bliżej dowiedzieć. Jest tu dla nich „człowiekiem znikąd”. Tacy właśnie ludzie - obdarzeni szlachetnym charakterem i sympatią ludzką - zostają tradycyjnie szeryfami w westernach. A dodajmy jeszcze pikantny szczegół, że ten „człowiek znikąd” trafia z dwudziestu kroków monetę dziesięciozłotową z pistoletu, specjalnie nie celując, że i postawę ma prawdziwego szeryfa: Wysoki, o kanciastej dość twarzy mocnego człowieka i bardzo uważnym wejrzeniu. Ale tu nie westernowa osada, lecz biedne, zwykłe polskie miasteczko...

Kim jest?

Nieszyn powiada, że jeśli wyobrazimy sobie śpiące Miasteczko, nad którego dachami unoszą się dwa czuwające anioły o śnieżnobiałych skrzydłach i w szatach powiewnych, niewątpliwie będą nimi Kosowski i Przypkowski. Jeżdżą czy też fruują po Warszawach, Krakowach i Kielcach, szturmują twierdze rządowe, załatwiają kredyty, węszą i szukają, co tam

władze mają na zbyciu na przeróżnych szczeblach, kaptują sojuszników dla sprawy Jędrzejowa. Tu między aniołami jednak do konfliktów dochodzić może. I dochodzi czasem.

Kiedy już formalności z przekazaniem zbiorów na własność Muzeum Świętokrzyskiego zostały definitywnie załatwione, zaś kredyty na przebudowę muzeum Przypkowskich zatwierdzone, Kosowski obiecał wykwaterować lokatorów, którzy obsiedli zewsząd posesję muzealną; bez tego szeroko zakrojonych planów nie dałoby się zrealizować. Niektóre komórki i oficynki trzeba było zburzyć, inne przebudować. Tak więc czekał translokacji przybytek Temidy, mieszczący się w podwórku Przypkowskich zespół adwokacki, ściągający nieco inną klientelę niż tę, która przychodzi słoneczne instrumenta oglądać; także sklepik „Ruchu”, kilka rodzin z oficyny przenieść było trzeba do mieszkań w nowych blokach. I jakoś od tego czasu stosunki anielskie Przypkowskiego z władzą zaczęły się psuć.

Kiedyś kartki od Przypkowskiego do Kosowskiego wędrowały ze wszystkich stolic świata, z Nowego Jorku i Londynu. Kosowski bardzo sobie je chwalił, bo dawały okazję do niewinnych psikusów, które uwielbia. Tak oto siedział znudzony w Komisji Poborowej, gdy przyniesiono mu pocztę. Kartka pocztowa z wizerunkiem Elżbiety II, fotografował Armstrong Jones, kilka słów po angielsku i zygzak, czyli podpis Przypkowskiego. Jeden z zebranych zagadnął niby od niechcenia:

- A to od kogo?

Kosowskiemu ani muskuł w twarzy nie drgnął.

- Pozdrowienia od królowej Elżbiety.

Tamten zakręcił się niespokojnie na krześle i dalejże indagować:

- Z jakiej to okazji?

- Słaba się robi jej pozycja, to widocznie baba poparcia szuka.

- Aha - powiada tamten. - Ale tak między nami, uważajcie, żebyście przez to nie podpadli.

- Nie mam się co martwić. Ja się o te pozdrowienia nie prosiłem. A poza tym wszyscy przewodniczący dostali.

Komisja Poborowa urzędowała jeszcze chwilę, przyjmując krzepiącą duchowo defiladę golasów. A sąsiad Kosowskiego zamruczał:

- Ale czy jej się to opłaci? Do tylu powiatów pozdrowienia! To straszne dewizy musi kosztować - zawyrokował. Potem, omawiając sprawy poborowe, zwracał się do Kosowskiego z absolutnym już respektem...

Z Madrytu kartki Przypkowski nie przysłał. Albo mu żal było ichniej waluty, albo... dalej na Kosowskiego był wściekły. Starosta bowiem nie usunął mu lokatorów z posesji, przedsiębiorstwo budowlane nie mogło „wejść na teren”, jakieś tam kredyty przepadły. Przypkowski z właściwą sobie swadą wieszał wszystkie psy z całej okolicy na staroście, starosta nie odwzajemniał się, psy przewieszał na właściwe miejsce, czyli na przedsiębiorstwa budowlane, które w terminie nie oddawały izb mieszkalnych w nowych blokach - lokatorów od Przypkowskiego nie było gdzie przeprowadzić.

- Kosowski nie ma słowa! Kosowski mnie do rozpaczki doprowadzi, a muzeum do ruiny! Gówna mnie tu zaleją! - wrzeszczał każdemu w ucho Przypkowski.

Kosowski chodził i prosił:

- Przetłumaczcie Przypkowskiemu, że to nie moja wina.

Kiedy się spotykali jednak, nikt by nie zaobserwował w ich zachowaniu cienia jakiegokolwiek zmiany. Obaj panowie prawili sobie uprzejme dusery, komplementy, wymieniali poglądy, wreszcie ukłony; Wersal”, jednym słowem. Rozeszli się - już Przypkowski parsknął: „W grrrównach mnie utopi!”.

Bloki oddano w końcu do użytku, lokatorów przekwaterowano, Przypkowski podziękował Kosowskiemu za dotrzymanie słowa, aczkolwiek wypomniął, że nie całkiem w terminie, i przyznał, iż miał zamiar go za to w Warszawie rozrobić, ale... „kogo by tu dali na pańskie miejsce?”.

Był znikąd. Powiadali: „Przyszedł nowy naczelnik na kolejki wąskotorowe. Nazywa się Kosowski”. I tyle. Dostał mieszkanie gdzieś na przedmieściu, w facjatce na stryszku; wchodziło się tam po drabinie, która chwiała się, na domiar już traciła szczeble.

Jego przeszłości nie znali, Kosowski nie prowadził rozległego życia towarzyskiego - tyle, co z biura dyrekcji przez kawałek miasta do domu, kilka przygodnych rozmów po drodze w ciągu miesiąca.

Wywodzi się z pokolenia Kolumbów - rocznik dwudziesty. Co do roku. Wychowywał się w miasteczku B. koło Sandomierza, u krewnych; wcześniej odumarli go rodzice. Krewni rodziców sami mieli pięcioro dzieci, a wuj bodajże pięć specjalności zawodowych: Naczelnik poczty, organista, rolnik i coś tam jeszcze w straży pożarnej. Jaś Kosowski miał osiem lat, gdy zaczął biegać z listami po miasteczku w charakterze... młodszego listonosza. Mając lat trzynaście skończył szkołę powszechną, także i karierę listonosza; poszedł jako elew do orkiestry wojskowej w Sandomierzu, a że płuca miał dobre, zaczęli go uczyć gry na kornecie, lecz prędko nabawił się nieprzyjemności: Zupaków nie lubił, wylał gorącą kawę z menażki na głowę jakiegoś oficerka. W 1939 roku brał udział w obronie Modlina, potem uciekł z niewoli do miasteczka B., gdzie został pomocnikiem maszynisty na kolei wąskotorowej. Potem maszynistą. Wreszcie po wielu perypetiach kierownikiem parowozowni.

Oczywiście celnie strzelać nie nauczył się Kosowski jako listonosz w B. ani jako elew w sandomierskiej orkiestrze pułkowej, gdzie tyle, że wykształcił się na niezłego muzyka, grywając na wielkich galach solo na kornecie. Bardzo niechętnie przyznaje, że był w partyzantce; nie lubi się chwalić. Wtajemniczeni pomrukują, że przyłożył ręki do niejednego wysadzonego w Kielecczyźnie pociągu. Nie za te zasługi jednak wybrali go przewodniczącym Prezydium PRN; wtajemniczonych jest nie więcej niż kilku. Dlaczego więc wybrali?

- Chyba się im spodobałem - odpowiada na to pytanie filuternie Kosowski.

* * *

Był więc początkowo zastępcą naczelnika wąskotorowych.

Najpierw poszła fama o słynnej historii z burakami. Wąskotorowe zawarły umowę na dostarczenie dwóch tysięcy czterystu ton buraków cukrowych do cukrowni „Lubna” w Kazimierzy Wielkiej, po siedemset ton miesięcznie. Ale dyrektor cukrowni powiedział naczelnikowi W. z Jędrzejowa: „Nie spieszcie się, mnie na razie tyle nie potrzeba”. Więc ów naczelnik nie spieszył się do czasu, aż sypnęły się gromy z Ministerstwa Komunikacji:

- Dlaczego nie wykonujecie umowy z cukrownią „Lubna”? Cukrownia interweniuje, trzeba natychmiast wozić buraki.

Dyrektor cukrowni żądał, by do końca miesiąca zwieźć mu brakujące tony, inaczej obciąży kosztami kolej za niedotrzymanie umowy. Wtedy właśnie wmieszał się do sprawy Kosowski.

- Dajemy polecenie wstrzymać wszystkie ładunki, niech wszystkie wagony wożą buraki do Kazimierzy.

Wziął sam wagon, sypialkę, i biwakował na bocznicy w Kazimierzy. Co jakiś czas przyjeżdżały pociągi i zwoziły buraki, na rampie potężniała ogromna hałda, najpierw jak domek dróżnika, potem jak kamienica, wreszcie jak piramida. Z całego terenu do dyrekcji w Jędrzejowie sypały się przekleństwa:

- A czemu nie wozicie nam śledzi, a co z naszymi nawozami sztucznymi, a ładunek węgla?

Kosowski polecił: Nie przejmować się. Na razie nie przejmować się i jakoś wyprowadzić sprawę z burakami na czysto.

- Dalej wozić buraki!

Na stacji w Kazimierzy nie było już na buraki miejsca, cukrownia nadażyć nie mogła z rozładowywaniem wagonów. Istne piekło. Przyszła wreszcie na stację cło Kosowskiego delegacja: Dyrekcja cukrowni in corpore. Pertraktować.

- Co pan robi? - pytał zbity z pantałyku dyrektor Piotrowski.

- Wykonuję umowę - odpowiedział Kosowski.

Dyrekcja zmiękła, dalej prosić o pardon.

- Pan myśli, że zagrał pan z naczelnikiem? Pan zagrał z koleją, a to instytucja troszkę większa niż pańska cukrownia!

Ktoś z dostojnego otoczenia zrobił delikatną uwagę panu dyrektorowi „Łubnej”: „A mówiłem ci, sk...synu, z kim zaczynasz?!”.

Kosowski mógł wytrzymać jeszcze najwyżej dzień - inne ładunki czekały - ale teraz był górą:

- Wycofam wagony, uratuję was przed osiowym i w ogóle was uratuję, ale odwołajcie telegraficznie wasz meldunek do ministerstwa. Przy mnie.

I tak z miejsca pchnięto depezę utrzymaną w podniosłym tonie, donoszącą, iż cukrownia „Lubna” jest ogromnie zadowolona ze współpracy z koleją wąskotorową w Jędrzejowie, a poprzedni meldunek wynikł z nieporozumienia.

Kosowski wygrał. Miasteczko ubawiło się, pospieszyło z uznaniem: „Ma chłop głowę na karku”. Dotąd był zastępcą naczelnika, wkrótce został pierwszym po bogu na wąskich torach. Miał wówczas trzydzieści pięć lat, dyplom maszynisty i maturę w kieszeni.

W maju 1957 odszedł przewodniczący Prezydium PRN. Kosowski był wówczas na urlopie w B. Naraz telefon. Szewczyk, sekretarz powiatowy Partii.

- Przyjedź koniecznie. Zaraz.

Nie byłby Kosowski Kosowskim, gdyby nie zapytał po co. Szewczyk, nie w ciemną bitą, chciał się od odpowiedzi jakoś wywinąć, ale przyparty do muru musiał zdradzić:

- Jasiu, wysunęliśmy twoją kandydaturę na przewodniczącego Prezydium w Powiatowej Radzie. No, na starostę.

Kosowski:

- Nie ma mowy, nie będę żadnym przewodniczącym - wykręcił się, że nie ma czym jechać, odłożył słuchawkę i poszedł do domu.

Nazajutrz przysłano po niego wóz.

Nie wiadomo - prawda, nieprawda - do KW po jakimś czasie nadeszła wiadomość, że urwał się w drodze kardan. Kosowski zniknął znowu. Drugi samochód przybył wkrótce i wreszcie Kosowski - rad nierad - zjawił się w Kielcach...

W Kielcach odbyła się krótka konferencja. Wybory w Jędrzejowie już były zapowiedziane, sesja Rady Powiatowej, przyjechał Kosowski, przy nim wiceprzewodniczący województwa, Bąk-Dzierżyński. Było to 20 kwietnia. Wybrali. Po czym Kosowski pojechał dokończyć urlopu. Urzędowanie zaczął 1 maja 1957 roku.

Tak przyszło mu rządzić powiatem; ludzi coś ze sto tysięcy, ziemia nie najgorsza, powiat rolniczy. Miast w powiecie - jedno, czyli Jędrzejów. W Jędrzejowie kości Kadłubka (ossa Catlubonis) oraz zegary Przytkowskiego. To prawie wszystko. I trzeba się brać do rządu - nie fraszka, bo człowiek nowy i nie przygotowany może strzelać głupstwo za głupstwem. Zadumał się: „Trzy miesiące nie moje, zanim się wciągnę”. Okazało się potem, że to były dwa lata.

Pierwsze głupstwo wspomina dziś niejako z rozrzewnieniem. Przyjechał chłop, knajpiarz z Mierzwina, z początkiem maja, przed świętym Stanisławem, i zawodzi, że wódki mu nie chcą sprzedać.

- A koncesję macie?

- A mam - pokazuje chłopina.

Świeżo upieczony starosta dzwoni do kierownika Wydziału Handlu:

- Jak daliście koncesję, to i wódki sprzedajcie.

- Ale on chce kupić w MHD.

- To sprzedajcie mu w MHD - palnął przewodniczący.

Kierownik sklepu na specjalne polecenie sprzedał. Nie wiedział jeszcze Kosowski, że knajpiarz winien się zaopatrywać w hurtowni, skąd idą wykazy do opodatkowania. Aliści po kilku miesiącach odezwał się prokurator:

- Chciałem od pana oświadczenie. Podejrzany się broni, że sprzedał wódkę do prywatnej knajpy na pana polecenie...

Tym razem chodziło już o coś innego: Kierownik sklepu umówił się z prywaciarzem dzień przed zapowiedzianą podwyżką cen na wódkę. Przez całą noc harowali i zwieźli wódkę do knajpy, lecz pecha mieli, bo progresja cen nie poszła zbyt wysoko i zarobili ledwie coś po sześćset złotych na łebka. Kierownik bronił się, że Kosowski. Bo kiedyś w maju kazał sprzedać do Mierzwina i od tego czasu „to obowiązywało”. Oto jak święte bywa słowo powiatowej władzy...

Kiedy mu już dali powiat, zaczął włodarzyć. Ale było trzeba mieć jakąś koncepcję podniesienia ekonomicznego Ziemi Jędrzejowskiej. Jaką koncepcję? Jakaż to koncepcja może narodzić się w odrapanym i obskurnym miasteczku, w mieszkaniu świeżo upieczonego pana starosty, dokąd wchodzi się po drabince?

Kosowski znał trochę wieś. Wieś może nie najbiedniejszą, ale zaniedbaną, odciętą od wielkiego świata, którym było dla niej Miasteczko, topielami dróg, ściślej: Grzęzawiskami bezdroży. Cywilizacja zaczyna się od dróg. Kosowski zaczął więc - taki zapanował zresztą wówczas kierunek w całej Kielecczyźnie - budować drogi. Wziął się za budzenie aktywności społecznej wsi, brnął furmankami w jesienne wieczory na gromadzkie zebrania, konferował z chłopami.

- My damy materiał, wy dajcie pracę.

Albo:

- My będziemy budować drogę od miasta do was, a wy od wsi ku miastu. Spotkamy się?

Bardzo drobiazgowo obliczano przy tym, ile kto da, co da i kiedy; ale najczęściej przychodziło do zgody.

Udało się szczególnie dobrze z Węgrzynowem, wsią daleką od świata, która widziała przedstawiciela władzy powiatowej ostatnio w 1925 roku. Koło „Wici” w porozumieniu z komunistami zorganizowało wtedy bunt przeciwko uciskowi chłopów; doszło do aresztowań. A że nieszczęścia idą w parze, wieś spłonęła w pożodze. Ówczesny starosta jędrzejowski uznał, że to doskonały moment dla wystąpienia politycznego władzy. Wsiadł w bryczkę, zabrał oddział policji i pojechał do Węgrzynowa wygłosić przemówienie. Jechał pół dnia, dotarł ubłocony po dziurki w nosie, tchu nie mógł złapać. Na zaaranżowanym przez policję wiecu powiedział krótko a zwięźle:

- Ten pożar to kara boża na was, komuniści, za to, że knujecie przeciwko Bogu i Ojczyźnie - i wymownym gestem szeroko rozpostartej ręki potoczył po pogorzeliśku. Nie zaproponował nawet słowem jakiegokolwiek pomocy i wyjechał. O Węgrzynowie powiadano od tego czasu: Bandycka wieś. W Węgrzynowie powiadano: Władza jest od aresztowania i opowiadania głupstw.

Kiedy przyjechał Kosowski, patrzyli z niedowierzaniem, co też z tego wyniknie, kogo wsadzą, czy będzie jakiś pożar. A tu Kosowski... z propozycją budowy drogi! W stronę świata. Bo Węgrzynów hen, zagrzebany z boku od szos, za Sędziszowem, w kącie powiatu. Przekonał ich, że droga warta zachodu. Plan pokazał: Jeśli zrobią co rok dwa kilometry, to się za pięć lat bez specjalnego wysiłku do świata dopchają. On pomoże, to znaczy powiat.

I chłopci się wzięli do roboty.

Potrzebny był im piasek - poszli z delegacją do chłopów, który piachu miał całą górkę.

- Sprzedajcie górkę - powiadają. - Damy trzydzieści tysięcy złotych. Na całą drogę wystarczy.

Chłop niebiedny, ale i niegłupi, powiada:

- Zepsujecie pole i piach, a drogi i tak nie będzie.

Nie wierzył. Zobaczył jednak potem, że droga zaczyna przybierać kształt realny, że kawał traktu ciągnie już od wsi w stronę miasta - przyszedł do Komitetu Budowy Drogi:

- Widzę, że będzie droga. To ja wam dam tę górkę piasku.

- Ile chcecie?

- Ćwiartkę, nic więcej.

No to mu postawili cały litr i piach mieli.

Pierwszy autobus po trzech latach przyjechał do Węgrzynowa, zamiast po pięciu. Kiedy już się pojawił, przybyły istne pielgrzymki z całej okolicy. Wielu było takich, którzy widzieli po raz pierwszy prawdziwy autobus. W roku 1962.

Dziś w powiecie jędrzejowskim anno Domini 1963 wskaźnik gęstości dróg na 100km² wynosi... 40 kilometrów z nawierzchnią ulepszoną (we Francji wskaźnik ten wynosi 50km bieżących na 100km²). Tymi drogami wieś co tygodnia wali w czwartek na jarmarki; mniej czasem dla wymiany towarów - tę załatwia gminna spółdzielnia na wsi - więcej dla kontaktu ze światem, dla poczynienia zakupów w mieście; w rozumieniu wsi bowiem materiał na spódnice w wiejskim sklepie GS-u i ten sam materiał w jędrzejowskim sklepie czy Domu Towarowym na Krzywym Kole - to nie to samo.

Ten drugi pochodzi z miasta.

Za jajka równą cenę dostaną w GS-ie, ale przyjadą do Jędrzejowa, do miasta.

Przed stoiskiem z arcydziełami w rodzaju jeleni na rykowisku przystają i podziwiają. Ale kupić nie kwapią się: „Znowu by Kazek czy Baśka się rozdarli”. Bo starzy zaczynają się podporządkowywać gustom młodych, które przeszły tu szczególną ewolucję pod boki Różnicy. Nota bene rodzi się także dzięki Różnicy i działalności „Ponidzia” - pod Babiniczowym protektoratem - nowy snobizm. I czasem przybiera skrajną postać: Pewien młodzian uciekł ze szkoły, kazał ojcu sprzedać cielę i kupił sobie maszynę do pisania; spaceruje po Jędrzejowie i napomyka, że pisze piątą powieść. Gleniowi dał do czytania, Glenia głowa rozboleła. Ale chłopak jest twardy. „Zapiszę się do Różnicy i będę pisarzem.”

Na jarmarku kuchenne makatki z produktami ludowo-częstochowsko-utilitytarnej poezji w rodzaju: „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi”, „Soli i chleba w kuchni potrzeba”, „Jak ja ugotuję, każdemu smakuje”. Na obrazkach: Jakaś biedna Kasia o aparycji zżartej przez francuską chorobę i otłuszczone gęsi z paraliżem postępowym. Nie one jednak decydują o charakterze jarmarku. Czy wieś handluje? Nie, wieś przede wszystkim snobuje się, tak więc jarmark dzisiejszy jest imprezą w gruncie rzeczy towarzyską bardziej niż handlową. Tysiąc wozów, trzy tysiące luda napływa tego dnia do Miasteczka, żeby być w mieście.

Kosowskiemu chodziło nie tylko o drogi łączące wieś z miastem. Chciał ją podźwignąć ekonomicznie. Nie żeby jedynie maksimum wycisnąć za wszelką cenę. Walczył - na wielu konferencjach - o właściwą klasyfikację gruntów, w wielu wypadkach absurdalnie fałszywą. Ze statystyki wynika, że powiat jędrzejowski jest najbogatszy w Polsce, ma dwadzieścia tysięcy hektarów ziemi pierwszej klasy, a w istocie gdzież tej pierwszej klasie do takich choćby sandomiersko-proszowskich lessów... Komisje klasyfikacyjne w swej nadgorliwości „poprawiały” ziemię; Kosowskiemu udało się przeprowadzić niejedną korektę, tyle że teraz wymagał absolutnej sumienności w prowadzeniu gospodarki i akuracności w dostawach. Te gospodarki chłopskie niejedną raz miały mu przyczynić kłopotów. Któregoś dnia, na przykład, złożono w Radzie meldunek: W Łysakowie pojawił się Yeti. Co się stało? A no, pewien gospodarz zamienił się w pierwotnego człowieka, straszności popelnia: Córka bez jego zgody wyszła za biednego chłopca, wygnał więc żonę i córkę z domu, chodzi nie ogolony od tygodni, w spodniach uszytych ze starej kołdry, w jasnym płaszczu, przewiązanym powrośłem.

Kosowski pojechał do Łysakowa, agronom grzecznie podprowadził go pod bramkę, otworzył i wpuścił do środka, po czym bramkę zatrzasnął. Chłopów zebrało się sporo, żeby patrzeć, jak też starosta będzie gadał z Yetim. Agronom przyciął się przy bramce, wejść się bał.

Yeti wyszedł naprzeciw starosty. Straszny był, rzeczywiście. Idąc ku niemu Kosowski zauważył, że przed domem wykopany jest głęboki rów. Rozmowa zaczęła się poprzez ten rów.

Yeti wrzeszczy: - Czego, cholery parszywe, ode mnie chcecie?

Kosowski: - Po co ten rów wykopaliście?

Yeti: - Żeby poborcy sobie nogi połamali!

Chłopi z agronomem zza płotu patrzą - cofnąć się Kosowskiemu nie wypada, skacze więc przez rów i dalej z Yetim pertraktować. Wchodzą do chaty: Chłop urządził sobie w jednym pokoju legowisko na słomie, w drugim ustęp. W kącie legowiska odrąbany łeb krowy i okrwawiona siekiera.

Yeti: - Jak się cholera dziada zachciało, zniszczę wszystko.

Dzieło zniszczenia przedstawiało się makabrycznie. Gospodarka niegdyś ładna - były krowy, świnie, konie, wozy, nawet kierat - w ruinie. Częściami wszystko - od wozu i kieratu - palił; krowę, która zdechła z głodu, dał świniom zjeść.

Yeti: - Nie dam dziadom niczego. Zniszczę. A jak wszystko zniszczę, podpalę.

Kosowski: - Ziemi nie zniszczycie. Nie spali się.

Yeti dał sobie jednak wszystko wytłumaczyć, złożył wojenny topór.

Gospodarzę, licząc siedem hektarów, dwa lata regenerowano.

* * *

Kłopotów oczywiście „pana starosty” nie zliczyć; szczęściem nie ma tajemnicy w powiecie, którą by przed nim ukryto. Każdego, co tutejszy, ktoś przecie rodził, a niejednego pewnie spłodził, każdy więc, ksiądz, nieksiądz, towarzysz partyjny, nietowarzysz, krewnych jakichś ma, krewni przyjaciół, ci znowu swoich kompanów od kieliszka - tym sposobem nic się nie ukryje, każdy w postaci wiązki informacji na swój temat krąży po orbicie plotki Miasteczkowej; najtrudniej być plebanem, znaleźć by plebana, co zaprzeczy. Patrzą z góry, patrzą z dołu, patrzą z boku; nie ma, czego by ludzie nie podali na ogólne forum plotki. Mówi się na przykład o pewnym księdzu, że chętnie by z powiatową władzą powojował, bo podatków płacić nie lubi. Ściągnął dlatego do się kuzynkę, przepisał na nią wszystkie swoje ruchomości; z czego mu egzekutor weźmie, kiedy nic nie ma swojego, tylko to, co na grzbiet włożyć? Telewizor kuzynki, krowy kuzynki. Ksiądz pije mleko od tych krów, to prawda, ale za to daje kuzynce swoje siano; ksiądz pokrywa jej koszt utrzymania, kuzynka gotuje i sprząta, lecz co stoi na plebanii, wszystko jej, tak - z działu rzekomo jeszcze po rodzinie księdza, z darowizny i kupna. Egzekutor młody, cichutki: „Niech więc ksiądz napisze, że nie mają nic, że pozostają z kuzynką we wspólnym gospodarstwie”. Plebanowi ponoć aż jagody pokraśniały z tej satysfakcji. Aliści egzekutor atut nowy z rękawa: „Jeśli kto pozostaje z inną osobą we wspólnym gospodarstwie, sprzęty wspólnie użytkowane komornik może zająć”...

Cóż ksiądz? Do Miasteczka jak w dym z pretensjami do „pana starosty”, kłócić się, drożyć, prosić. „Pan starosta” raz bywa panem przewodniczącym, raz prezesem, to znowu starostą, zależy, jak ksiądz wnioskuje o szansach.

- Nikt się nie może tłumaczyć nieznaną prawą, księżę proboszczu - rozkłada jowialnie ręce pan przewodniczący-prezes-starosta. - Uwierzy to kto, że chłopak z podstawową szkołą wyprowadził w pole księdza po wyższych studiach? Zapłaci ksiądz, finansowy zdejmie sekwestr. Nie ma rady.

- Kiedy nie mam z czego - zadyszka aż wsparła księdza - sześćset czterdzieści złotych każecie mi płacić co miesiąc! Z torbami pójde.

- Ksiądz wie, ja księdzu nie wróg. Poradziłbym nawet. Jest z czego zbierać: Śluby, pogrzeby, chrzciny, kolęda, taca, wspominki, intencje, ja z domu katolik, to wiem, ale mi, ksiądz rozumie, nie wypada pouczać proboszcza, księdza parafia za najuboższą nie uchodzi? Może się mylę, ja tu dopiero kilkanaście lat...

- Oj, biedna, biedna, wszystkim się zdaje, że chleb lekki na plebanii...

Kosowski pochylił się konfidencjonalnie.

- Ale księdza X biedniejsza chyba? Prawda?

- No tak, pewnie biedniejsza...

- No widzi ksiądz dobrodziej. Ksiądz X też nie chciał podatków płacić, nie miał z czego...

- A nie ma, i dziś nie ma - pokiwał głową ksiądz.

- Prawda? A myśmy człowieka z tytułem wykonawczym posłali, kiedy ksiądz X wracał z kolędy, od Wigilii czterdziesty dzień pod rząd, prawie już w połowie lutego; zastał go egzekutor przy liczeniu grubych tysięcy. I zapłacił...

Wzdrygnął się ksiądz, spojrzął z odrazą.

- Ja wiem, że ksiądz ma i kłopoty - dokończył współczująco Kosowski.

Te kłopoty... Po wyjściu księdza obecny przy rozmowie B. śmiechem parsknął.

- Nie myślałem - powiedział - że i do pana to dotarło.

- A skąd pan wie z kolei, że myślimy o tym samym? Wiem pewnie to, co pan, a chyba jeszcze więcej...

- Niechże pan powie. Plotki rzecz święta.

- Nie, ja grób; co w moje uszy wpada, nie uleci.

Zna Miasteczko sprawy różne. Jest proboszcz, co do sianokosów sam z chłopami wychodzi, przy budowie drogi stanie w gumowych butach z łopata, za to parafię trzyma twardą ręką. Kiedy chłop, taki z najzamożniej szych we wsi, chciał dać na zapowiedzi córki, a nie był pięćdziesiąt dwie niedziele na mszy, kazał mu ksiądz to, co by na tacę położył, za pięćdziesiąt dwie niedziele wyrównać, obliczając jego możliwości i tak ulgowo na dwa tysiące złotych; chłop zapłacił i jeszcze był szczęśliwy, że go tanio obeszło. Ten sam proboszcz rezydenta miał, którego karmił inną strawą przy jednym stole, biedaka księdza, co miał żonę i dwoje dzieci, ale nie dość poparcia w kurii, żeby mu uszło na sucho; pomstował zawsze na nie żyjącego już biskupa, że kurialistę pewnego mąż uwiedzionej przezeń żony gonił uciekającego, wstyd powiedzieć, w ineksprymablach, i kurialista urzęduje nadal. Inny znów proboszcz na sztuce zna się expedite, a chłopom z własnej kieszeni dokłada na zadrzewienie wsi. Jeszcze inny, harcerz w parafii, gdy wyjedzie poza diecezję i włoży garnitur, istny Casanova. Nie ma, kto by co ukrył.

Cóż stąd, zapytacie. A no, trudno prowadzić własną politykę, kiedy wszystko na widoku. A czy trzeba własną? Trzeba, nie trzeba, kuria własną prowadzi, kurialiści własną i plebany każdy swoją - plebany dziś zhardziały, z nich kościół żyje, więc też centralizm bywa czasem iluzoryczny, a Polska kraj ludzi „ważnych”. Między klerem też? - zdziwicie się. Ba, dopiero. Prymas musiał do Jędrzejowa przyjechać, ducha dodać; Uradzili w klasztorze, że jednak cud by się przydał u grobu błogosławionego dziejopisa. W sierpniu obchody, a cud wcześniej - będzie święty. Tylko jeszcze wcześniej wszystko znowu rozplotkowano. Trudno przewidzieć, jak teraz będzie, obecny przeor ambicją pała. Gdzie to zresztą komu taka dziś gratka się nadarzy: Własny święty, i to z nowego kanonicznego zaciągu, nie wyblakły, świeży...

Dla Kosowskiego nie ma tajemnic. Gdybyż mu się język rozwiązał!

* * *

Władza... Nawet o Fundusz Budowy Szkół męczą tego demokratycznego starostę. Bo jakże? Na odprawach powiadają ciągle: A jak tam u was ze szkołami Tysiąclecia? Kosowski, człowiek z natury przekorny, to fakt. Na niejednej naradzie się sprzeciwi „obowiązująco odgórnie preferowanym poglądom urzędników szczebla wyższego”. Robi to jednak przyjemnie; śmiemy twierdzić, że gdyby nie Kosowski, persyflaż nigdy by nie zagościł na wojewódzkich naradach „w sprawie”. Właśnie na takowej, „w sprawie kultury”, referent zaatakował, że w jędrzejowskim dwa areszty gminne - w Imielnie i Rakowie - zamieniono na biblioteki.

- Jak można było pozbywać się tych pomieszczeń? - grzmiał referent. - Przecież...

Kosowski w dyskusji wyszedł spokojnie na mównicę i stwierdził, że bardzo przypadła mu do gustu teza referenta. Pragnąłby ją tylko poszerzyć niejako, dodać rozmachu wykonawczego, w związku z czym proponuje, aby zamek w Sandomierzu, gdzie ma być Dom Kultury, przekształcić z powrotem na więzienie, także i Święty Krzyż. Śmiech buchnął na sali, referent wycofał się chyłkiem.

Lecz ze szkołami to nie żarty - porozsyłał wici po terenie, żeby jakoś ten fundusz ścigali, sam łamał sobie głowę przy biurku, gdy naszedł go pewien interesant „w pilnej sprawie”.

- Panie przewodniczący, koncesji mi nie dajecie.

- Niech pan przyjdzie za godzinkę, teraz jestem zajęty, I niech pan dobrze pomyśli nad sprawą.

Kosowski natychmiast zadzwonił do Kubiakowskiego, powiatowego architekta:

- Przyjdź zaraz, ważna sprawa.

W godzinę później Kubiakowski siedział przycajony za uchylonymi nieznacznie drzwiami przyległego gabinetu. Interesant znowu zaczął: „Koncesji mi nie dajecie” i jął wyłuszczać swoją sprawę w szczegółach, że jego wytwórnia przemysłowa uzupełniać ma przemysł kluczowy, że on i jego rola... Kosowski już wówczas, gdy pojawił się przed godziną, wiedział, kto zacz. W Kielcach facet ów na głowie stawał, żeby na Kosowskiego władze nacisk wywarły, żeby Kosowski nie odmówił. List nawet z Kielc przyszedł urzędowy, z poleceniem: Zgodzić się. Ale Kosowski gazda na swoim, list odłożył ad acta. Drugi list z Kielc był odmienny: Nie przedłużać koncesji. Też ad acta. Po czym oba listy odesłał. Wówczas pan przemysłowiec zdecydował się przyjść do Canossy na szczeblu powiatowym i pochylić tam czoła. Pojawił się załamany, plątał się, mówił: „Nie wiem, jak dotrzeć, jak przekonać”. Kosowski wyszedł mu naprzeciw:

- Kto żyje z kościoła, ten z kościoła; a ja z powiatu żyję. Ile pan dałby za to, żeby wytwórnię otworzyć? Dziesięć tysięcy pan da?

- Dam, oczywiście - ucieszył się przemysłowiec, że propozycja nie od niego wyszła i rozwiązał się ów dyskurs jakoś niespodziewanie prosto, choć dotychczas słyszał, że Kosowski takich za łeb z gabinetu wyrzuca.

- Zaraz pan by dał? - pytał jeszcze.

- A zaraz dam - odpowiada powiatowy Morgan.

- Marian, chodź tu.

Kubiakowski wychodzi z drugiego pokoju, Kosowski mówi równocześnie:

- Wpłaci pan zaraz te dziesięć tysięcy na Społeczny Fundusz Budowy Szkół i niech pan zaraz tu przyniesie kwitek z kasy, będziemy załatwiać koncesję.

Przy Kubiakowskim nie wypadało się bogaczowi kłócić o wysokość wpłaty na SFBS, choć już zaczynał; Kosowskiemu by i dwadzieścia tysięcy odpalił, ale na społeczne cele...?

Och, te gry władzy w maleńkim Jędrzejowie...

* * *

Kiedy został przewodniczącym w Jędrzejowie i wydał jedno polecenie niezgodne z przepisami - żeby sprzedać nieszczęsną wódkę knajpiarzowi z Mierzwina - powiedział sobie: „Władza musi znać prawo. Niedouczona władza popełnia stale bezprawie”.

Powtarza: „Władza musi mieć swój własny autorytet, płynący nie tylko z urzędu”. Kosowskiemu oczywiście łatwo tak mówić, bo autorytet ma ogromny. „Władza nie może wszystkim ulegać. Najgorszy jest zawodowy przewodniczący, bo wszystkim musi ulegać; ma stracha, że zwolnią czy nie wybiorą, i co on, biedactwo, zrobi? Ja mam swój zawód i będę miał jeszcze nowy zawód: Prawnika. Tylko wówczas władza może czuć się mocno i niezależnie. Bo jak się wychodzi z pozycji ubożego krewnego, to nigdy nie można być władzą.”

I ta władza zgotowała właśnie koniec Staremu Miasteczku.

Rozdział XII

Koniec Miasteczka przyjdzie nagle; na razie słoneczne zegary odmierzają sobie i Miasteczku czas oczekiwania. Jedni czekają na paczkę od wuja z Ameryki, inni na wielką miłość, jeszcze inni na wygraną w totka. Ale w gruncie rzeczy wszyscy czekają na jakąś wielką rzecz, na generalną przemianę. Przypkowski wprawdzie woli swój Jędrzejów od Paryża, nie znaczy to jednak, że Miasteczko jest czymś lepszym od Paryża w kategoriach obiektywnych. I prawdopodobnie nigdy Paryżem nie będzie. Ale chce być miastem. Przez duże M.

A dziś?

Kiedy mieliśmy zainstalować się w Miasteczku na dłuższy czas, wyznaczono nam kwatery w Zarządzie Melioracji, który zbudował przy ulicy Skroniowskiej domek niewielki, lecz gustowny i, co ważniejsze, wyposażył nie tylko w centralne ogrzewanie, ale... z wodociągiem i kanalizacją, wszystko za sprawą dzielnego pana Muchy, inżyniera od drenów i melioracji. Było to niby blisko, przecie daleko. Od kawiarni-baru przy Wodzisławskiej dzielą to locum wielkie i nieprzebyte błota.

Dla dokładniejszego określenia topografii dodać wypadałoby, że obok dymiła stara fabryczka, owa zwana właśnie „Drucianką” - oficjalnie zaś „Metaldrutem”. Starowina zalewała całą okolicę ściekami w postaci brudnej, rdzawej wody, która ciekła w piwnicach domu, wypełniała studnię i bluzgotała potem z wodociągu, farbując wszystko na rdzawy kolor.

Miast przeprowić się przez błoto Skroniowskiej - które sam prezes Marek Baran obiecywał natychmiast, to znaczy w najbliższej pięciolatce, zmienić w asfaltową nawierzchnię - można było osiągnąć hotel „Pod Muchą” albo przez szkołę od ulicy 14 Stycznia, a potem polami, albo też przez płot koło wielkiego bloku, zwanego przez mieszkańców „Kremlen” lub „Ambasadą”.

Uniwersalny klucz do bramy szkoły dał nam doktor Kwaśnik, który budował willę na wprost naszego „hotelu”. Koło „Kremla”, alias „Ambasady” (mieszkają tam Kosowski i Szewczyk, stąd nazwa: Oni, tudzież inżynier Piątek na górze, który locum dostał w zamian za doprojektowanie jeszcze jednego piętra), należało przejść przez dziurę w płocie i już się było na polach dzielących „Ambasadę” od „Muchy”.

Owe pola to plac centralny przyszłego, nowego Jędrzejowa. Ponieważ z zagwazdranej ulicy 14 Stycznia, obstawionej rudery i wąskiej, nie da się zrobić nowej arterii, będzie nią zupełnie nowa ulica, wędrująca pasmem pól na tyłach pomiędzy zabudowaniami Skroniowskiej i 14 Stycznia. Idąc ku Skroniowskiej koło „Ambasady”, szło się wielkim podworcem pomiędzy barakiem Zarządu Urbanistyki i Architektury, gdzie rezydował Kubiakowski i Piątek, bardzo nota bene z tego powodu cierpiący („Architektura w baraku?! Musimy to przebudować na budynek piętrowy. Prywatnie robimy plany przebudowy. Kosowski się zgadza!”).

Kubiakowski, uczeń profesora Hryniewieckiego, architekt o najdłuższym podpisie w województwie (dziewięć centymetrów), przywołał Stasia Piątka z dynastii jędrzejowskich Piątków, których w każdy dzień tygodnia spotkasz multum, syna prezesa sądu powiatowego.

- Panie Stanisławie, jaki pan sympatyczny - przemawiamy.

- A tak, właśnie nie wiem, skąd we mnie tyle uroku - odpala Piątek.

- Może jakąś wizję lokalną? - podsuwa Kubiakowski. - Na przykład mieszkanie Stasia Piątka na mansardzie. Jaskinia lwa salonów z radiolą, wielkim portretem Juliette Greco i nie wysychającą butelką.

- Raczej pomówmy o głównej arterii.

- A więc główna arteria, czyli ulica 14 Stycznia, zostanie poszerzona. Zburzymy rudery i poszerzy się. W naszym mieście około stu budynków grozi zawaleniem. - Kubiakowski zaczyna dłużyć palcem w ścianie pierwszego z brzegu domu. Zwiertzały wapień osypuje się pod mocniejszym dotknięciem. Piątek pomaga. „Dłubcie!” Dłubiemy. Dziura się robi coraz potężniejsza, zaczynamy się bawić tym dłubaniem, za chwilę sięgnęlibyśmy ręką do czyjegós kredensu lub szafy,

przerażony Kubiakowski woła: „Dość!”. - Te gruchoty trzeba będzie rozwalić, dzięki temu światło ulicy powiększy się wydatnie i dwa autobusy będą mogły się mijać bez specjalnego trudu.

- Jakież urbanista takie miasto Wymyślił?

- Żaden urbanista. Powstała ongi nowa gubernia, kielecka, a w guberni muszą być powiaty. Więc w 1867 roku powołano powiat jędrzejowski do życia, sklejając go z kawałków dawnych powiatów: Kieleckiego, pińczowskiego i miechowskiego. A Jędrzejów stał się nagle metropolią.

- A kształt urbanistyczny?

- Klasztor i rynek były już wcześniej, one zadecydowały o zabudowie i kształcie miasta.

Siadłszy znowu w baraku Piątek wpada w referatowy tok:

- Zalew projektowany na Nidzie w miejscowości Brzegi-Sobków, o powierzchni dwóch tysięcy hektarów, sprawi, że zyskamy nowy, wspaniały ośrodek rekreacyjny dla południowej Kielecczyny i Krakowa...

- Jeszcze nie wiadomo, czy będzie...

- Podobno stąd ma pójść nowa porcja wody dla Łodzi.

- Będzie basen kąpielowy w Jędrzejowie.

- Ludziska stwierdzili, że trzy bomby upadły w tym miejscu w 1939 roku, i nikt nie chce brać odpowiedzialności za puszczenie tutaj buldożera. Te bomby nie wybuchły.

- Będzie ulica Nowoskroniowska.

Aha, to właśnie ta główna, między hotelem „Pod Muchą” i „Ambasadą”, idąca od kawiarni-baru na zachód, przez pola, albowiem wszystkie ulice ostatecznie pro-wadzą w Polsce od albo do knajp.

- Jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że w Jędrzejowie wykryto ostatnio trzydzieści dwie potajemne knajpy i meliny, to zabraknie na to ulic obecnego miasteczka! - wykrzykuje Piątek.

- Cała rzecz w tym, że był opracowany wariant na dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Ale teraz wszystko się zmienia. Potwór, hydra pochłonie to wszystko, co nazywa się Jędrzejowem. Drugi wariant robiliśmy na trzydzieści dwa tysiące mieszkańców. A teraz trzeba będzie chyba...

* * *

Jakże różne są te oczekiwania... Każdy przybywający do Miasteczka, byle dostatnio ubrany i obrotny, a przy tym giętki i elokwentny, wywołuje ogólne zainteresowanie. Ale tym razem przyjechał do Jędrzejowa człowiek, którego wszyscy znali dobrze, gdyż tu się urodził i wychował, przyjechał jako przedstawiciel Komisji Planowania Gospodarczego z Warszawy, dyrektor departamentu inwestycji. Żadnego bluffu być nie mogło. Przywiózł wiadomość o końcu Starego Miasteczka - wszyscy witali go radośnie; starzy jędrzejowianie mieli łzy w oczach.

Oto wkroczy tu budowa wielkiego zakładu przemysłowego - Centralnych Warsztatów Koksochemicznych. Początkowe zatrudnienie: Sześć tysięcy ludzi.

Sześć tysięcy ludzi, to znaczy z rodzinami trzydzieści tysięcy ludzi. A tu, na miejscu, licząc starców i nieletnie dzieci jest tylko trzysta tysięcy.

* * *

Miasteczko poczyniło wielkie deklaracje. Kosowski oświadczył: „Dajemy wam teren pod budowę”. Trochę to były te Niderlandy, które niegdyś Zagłoba ofiarował królowi szwedzkiemu, bo ziemia pod budowę tkwiła na razie w rękach prywatnych właścicieli. Ale było jej sporo: Wielki plac ciągnący się spod Miasteczka w stronę Małogoszczy, koło szpitala Sędkowego.

Koniec Starego Świata. Przypkowski powiada: „Dla mnie to jedyna szansa, abym jeszcze zobaczył Jędrzejów skanalizowany”. A nawet powiedział gorzej, po swojemu: „...z grównien wyciągnięty”. Nieszyn się rozpala przy każdej pogawędce, kiedy mu przyjdzie mówić o tym nowym zakładzie: „Hotelowiec zaczynam im budować. Czteryście łóżek, komfort. Dla sztabu przysłej budowy”.

Przyjdą oni. Inni jacyś ludzie z Polski, wędrujący po wielkich budowach; wezmą w posiadanie ten spłacheć ziemi między Jędrzejowem a Małogoszczą, wryją się na kilka metrów w głąb, aby wpuścić wielkie sześciany żelazobetonów. Fundamenty hal. Inni jacyś ludzie? Jacy? Czy wrosną tutaj na stałe? Czy przejdą tylko przez Jędrzejów szlakiem wielkich budów?

Jędrzejów martwi się nie na żarty. Cóż my dać możemy od siebie temu kolosowi? Czym dysponujemy?? Jesteśmy za biedni i za bogaci równocześnie, bo prócz tradycji i przeszłości nie mamy nic. Tylko to położenie geograficzne: Do Częstochowy, Chorzowa, Nowej Huty czy Ostrowca, czyli największych ośrodków hutniczych Polski, jednaka stąd droga, dlatego tu zlokalizowano zakłady remontowe dla wszystkich koksochemii. Nie przypadek, nie magnetyczne działanie zegarów słonecznych...

* * *

Czymże tę Koksochemię przyjmie Jędrzejów? Dotąd wszelkie braki i usterki w funkcjonowaniu municypalnego organizmu, takie na przykład jak brak okazałego ratusza (ratusz był tu wprawdzie, zgodnie ze zwyczajem wszystkich ratuszy ustawiony pośrodku rynku, późno - bo dopiero w połowie XVIII wieku, jako że do końca wieku XVII ta część miasta w ogóle nie istniała; wkrótce po wybudowaniu spłonął, kroniki jednak powiadają - sławiąc zasługi opata Ziemnickiego - iż pobudował on ratusz „najpierwszym równy”), brak klubu NOT-u, Domu Kultury wyrównuje kawiarnia-bar przy ulicy Wodzisławskiej, bez nazwy, składająca się z dwóch sal: Wielkiej i małej. „W małej sali gromadzą się ludzie wielcy - napisał złośliwie «ponidzianin» Gleń - a w wielkiej sali ludzie mali”... W tej sytuacji, kiedy kotlet towarzyszy czarnej kawie z ormiańskim koniakiem, sprawy sercowe - urzędowym, literatura - technologii browarnictwa etc., kawiarnia-bar przy Wodzisławskiej jest pępkiem jędrzejowskiego świata. Bez żartów: Kawiarnia ma na swoim koncie bardzo poważne wydarzenia. Nie gdzie indziej, tylko tu właśnie, w owym małym pokoiku „dla wielkich”, zbierało się na samym początku „Ponidzie”, tutaj w morzu czarnej kawy skąpany urodził się ich manifest... Największą osobliwością kawiarni jest fakt, że w każdy piątek można tu spotkać kilku Piątków - od prezesa czcigodnej PSS poczynając, na prezesie sądu powiatowego i jego synu, architekcie powiatowym, kończąc. Jednym z głównych zajęć - ze względu na permanencję zjawiska i przyzwyczajenia - dyskusje nad geometrią o tworzeniu się i rozpadaniu trójkątów małżeńskich.

W Miasteczku, liczącym trzynaście tysięcy mieszkańców, kawiarnia stanowi giełdę, gdzie wszyscy odstępują sobie za pół czarnej wiadomości o wszystkich. Pod wieczór ceny rosną: Wiadomości odstępuje się za ćwiartkę, potem za pół litra. Całe kwestie bywają cytowane dokładnie - słowo w słowo - gromko. Ona powiedziała, że ma dość takiego... (!), a on wtedy zbił chiński wazon na jej głowie i wyszedł. Ona pobiegła po pogotowie, jeszcze wczoraj widać było plamki krwi na trotuarze, i na progu zemdląła. On poszedł szukać tego „trzeciego” i znalazł go u Wicka... Tamten powiedział: „Dlaczego ty mnie bijesz? Sama baba mi się pchała!”. No i teraz piją razem wódkę! Widzi pan? No to wypijmy!

Przyciąga klientów pokazowej knajpy do jej kolorowych stołków inny jeszcze magnes: Uroda kelnerek. Goście superkawiarni wlepiają oczy w dziewczyny. Halina - jasnoblond, Basia - ciemnoblond, Teresa - szatynka. Basia awansowała ostatnio na kierowniczkę wiejskiej klubo-kawiarni, prowadzonej przez ZMW w Olszówce pod Wodzisławem, tym sposobem utraciła spory, której z nich trzech przyznać jabłko Parysa - jeden temat został wykreślony z ewidencji problemów.

W finale wszelkie dyskusje w kawiarni-barze kończą się zawsze jednakowo wesoło, ale bo ostatecznie nie tylko w Polsce biblioteki, sale odczytowe czy muzea nie wytrzymują konkurencji z knajpą; tutaj nie ma ona poważniejszej współzawodniczkii. Muzeum Przypkowskich? Ileż razy można oglądać przypkowskie zegary! I co to takiego ciekawego? Na palcach policzysz obywateli Jędrzejowa, którzy nie ustrzegli się przed inwazją zegarów, ci zaś, którzy oglądali zbiory pod zieloną kopułą, zostali specjalnie przez Przypkowskiego zaproszeni, niektórzy zaciągnięci w stanie niezupełnie trzeźwym, a więc wyzbytym oporów.

Kiedy więc inteligencja miasta Jędrzejowa ściągnęła niezbyt tłumnie do sali Komitetu Powiatowego na spotkanie z dwoma reporterami, ozwały się głosy, że „spotykać się gdzie nie mamy”. No dobrze: Było spotkanie z pisarzem N., było z B. -

przyszło kilka osób. Starszy Gleń, Marian, wyliczył te osoby. Na bardziej frekwentowanym spotkaniu było siedemnastu uczestników. Rekord. Dlaczego to? Brak ciekawości? Inne zainteresowania! Jakże?

Na nasze zebranie przyszło trzydzieści osób. Przeważnie znajomi. Jeden spał z tyłu, w ostatniej, oślej ławie. Tymczasem bito na alarm, wzywano, mitologizowano.

Kosowski grzmiał ostro przeciw bezruchowi, prokurator w imieniu mas inteligencji bił się w potężną pierś.

- Szkoda, że nie ma częściej takich spotkań - mówił doktor Szymkiewicz. - Musimy się jakoś zorganizować, chcemy jakiegoś klubu, jakiejś uczciwej placówki, gdzie można by zagrać w brydża, pogadać poważnie o literaturze, spotkać się z pisarzem czy podróżnikiem...

- Inteligencja jest bierna i odznacza się megalomanią. Udaje, że wie wszystko. Uważa, że przyjdzie na spotkanie z pisarzem czy na odczyt o cybernetyce byłoby dla nich dyshonorem. Ujawniliby pewno swoje braki - jak myślą - obgadałoby ich Miasteczko. Niesłychana mechanika. Więc twierdzą na wszelki wypadek, że wszystko wiedzą, wszystko jest dla nich jasne, a wszelkie nauki mają zaliczone. Wobec tego do kawiarni-baru na jednego nie zawadzi - wygłasza swoje oskarżenie młody lekarz.

- Musimy się zrehabilitować - nawołuje prokurator. - Zwołamy drugie zebranie i jakoś się zorganizujemy. Musimy się sami bić o pewne sprawy, wszystkiego nie załatwi nam... .

- Państwowy święty Mikołaj - podpowiadamy.

- Oczywiście. Proponuję zwołać następne zebranie w sali obrad Prezydium. Zaprosić zespół jazzowy, żeby grał w przerwie, i coś jeszcze. A teraz wyłoniśmy kilku ludzi, którzy się tym zajmą! - woła prokurator w roli obrońcy.

- Możesz wypisać zawiadomienia - powiada Kosowski.

- Maszynistkę mam - powiada oskarżyciel publiczny.

- I pieczętkę masz - dodaje Kosowski.

- Wtedy wszyscy przyjdą!

Sala ryczy ze śmiechu, jakby wypełniało ją trzysta osób.

- W Staszowie zbudowali w czynie społecznym Dom Kultury. Piękny. Najgorszy staszowski pies do naszej kawiarni-baru by nie wlaźł. Widziałeś - zwraca się Kosowski do prokuratora. - No, byłeś przecież w tym Domu Kultury na delegacji służbowej - dodaje.

Atmosfera robi się przyjacielska. Gleń atakuje społeczeństwo, że pozwoliło na zniszczenie modrzewi w parku, małych, dopiero co zasadzonych drzewek. Ktoś proponuje, aby powiadomić inteligencję o następnym spotkaniu „błyskawicami” na słupach.

- Tutaj potrzebne są pioruny! - woła Kosowski.

Spotkanie kończy się koło dziesiątej wieczorem.

W kawiarni-barze o tej porze jest już cholernie wesoło. Pan K., olbrzym o dobrotliwej twarzy, zwany „cysterną etatową monopolu”, rozpoczął tankowanie. Kompani przy stoliku. Zjawił się właśnie w Miasteczku nowy, więc odbędzie się tradycyjny zakład o to, czy pan K. podniesie w zębach stolik o metalowych nogach na wysokość pięćdziesięciu centymetrów nad ziemię. Przystawia się nosem do czerwonego blatu i stół za chwilę jest w powietrzu. W sekundę później następny litr stoi już na stole. W kilka minut potem biedaczyna nowy jest już sztywny.

Na drugi dzień spotykają się skacowani i roztrzęsieni; pan K., czyli powiatowa cysterna też miewa kaca. W dodatku ma wyrzuty sumienia, czy raczej coś w rodzaju dręczącego wewnątrz pytania: „Komu to ja wczoraj dałem w mordę? Nie pamiętasz?”.

Więc rozsypują zagadkę.

Pojawia się przy kawie porannej miejscowy donżuan, który przez swoją garsonierę z patefonem przepuścił już sporą część żeńskiego Jędrzejowa - a zjawia się z podbitym okiem i zadrapaną facjatą.

- Zazdrosny mąż?! - pyta pan K. Jest bardzo filuterny.

- Właśnie nie wiem. Nie pamiętam - odpowiada smętnie donżuan.

Pan K. radośnie:

- No, mam! - i z westchnieniem ulgi: - To ja ci dałem w mordę. Teraz się wszystko zgadza. Mam jeszcze ślady na ręce.

Pół litra wjeżdża na przeprosiny. Nowy zostaje wprowadzony w świat i życie powiatowe.

Prokurator zorganizuje spotkanie inteligencji na wszelki wypadek w innym lokalu.

Po dwudziestu latach przyszła nareszcie kolej na stary Jędrzejów, mały i zabłocony, brudny i odrapany, dumny z przeszłości i słoneczny. Doczekał się szansy zniszczenia. Bo zakład wniwecz obróci stosunki panujące w Miasteczku...

Więc też raz jeszcze przyjrzyjmy się, jak ostatni szlachcic Rzeczypospolitej, imię Przypkowski, w Kielcach honorację za odczyt wzięwszy, w dwanaście dorożek z fantazją jedzie na dworzec kolei żelaznej, a dorożkarze, w których gardła honorację za odczyt przelał, „Sto lat” śpiewają; jak w niedzielę wychodzi w lśniącym na pół Miasteczka kasku pan Nawarro, przez dwa „r”, hipoteczny potomek książąt Nawarry i ostatni, co to pożary gasił; jak ostatni archiwariusz Jedliński w siódmej życia dziesiątce po dachu chodzi; jak strzela starosta niby kowboj z biodra do pudełka od zapalek i trafia - a rządzi niby to Makiawel w powiatowego Monteskiusza wcielony...

Idzie dla Miasteczka czas nowy, zgęszczony. Jako w „Czarodziejskiej Górze” Tomasza Manna: „...mówimy - czas upływa. Pięknie, niech sobie upływa, ale ażeby móc go mierzyć... Zaraz! Ażeby być wymierzalnym, musiałyby przecież płynąć jednostajnie, a gdzie jest napisane, że tak się dzieje?”.

Właśnie, gdzie jest napisane, że tak się dzieje? Miasteczko odmierzało na zegarach dotychczasowy rodzaj czasu - czas jednostajny. Teraz ma nastąpić przyspieszenie: Dwie słoneczne krople na instrumencie Przypkowskiego utworzą jedną. To jest właśnie moment prawdziwego południa - cezura między czasem starym a czasem nowym, który niesie zagładę Staremu Miasteczku.

Żałować go? Znać. Wiedzieć, jakie było.

Zamiast epilogu

Zacny doktor Jedliński był tego wiosennego dnia niepocieszony.

- Wyjeżdżacie? Kiedy znowu przyjdziecie? A kiedy coś o Jędrzejowie napiszecie?

- Napiżemy i opatrzymy specjalną dla kochanego doktora dedykacją! - zapewniamy.

- A kiedy to się ukaże?

- Nie wcześniej jak za dwa lata!

- To wówczas już może fabryka w Jędrzejowie będzie. A mnie szukajcie na cmentarzu. Złóżcie mi egzemplarz na grobie.

- Co też doktor opowiada! Pewnie znowu spotkamy waści na dachu z aparatem fotograficznym w ręku...

- Swoją drogą - ciągnie niezmaczenie doktor - chciałbym z wami wówczas jeszcze pogadać, jak już przyjdziecie z tą książką. Ale mam pomysł: Chcę sprzedać radio, kupić magnetofon, nagram swoje słowa na taśmę. Jak przyjdziecie na mój grób, naciśnięcie guzik i posłuchacie, jak Jedliński do was gada!

Oto byłby grób godny ostatniego, niestrudzonego gawędziarza Rzeczypospolitej, oby żył sto lat i więcej!

Niestety, jeszcze przed ukazaniem się książki byliśmy na grobie ostatniego gawędziarza Rzplitej: dr Jacek Jedliński zmarł nagle w lipcu 1965 roku i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

(K O N I E C)

Wydawnictwo „Czytelnik”, Warszawa 1966

